

STANISŁAW SOBIESIAK

„ŻELBET”

BYŁEM ŻOŁNIERZEM

ARMII KRAJOWEJ



Pisanie wspomnień rozpocząłem w 1956 roku, a ukończyłem w 1962 r.

W opisie oparłem się wyłącznie na własnej pamięci. Nie korzystałem z żadnych materiałów ani źródeł. Koledzy, świadkowie tych wydarzeń, żołnierze Armii Krajowej, wielu z nich poległo w Powstaniu Warszawskim, a po wyzwoleniu w okresie stalinowskiego terroru, w P.R.L., wielu z nich, więzionych przez długie lata – zmarło.

Notatki z tych lat prowadziłem fragmentarycznie. Na pisanie szczegółowych zapisków nie zawsze był czas, jak również nie pozwalały na to okoliczności, w jakich miały miejsce wydarzenia, które opisuję.

Nazwiska, imiona, pseudonimy osób wymienionych we wspomnieniach są autentyczne. Autentyczne są również adresy, nazwy urzędów, obozów, w których wydarzenia miały miejsce.

Po latach od zakończenia napisania wspomnień, nie dokonywałem poprawek redakcyjnych w rękopisie. We wspomnieniach opisuję tylko to, co widziałem i przeżyłem w tamtych latach.

Poza żołnierzami Armii Krajowej i innych organizacji niepodległościowych okresu okupacji niemieckiej, książkę tę mogliby przeczytać byli żołnierze Powstania Warszawskiego, jak również członkowie, (którzy przeżyli) z nowych organizacji niepodległościowych działających w PRL jak: W i N (Wolność i Niezawisłość), NAK (Nowa Armia Krajowa), Szturmówka Chłopska i inne, byli więźniowie Pałacu Mostowskich z Celi nr.7.

Warszawa, maj 1962 rok.

MOJE WSPOMNIENIA

Z okresu lat
1939 – 1962

Do napisania wspomnień skłoniło mnie pragnienie przekazania najbliższym moich przeżyć, by ocalały od zapomnienia.

Przeżycia, które opisuję - były długim okresem mojego życia, pozostawiły niezatarty ślad w mojej pamięci do końca moich dni.

Całość wspomnień ująłem w dwóch rozdziałach:

I rozdział: to wybuch II wojny światowej, okupacja niemiecka, moja działalność konspiracyjna w Związku Walki Zbrojnej i Armii Krajowej, udział w Powstaniu Warszawskim oraz pobyt w obozach jeńców wojennych.

II rozdział: to okres tragiczny, upodlający i poniżający godność ludzką już w wyzwolonej Polsce Ludowej, to pobyt w więzieniach, obozie pracy niewolniczej, a po zwolnieniu dyskryminacja przez długie lata.

Wspomnienia te w całości dedykuję moim najbliższym: synom, wnukom, braciom, synowym, krewnym i przyjaciółom.

W rozdziale I opisanych wspomnień dotyczących mojej działalności w Ruchu Oporu w walce zbrojnej z okupantem w Z.W. i A.K. – kolegom, żołnierzom z III Kompanii Szturmowej V Zgrupowania, poległym w Powstaniu na Czerniakowie, w szturmie na Małą Pastę oraz w walkach o Politechnikę.

Wspomnienia te poświęcam:

1. D-cy Kompanii por. Tadeuszowi Kuliczkowskiemu ps. „Stojewicz” - poległ „Mała Pasta”
2. Kpr. Zygmuntowi Sobiesiakowi (bratu) ps. „Delfin” - poległ na Czerniakowie
3. Plut. Jerzemu Welmanowi ps. „Wiara” – poległ na Czerniakowie
4. Kpr. J. Sosnowskiemu ps. „Wielki” – poległ „Mała Pasta”

oraz wszystkim poległym w Powstaniu kolegom, żołnierzom z III Kompanii.

ROZDZIAŁ I

1. Wybuch II Wojny Światowej

Wybuch II Wojny Światowej zastał mnie w Pomiechówku, gdzie byłem zatrudniony w Składnicy Uzbrojenia jako pracownik cywilny Administracji Wojskowej.

W trzecim dniu Wojny zarządzono ewakuację personelu wojskowego i cywilnego na Wschód. Ponieważ żona moja za kilkanaście dni spodziewała się dziecka, na moją prośbę Dowódca Składnicy zwolnił mnie z ewakuacji.

Jeszcze tego dnia pożegnałem się z rodzicami, którzy mieszkali w Pomiechówku i udałem się do Modlina, skąd pociągi odjeżdżały w kierunku Warszawy.

W drodze do Modlina ujrzałem na dużej wysokości kilka samolotów lecących w kierunku Pomiechówka, a po kilku sekundach usłyszałem potężne wybuchy. Czekaając już w pociągu na stacji w Modlinie dowiedziałem się, że niemieckie samoloty zrzuciły bomby na most kolejowy w Pomiechówku.

Z Modlina wyjechaliśmy załadowanym ludnością cywilną pociągiem towarowym. Późną nocą dojechaliśmy do Legionowa. W Legionowie na stacji wszystkie tory były zablokowane pociągami z wojskiem i sprzętem wojskowym.

Rano dojechaliśmy do Warszawy. Z Dworca Gdańskiego na ulicę Wolność, gdzie przebywała moja żona u swoich rodziców, dotarłem pieszo (tramwaje już nie kursowały). Na ulicach atmosfera wojenna. Maszerujące oddziały wojska, tłumy ludzi pędzących, wyjące syreny zapowiadające naloty.

Po przybyciu do domu żona oświadczyła, że rozwiązanie według opinii lekarza nastąpi za 2-3 tygodnie. Postanowiłem do czasu urodzenia się dziecka pozostać w domu. Ale komunikaty radiowe bez przerwy wzywały wszystkich mężczyzn do zgłaszania się do Oddziałów Obrony Warszawy. Po uzgodnieniu z żoną postanowiłem nazajutrz zgłosić się do Armii (byłem podoficerem artylerii, – ponieważ pracowałem w Administracji Wojskowej byłem reklamowany i nie zostałem zmobilizowany do Armii). Polskie radio, co kilka minut nadawało komunikaty z frontu.

Jeszcze tego dnia nadano komunikat, aby wszyscy mężczyźni zdolni do noszenia broni opuszczali Warszawę i udawali się na Wschód, gdzie miała formować się Armia.

Nazajutrz po uzgodnieniu z żoną i rodzicami żony, o świcie wyruszyłem w drogę zabierając dwóch braci żony, których po drodze miałem zostawić na wsi u rodziny żony. Po drodze wstąpiłem na Bródno do mojego mieszkania, skąd zabrałem młodszego brata i wyruszyliśmy w kierunku Garwolina.

Przed Garwolinem przeżyliśmy kilka nalotów. Droga była zablokowana wozami, samochodami, setkami ludzi, kobiet i dzieci. Samoloty niemieckie zniżały się na wysokość kilku metrów nad ziemią, ostrzeliwując z karabinów maszynowych i zrzucając bomby. Po każdym nalocie pozostawali na szosie i w rowach zabici i ranni.

Do Garwolina dotarliśmy wieczorem, gdzie dopalały się jeszcze zgliszcza zbombardowanych domów. Z Garwolina wyszliśmy już nocą do Żelechowa, skąd do Zadybia gdzie miałem zostawić braci żony i mojego brata, było już niedaleko. W Zadybiu byliśmy o świcie.

Po przywitaniu się z rodziną i spożyciu posiłku, zmęczeni po 24 godzinach marszu udaliśmy się na spoczynek. Nazajutrz postanowiłem wyruszyć w dalszą drogę w kierunku na Łuków. Wyszedłem na drogę prowadzącą do Żelechowa. Na drodze spotkałem grupę młodych mężczyzn w moim wieku, idących w przeciwnym kierunku. Zapytałem czy mają wiadomości o formujących się na Wschodzie Oddziałach Armii Polskiej. Odpowiedzieli, że według komunikatów radiowych, Niemcy dotarli już na przedmieścia Warszawy, a do formujących się Oddziałów cywilów nie przyjmują z braku broni i amunicji. W tej sytuacji zrezygnowałem z dalszego marszu na Wschód.

Po kilku dniach pobytu w Zadybiu dowiedzieliśmy się, że Warszawa skapitulowała. Postanowiliśmy wracać do Warszawy i następnego dnia opuściliśmy Zadybie. Podróż nasza z początku przebiegała spokojnie. Transporty wojsk niemieckich jadące na Wschód, nie zwracały na nas uwagi. Szliśmy rowami przydrożnymi. Dopiero jak weszliśmy na szosę za Garwolinem, musieliśmy się kryć przed niemieckimi samochodami jadącymi w kierunku Warszawy.

Samochody te zatrzymywały się przy liczniejszych grupach mężczyzn, zabierali ich do samochodów i po załadowaniu do pełna odjeżdżały. I tak doszliśmy do Rembertowa. Tu Niemców było już bardzo dużo. Żandarmeria legitymowała każdego mężczyznę. Młodych przeważnie zatrzymywano i odprowadzano.

Mnie po wylegitymowaniu puszczono. Braci żony i mojego brata Janka nie legitymowano, byli bardzo młodzi.

Po powrocie do domu, zastaliśmy rodzinę zdrową i przed kilkoma dniami urodzonego syna. Żona z dzieckiem pozostała u swoich rodziców, a ja z bratem wróciłem do naszego mieszkania na Bródnie.

2. Okupacja - Konspiracja - Ruch Oporu – Z.W.Z. – A. K.

Po powrocie do domu postanowiłem szukać pracy.

Przed wojną w 1930 r. ukończyłem Liceum Mechaniczne w specjalności obróbka metali. Mogłem pracować jako tokarz-frezer w fabryce. Ponieważ wszystkie fabryki metalurgiczne przechodziły pod Zarząd okupanta i przestawiane na przemysł zbrojeniowy, nie mogłem zdecydować się na pracę dla Niemców.

Na dwa lata przed wojną ukończyłem Liceum Budowlane, postanowiłem szukać pracy w budownictwie. Przypadkowo spotkałem znajomego majstra budowlanego, który zaproponował mi pracę przy remoncie budynku na Bródnie.

Sprowadziłem żonę z dzieckiem. W międzyczasie mój brat Zygmunt wrócił z Gdyni, gdzie brał udział w obronie Wybrzeża i zamieszkał razem z nami.

W niedługim czasie rozpoczął pracę w Warsztatach Kolejowych na Bródnie. Prowadziliśmy wspólne gospodarstwo, było już możliwe. Tylko potwornie mroźna zima dawała się we znaki – brak opału, woda zamarzała w wiadrze w mieszkaniu. Węgiel, który przynosił brat w kieszeniach (nie wolno było wynosić węgla) wystarczał zaledwie na ugotowanie stawy.

Jedynym źródłem zaopatrzenia w opał były leżące przy torach stare podkłady kolejowe, w odległości ok. 1 km od domu. Pod ostrzałem strażników kolejowych przynosiłem podkłady na plecach, wieczorem do domu.

Na wiosnę 1940 r. zostałem przyjęty do pracy w prywatnym przedsiębiorstwie budowlanym przy odbudowie gmachu Banku Gospodarstwa Krajowego w Al. Jerozolimskich. Zarobki moje zwiększyły się i sytuacja bytowa znacznie się polepszyła.

Na jesieni tegoż roku zmieniłem pracę – zostałem zatrudniony jako brygadzysta w Społecznym Przedsiębiorstwie Budowlanym (S.P.B.) przy odbudowie gmachu P.Z.U. na Placu Kopernika. Na budowie tej pracowało kilkuset ludzi. Tu zetknąłem się po raz pierwszy z Ruchem Oporu.

Bez namysłu zadeklarowałem swoją przynależność do organizacji podziemnej. W kilka tygodni później Niemcy znienacka zrobili obławę, obstawili budowę, aresztowali kilkunastu członków organizacji (była „wsypa”). Pozostałym, m.in. i mnie udało się znanymi kanałami wydostać z „kotła”. Na tę budowę już nie wróciłem. Pozostałem bez pracy, jak również straciłem kontakt z organizacją. W Dyrekcji S.P.B. pracował dr inż. Wasiutyński, przed wojną profesor Politechniki Warszawskiej. Dr-a Wasiutyńskiego poznałem przez jego żonę, która była koleżanką mojej żony z Seminarium Nauczycielskiego.

Dr Wasiutyński często przyjeżdżał do naszego domu na Bródnie (tu mieszkała siostra jego żony). Rodzice dr Wasiutyńskiego byli właścicielami kilku kamienic w Warszawie, które uległy uszkodzeniu w czasie oblężenia Warszawy. Na jednej z tych kamienic zostałem zatrudniony. Dr Wasiutyński często przyjeżdżał na tę budowę. Pewnego dnia poprosił mnie na rozmowę. Powiedział: moi rodzice, staruszkowie mieszkają przy ulicy Marszałkowskiej 47, są właścicielami tej kamienicy. Mój ojciec 85-letni staruszek prowadzi administrację tego domu, przychodzi mu to już z wielkim trudem. Proponuję Panu administrację tego domu. Otrzyma Pan mieszkanie i dobre wynagrodzenie. Odpowiedziałem, że porozumiem się z żoną. W tym czasie mieszkalem u rodziców żony (po „wsypie” na budowie dowiedziałem się, że Niemcy wyciągają z domów członków organizacji). W tej sytuacji propozycja dyrektora była nie do odrzucenia. Żona ucieszyła się, że będzie mieszkać bliżej swoich rodziców (mieszkali na ulicy Brackiej). Tak, więc pozostała sprawa uzgodnienia warunków pracy z prof. Wasiutyńskim Seniorem. Pewnego dnia pojechałem z dyrektorem Wasiutyńskim na ul. Marszałkowską 47, gdzie mieszkał prof. Wasiutyński Senior. Po przedstawieniu mnie ojcu, jako kandydata na administratora domu, prof. Wasiutyński zwracając się mnie powiedział:

- wyglądasz Pan na solidnego młodzieńca (miałem wówczas 30 lat), powierzam Panu całkowitą opiekę nad naszą kamienicą. Za kilka dni mieszkanie dla Pana będzie wolne, a po wprowadzeniu się przekażę Panu wszystkie dokumenty i zakres obowiązków administratora kamienicy. Proszę zgłosić się za kilka dni. Po wyjściu od profesora postanowiłem obejrzeć całą kamienicę, miejsce mojej przyszłej pracy. Była to kamienica o trzech kondygnacjach i czterech klatkach schodowych, trzech oficynach i części frontowej od strony ulicy Marszałkowskiej, całkowicie podpiwniczona. W części frontowej kamienicy, na parterze mieściły się sklepy: z zabawkami, włókienniczy oraz kawiarnia z wytwórnią lodów włoskich. Z bramy od ulicy Marszałkowskiej dwa wejścia: z prawej wejście na frontową klatkę schodową, z lewej wejście na zaplecze sklepu włókienniczego. W bramie po prawej stronie wejście do dyżurki dla dozorczy.

Opisuję szczegółowo, bo tu w tej kamienicy sądzone mi było przeżyć cztery długie lata okupacji hitlerowskiej, pełnego napięć i przygód życia w mojej działalności konspiracyjnej w Ruchu Oporu w ZWZ i AK.

Kamienica ta została całkowicie zburzona po powstaniu Warszawskim. Trzecia kamienica od Pl. Zbawiciela po lewej stronie ul. Marszałkowskiej w kierunku obecnego Pl. Konstytucji, tuż za istniejącą w głębi Kliniką Dziecięcą dawniej dr Bryndzy-Nackiego. Obecnie stoi na tym miejscu gmach pod filarami ze sklepem „Berlin”.

Po kilku dniach zgłosiłem się do Profesora i dokładnie omówiliśmy zakres moich obowiązków. W międzyczasie dozorca z dyżurki został usunięty z pracy za pijaństwo. Kamienica została bez dozorczy. Ponieważ przyjąłem obowiązki administratora, do moich obowiązków należało: administrowanie domem, prowadzenie meldunków, napraw bieżących, remontów instalacji sanitarnych i elektrycznych, dbanie o czystość sprzątanie klatek schodowych itp. Z naprawami bieżącymi mogłem sobie dać radę (na budowie gdzie pracowałem miałem kolegów z tej branży). Gorzej było ze sprzątaniem i myciem klatek schodowych. Nowego dozorcę trudno było zaangażować do niedużej dyżurki. Z braku dozorczy doszło jeszcze otwieranie i zamykanie bramy po godzinie policyjnej. W kamienicy tej w części frontowej mieszkała arystokracja, a w oficynach – inteligencja: lekarze, inżynierowie, artyści. Wymagano, więc wzorowej czystości na klatkach schodowych. W zaistniałej sytuacji postanowiłem zrezygnować z pracy, oświadczając Profesorowi, że nie będę mógł wywiązać się z powstałych dodatkowych obowiązków. Profesor prosił, aby nie rezygnować: „jakoś się ułoży, znajdzie Pan jakąś kobietę na przychodnię, do sprzątania schodów. Proszę sprowadzać rodzinę do wolnego mieszkania i rozpocząć urzędowanie, dom nie może pozostawać bez opieki”. Odpowiedziałem, że porozumiem się z żoną. Wieczorem powiedziałem jej o zaistniałej sytuacji. Żona zamartwiła się i odpowiedziała, że decyzja należy do mnie. „Ja nie będę mogła ci pomóc” (mieliśmy dwoje małych dzieci).

Rano na budowie powiedziałem swoim kolegom o mojej decyzji rezygnacji z posady. Odpowiedzieli: „nie możesz rezygnować, pomożemy ci sprzątać schody po fajrancie do czasu, kiedy znajdziesz jakąś kobietę do sprzątania na przychodnię, a że dozorczy nie będzie to bardzo dobrze, może będziemy konspirować, dozorca może być przeszkodą”. Koledzy przekonali mnie. Nazajutrz zgłosiłem się do Profesora oświadczając, że zgadzam się przyjąć pracę.

Jeszcze tego dnia udaliśmy się do Magistratu, gdzie Profesor zgłosił mnie jako administratora domu oraz pełniącego obowiązki dozorczy domu. W ten sposób otrzymałem dwie kenkarty: administratora i dozorczy domu. Bardzo ważne dokumenty, mogłem bezpiecznie poruszać się po mieście. Dokumenty te chroniły mnie przed „łapankami”. Profesor wręczył mi klucze do mieszkania. Mieszkanie na parterze składało się z dwóch małych pokoi, z kuchni i łazienki.

Po przeprowadzeniu się z mieszkania na Bródnie, sprowadziłem żonę z dziećmi od rodziców żony z Brackiej. Rozpoczął się nowy okres w życiu moim i mojej rodziny.

Po kilku dniach przyszło pismo z Magistratu, wyznaczające mnie z urzędu Komendantem O.P.L. Ponieważ obowiązki Komendanta polegały m.in. na dyżurowaniu w nocy, byłem zmuszony zrezygnować z pracy na budowie i zająć się wyłącznie domem i jego sprawami, a to z kolei zmniejszyło znacznie moje dochody.

Na moje narzekanie z tego powodu, mój pracodawca chcąc zrekompensować obniżenie moich dochodów – ofiarował mi nowy warsztat stolarski, z całym wyposażeniem w narzędzia. Urządziłem warsztat stolarski w piwnicy. Posypały się zamówienia z innych kamienic, a nawet z bazaru spod Żelaznej Bramy, zamówienia na budki i stragany. Przyjąłem pomocnika stolarza, kolegę z budowy.

Po kilku dniach zgłosiła się kobieta do sprzątanía klatek schodowych na przychodne. Spadł mi najważniejszy kłopot z głowy. Było już dobrze.

Jako Komendant OPL dyżurowałem do godz. 1.30 po północy.

Właściciel sklepu włókienniczego zaproponował mi zwracanie uwagi na sklep (zdarzały się włamania i kradzieże), oczywiście za opłatą. Wręczył mi zapasowe klucze na zaplecze sklepu i do magazynu. Sprawy ułożyły się. Profesor i wszyscy lokatorzy byli zadowoleni i ja również.

Pewnego dnia przyszedł do mojego warsztatu – kierownik pracowni lodów (pracownia ta jak wyżej wspomniałem mieściła się w tej kamienicy).

Personel pracowni zwracał się do niego per „Pan Tadeusz” (nazwiska nie znałem). Był to młody mężczyzna, przystojny brunet, z wąsikami. Chodził w butach oficerskich i bryczesach. Z Panem Tadeuszem często widywaliśmy się, wychodził na podwórko, na zaplecze pracowni. Po pewnym czasie zaczęliśmy się sobie kłaniać. Byłem zaskoczony jego niespodziewaną wizytą, pomyślałem, że przyszedł z zamówieniem. Przywitał się ze mną, wymienił jakieś nazwisko, którego nie dosłyszałem. Zapytałem, czym mogę służyć. Odpowiedział po namyśle „mam do wykonania trochę robót stolarskich, czy może Pan je wykonać?”. „Tak „- odpowiedziałem. Nagle zmienił temat. Zapytał czy służyłem w wojsku. Odpowiedziałem po namyśle - „tak”. Na co on zapytał, w jakiej formacji i stopniu. Na to pytanie nie odpowiedziałem, bo rozmowę naszą przerwało wejście mojego kolegi – pomocnika. Pan Tadeusz przeprosił i wyszedł. Po jego wyjściu pomyślałem sobie:, w jakim celu pytał się mnie o te sprawy.

W nawale pracy i obowiązków zapomniałem o tej rozmowie. Upłynęło kilka dni od naszej rozmowy. Pewnego dnia byłem w mieszkaniu sam, żona z dziećmi wyszła. Słyszę pukanie do drzwi (myślałem, że to ktoś z lokatorów w sprawie służbowej). „Proszę wejść” – powiedziałem. Pan Tadeusz wszedł i przywitał się ze mną. Poprosiłem żeby usiadł. Rozpoczął rozmowę: „w poprzedniej naszej krótkiej rozmowie pytałem Pana o sprawy, które na pewno Pana zaskoczyły i zdziwiły”. Odpowiedziałem: „istotnie byłem nieco zaskoczony”. Na co on powiedział: „pytałem pana nie bez powodu. Obserwowałem Pana od kilku tygodni i nie tylko ja. Sądzę, że mogę mówić z panem o tych sprawach szczerze”. Odpowiedziałem – „proszę, słucham Pana”.

„Jestem oficerem Armii Podziemnej Z.W.Z. (Związek Walki Zbrojnej) w stopniu podporucznika.” Odpowiedziałem – „tak przypuszczałem”. Zapytał mnie – „ Czy należy Pan do organizacji podziemnej?”. Odpowiedziałem, że należałem, ale kontakt został przerwany i tu opowiedziałem, co zaszło na budowie P.Z.U. Powiedział:, „jeżeli wyrazi Pan zgodę na wstąpienie do ZWZ to ja mogę Pana wprowadzić”. Zgodziłem się, następnie podałem mu swój stopień wojskowy i rodzaj broni. W dalszej rozmowie powiedział, co to za organizacja, kto jest Dowódcą.

W tym czasie istniały już inne organizacje – lewicowe i prawicowe.

Po kilku dniach pojechaliśmy na ulicę Widok, gdzie miała odbyć się przysięga. Weszliśmy do prywatnego mieszkania, tu zastaliśmy już kilku młodych mężczyzn.

Po kilku minutach weszło jeszcze kilku mężczyzn. Pan Tadeusz wydał komendę - „w szeregu zbiórka”. Po chwili otworzyły się drzwi z sąsiedniego pokoju skąd wyszedł mężczyzna w średnim wieku, o siwiejących skroniach i w butach oficerskich. Padła komenda - „baczość”. Pan Tadeusz zameldował: „Panie Majorze podporucznik „Stojewicz” melduje posłusznie 20 żołnierzy ZWZ do przysięgi”. Padły słowa przysięgi, następnie odśpiewaliśmy cicho „Jeszcze Polska nie zginęła”. Po uroczystej przysiędze Major powiedział: „od tej chwili jesteście żołnierzami Polskiej Armii Podziemnej – Związku Walki Zbrojnej”. Po czym Major uścisnął nam dłonie i pojedynczo, w skupieniu opuściliśmy lokal.

Była to moja druga przysięga na wierność Rzeczypospolitej Polskiej. Jak inna niż ta pierwsza, składana w Wojsku Polskim w roku 1930.

Z podporucznikiem Stojewiczem (był to jego pseudonim) byłem w kontakcie, na co dzień, zaprzyjaźniliśmy się, powiedział mi, że był oficerem zawodowym szwoleżerów. Jest Dowódcą III Kompanii V Zgrupowania ZWZ, niedawno mianowanym. Ustaliliśmy program działania wykorzystując moje warunki lokalowe i charakter pracy, a przede wszystkim pomieszczenia znajdujące się w kamienicy, piwnice, strychy, ukryte przejścia, którymi jako administrator domu dysponowałem. W warunkach konspiracji były to atrybuty o wyjątkowym znaczeniu.

Nawiązałem kontakt ze swoimi kolegami i przyjaciółmi sprzed wojny, którzy mieszkali w Warszawie, jak również z kolegami z budowy, werbując ich do organizacji. Po dwóch tygodniach zameldowałem por. Stojewiczowi, mojemu Dowódcy – 22 żołnierzy do przysięgi. Tym razem przysięga odbyła się już w przygotowanym pomieszczeniu suteryny w mojej kamienicy przy ul. Marszałkowskiej.

Na przysięgę przybył poza Dowódcą Kampanii „Stojewiczem”, oficer, do którego mój Dowódca zwracał się „Panie Kapitanie”. On też przyjął przysięgę od moich żołnierzy. Po przysiędze otrzymałem nominację na Dowódcę plutonu. Pluton mój rekrutował się wyłącznie z żołnierzy i podoficerów rezerwy – saperów, piechurów, artylerzystów, kawalerzystów, byłych żołnierzy Wojny Obronnej, a więc żołnierzy wyszkolonych, zahartowanych w walce z najeźdźcą hitlerowskim, gotowych do walki. Ja byłem w stopniu plutonowego artylerii konnej. Pluton podzieliłem na dwie drużyny – po 10 żołnierzy, wyznaczając na dowódców drużyn najstarszych stopniem i wiekiem podoficerów. Drużynowi ustalili pseudonimy swoich żołnierzy. Ustaliłem dni, w których drużynowi mieli się ze mną kontaktować, w moim mieszkaniu. W międzyczasie została wyznaczona w moim domu skrzynka kontaktowa, w której w wyznaczonych dniach łączniczka zostawiała prasę konspiracyjną, którą ja z kolei przekazywałem swoim drużynowym dla ich drużyn. Drużynowi zgłaszali nowych członków do organizacji, którzy zaprzysiężeni stawali się żołnierzami ZWZ i tak w niedługim czasie stan mojego plutonu powiększył się o dalsze 3 drużyny. Na koniec 1941 roku stan plutonu wynosił 60 żołnierzy. W 1942 r. nastąpiła zmiana nazwy organizacji ZWZ na Armia Krajowa (AK). W tym czasie stan plutonu liczył już 105 żołnierzy. W związku z reorganizacją, mój pluton już jako III Kampania Szturmowa została przydzielona do V Zgrupowania AK. Dowódcą Kompanii został ppor. „Stojewicz” Tadeusz Kulickowski, a ja – po nominacji na ogniomistrza - zostałem minowany Szefem tej Kompanii.

W tym czasie terror okupanta nasilał się, zaczęły się aresztowania, egzekucje i łapanki, wywózki do obozów koncentracyjnych.

Aktywność oddziałów dywersyjnych AK w mieście i oddziałów partyzanckich AK w terenie wzmogła się. Rozpoczęto akcję zdobywania broni na żołnierzach Wehrmachtu. Zaczęto gromadzić materiały wybuchowe, broń krótką, granaty.

Pewnego dnia przywieziono do mnie dorożką 200 kg materiału wybuchowego i dwa worki granatów, kilka karabinów ręcznych, jeden karabin maszynowy RKM, radio - z poleceniem zamelinowania w moim domu. Od czasu do czasu drużynowi przynosili zdobytą na Niemcach broń – pistolety ręczne i automaty. I tak w niedługim czasie dom mój stał się małym arsenałem broni i materiałów wybuchowych. Siedziałem w swoim domu jak na przysłowiowej beczce prochu. Dom mój stał się również dla żołnierzy AK – punktem noclegowym i przerzutowym do partyzantki (żołnierzy z innych oddziałów i kompanii, spalonych w akcjach dywersyjnych). Rozpoczęło się szkolenie do walki z okupantem – próbne zgrupowania na terenie miasta. Dla żołnierzy posiadających średnie wykształcenie zorganizowano w moim domu kurs dla podchorążych. Wykłady teoretyczne prowadzili oficerowie z dywersji (KEDYW-u).

W tym czasie wyłoniono z mojej kompanii grupę dywersyjną, składającą się z ośmiu żołnierzy pod moim dowództwem, podlegającą bezpośrednio „Kedywowi” okręgu warszawskiego AK. Grupa ta miała za zadanie przeprowadzenie obserwacji na wyznaczonym terenie (w obszarze miasta oraz poza miastem), osobników polskiego pochodzenia kontaktujących się z funkcjonariuszami niemieckimi, celem współpracy z okupantem. O podejrzanych osobnikach należało natychmiast meldować oficerowi łącznikowemu „Kedywu”, składając odpowiedni meldunek na piśmie. Podaję jeden z wielu przykładów naszej działalności w oddziale. W Pruszkowie, gdzie mieszkał jeden z moich żołnierzy, u jego siostry, mieszkał jako sublokator – granatowy policjant w stopniu sierżanta. Policjant ten był od dłuższego czasu obserwowany. Podejrzenie budziło m.in. to, że codziennie wracał po północy. Na służbę wychodził na zmianę: raz w ubraniu cywilnym, raz w mundurze. Pewnego dnia po wyjściu policjanta na służbę przeprowadziliśmy w jego pokoju rewizję. Jakie było nasze zdumienie kiedy z kieszeni garnituru policjanta wyjęliśmy kopertę wypełnioną papierami. Okazało się, że była to długa lista nazwisk z adresami żołnierzy ruchu oporu z terenu Warszawy, z donosem do „Gestapo”, jak również adres drukarni prasy konspiracyjnej. Po wykonaniu odpisu donosu włożyliśmy go z powrotem do kieszeni garnituru policjanta. Po powrocie do Warszawy natychmiast przystąpiliśmy do ostrzegania według listy członków Ruchu Oporu, jak również drukarnię. Sprawa nie była łatwa, trzeba było działać bardzo szybko. Policjant mógł wrócić po donos i dostarczyć do Gestapo, a wtedy ostrzeganie byłoby bardzo ryzykowne, można było wpaść w „kocioł” Gestapo. Trzeba było działać bardzo ostrożnie, żeby nie narazić własnych żołnierzy. Na liście figurowało ok. 30 adresów. Do tej akcji zmobilizowałem kilkunastu żołnierzy z kompanii. Samo ostrzeganie jak wynikało z meldunków moich żołnierzy, spowodowało duże zamieszanie. Nie wszyscy figurujący na liście byli w domu, byli natomiast domownicy, rodzice, którzy z reguły nie wiedzieli, że ich dzieci są w konspiracji. W takiej sytuacji wszyscy domownicy przeważnie opuszczali mieszkanie w obawie przed aresztowaniem. Po wykonaniu zadania (akcji) oraz sporządzeniu protokołu i załączeniu poświadczonych list donosu wraz z meldunkiem przekazałem oficerowi łącznikowemu „Kedywu”. Wyrok został wykonany w parę dni po naszym meldunku. Wyrok wykonywała specjalna grupa dywersyjna w mieszkaniu policjanta.

Naocznym świadkiem wykonania wyroku była siostra „żelaznego”, członka mojej grupy. Ona też zrelacjonowała nam przebieg akcji wykonania wyroku. Było to tak. W godzinach rannych, kiedy policjant był jeszcze pogrążony we śnie, trzech mężczyzn wtargnęło do mieszkania. Po rewizji osobistej (zabrano pistolet), a następnie odczytaniu wyroku, policjant przerażony ukląkł i prosił o darowanie życia. W pewnym momencie rzucił się w kierunku otwartego balkonu. W tej chwili padł pierwszy strzał, po którym policjant zdążył jeszcze dotrzeć do balustrady balkonu, następnie padły jeszcze dwa strzały i policjant zawisł na balustradzie martwy. Strzały te, przy otwartym balkonie spowodowały popłoch wśród przechodniów na ulicy. Wykonujący wyrok, korzystając z zamieszania na ulicy – opuścili mieszkanie.

Było jeszcze wiele akcji naszej grupy, m.in. przy zdobywaniu broni na żołnierzach Wehrmachtu. Były to akcje najmniej ryzykowne. O jednej nieudanej akcji warto wspomnieć z uwagi na to, że mogła zakończyć się dla nas tragicznie. Przez dłuższy czas był obserwowany przez nas funkcjonariusz niemiecki, dyrektor sklepów dla Niemców „Meinla”. Jako dyrektor znęcał się nad personelem pochodzenia polskiego. Niemiec zajmował apartament w budynku przy ul. Koszykowej (naprzeciwko Biblioteki). Zadanie było bardzo łatwe. Wejść do mieszkania w czasie obecności tylko jego żony, poczekać jak wróci, ostrzec go przed dalszym znęcaniem się na Polakach zatrudnionych w sklepach „Meinla”, zabrać broń i opuścić mieszkanie. Problem polegał na dostaniu się do mieszkania Niemca. Żona dyrektora mogła nie wpuścić podczas nieobecności męża, dwóch obcych ludzi, nawet gdyby podawali się za pracowników gazowni lub elektrowni. Dlatego, żeby wyeliminować wszelkie podejrzenia, pół godziny przed wejściem do mieszkania Niemca należało odłączyć kabel telefoniczny na klatce schodowej, a następnie zadzwonić do drzwi i powiedzieć po niemiecku, że mąż przysłał do naprawy telefonu. Ponieważ telefon faktycznie nie będzie działał, nie mogłaby mieć najmniejszej wątpliwości, że dwaj młodzi ludzie stojący za drzwiami są autentycznymi mechanikami do naprawy telefonu.

Z tak opracowanym planem postanowiliśmy w wyznaczonym dniu i godzinie przystąpić do akcji. Pozostała sprawa wyznaczenia ludzi. Ustaliliśmy, że w akcji tej weźmie udział czterech ludzi: dwóch telefoniarzy do środka i dwóch na zewnątrz jako obstawa, z tym, że do mieszkania wejdą ludzie znający dobrze język niemiecki. Dokładnie o godzinie 14.00 wyszliśmy z mojego mieszkania, wszyscy uzbrojeni w pistolety małokalibrowe typu Visy i FN. O godzinie 14.15 byliśmy przed domem na Koszykowej. „Witek” i „Czesiek” (studenci) weszli do środka kamienicy, a ja i „Michał” (pracownik PKP z Grodziska Mazowieckiego) zostaliśmy po drugiej stronie ulicy jako obstawa, gdyby zaszła potrzeba przy wycofaniu się z akcji. Michał zajął miejsce naprzeciwko kamienicy, przy kiosku z gazetami. Kupił „gadzinówkę” i obserwował okna na III piętrze, gdzie mieli wejść Witek i Czesiek. Ja zachowując łączność wzrokową z Michałem, stanąłem w odległości ok. 50 m. w bramie, po tej samej stronie, co Michał, w kierunku Mokotowskiej. Witek i Czesiek po wejściu do mieszkania mieli dać znać w oknie, że są na miejscu. Spojrzałem na zegarek, była godzina 14.30, wyszedłem z bramy. Michał dał mi znak, że Witek i Czesiek są w mieszkaniu Niemca. Czekaliśmy teraz na jego powrót do domu. Mieliśmy informację, że Niemiec wraca do domu punktualnie o 14.45, a cała akcja miała być zakończona najdalej o godzinie 15.00.

Chłopcom na górze miało wystarczyć czasu na konwersację z Niemcem, zabranie broni, zamknięcie w łazience obojga Niemców i wycofanie się z akcji. Spojrzałem na zegarek – dochodziła godzina 15.00. Zaniepokojony tym opóźnieniem wyszedłem z bramy, nagle patrzę i oczom nie wierzę. Michał idzie w moim kierunku z podniesionymi ramionami, a za nim dwóch Niemców z wycelowanymi w jego plecy karabinami. Momentalnie ulica opustoszała z przechodniów, na ulicy zostałem tylko ja i Michał w asyście dwóch Niemców. Mogłem cofnąć się jeszcze w kierunku ulicy Mokotowskiej, ale tego nie zrobiłem, szedłem jak zahipnotyzowany w kierunku Michała. Po zbliżeniu się na odległość kilku metrów, jeden z Niemców dał mi znak karabinem abym zszedł z chodnika na jezdnię, co uczyniłem. Mijając ich spojrzałem Michałowi w oczy, był blady, ale spokojny. Przy mijaniu jeden z Niemców skierował w moim kierunku karabin. Dopiero po moim przejściu kilka metrów, skierował karabin ponownie w plecy Michała. W tej sytuacji nie mogłem Michałowi pomóc. Dochodząc do ulicy Marszałkowskiej nagle usłyszałem wystrzał. Obejrzałem się, ale Niemców i Michała już nie widziałem. Byłem przekonany, że Michał zaryzykował ucieczkę i został zastrzelony. Pobiegłem w kierunku ulicy Mokotowskiej. Usłyszałem jeszcze jeden wystrzał. Na rogu Mokotowskiej i Koszykowej, przy piekarni Tureckiej zebrał się tłum ludzi rozprawiający o wydarzeniu, które miało miejsce kilkanaście minut temu. Dowiedziałem się od naocznych świadków tego wydarzenia (kobiet handlujących na chodniku przy Piekarni), że młody człowiek prowadzony przez dwóch Niemców – uciekł w ulicę „Piusa XI”. Natychmiast wróciłem ucieszony do domu w nadziei, że udało się Michałowi uciec. Wpadłem do domu na Marszałkowską, gdzie czekali pozostali koledzy. Na mój widok zerwali się z miejsc. „Co się stało?” - zapytali. Po chwili opowiedziałem im, co zaszło. Siedzieliśmy w milczeniu, kiedy drzwi się otworzyły i weszli Witek i Czesiek. A oto, co oni opowiedzieli o swojej akcji w mieszkaniu Niemca.

Po wejściu na klatkę schodową, tak jak było ustalone, odłączyli przewód telefoniczny, następnie zapukali do drzwi. Po pewnym czasie głos kobiety zapytał, „kto?”. Czesiek mówiący perfektnie po niemiecku odpowiedział, że zostali przysłani z polecenia męża do naprawy telefonu. Tak jak było do przewidzenia Niemka odpowiedziała, że telefon działa, na co Czesiek powiedział „proszę sprawdzić”. Po chwili Niemka otworzyła drzwi i dwaj „telefoniarzy” znaleźli się w mieszkaniu. Powoli przystąpili do naprawy – rozbiórki telefonu. W międzyczasie Witek dał znak w oknie – stojącemu przy kiosku Michałowi, że wszystko w porządku. Zapytali, o której godzinie wraca mąż, odpowiedziała, że o godzinie 15-tej, a więc wszystko się zgadzało. Czesiek powoli składał rozebrany na części telefon, jednocześnie prowadził rozmowę z Niemką, spoglądając od czasu do czasu na zegarek. Zbliżała się godzina 14.45. W pewnym momencie Witek stojąc przy oknie powiedział „pryskamy”. Na pytanie Cześka, –„dlaczego”, Witek wzrokiem wskazał okno. Zobaczyli jak dwaj Niemcy prowadzi Michała z podniesionymi ramionami. Czesiek spokojnie powiedział, że telefon jest w porządku, uszkodzenie jest na pewno na klatce schodowej, poczym wyszli na ulicę. W tym czasie usłyszeli wystrzał pochodzący od strony ulicy Mokotowskiej. Korzystając z popłochu na ulicy Koszykowej, dotarli do Marszałkowskiej i droga okrężną na „metę”. Po relacji Cześka i Witka przyszły refleksje: jeżeli Michał w ucieczce został ranny to jest obawa, że przy badaniu w Gestapo może nie wytrzymać i zdradzi naszą „bazę”. W tej sytuacji należało natychmiast działać i likwidować „bazę”, a przede wszystkim składowanie broni i materiałów wybuchowych. Łatwo powiedzieć „zlikwidować”, ale jak i gdzie?

Żona z dziećmi od kilku tygodni przebywała na wsi w lubelskim, u swojej rodziny. Tak rozmyślając nad sytuacją, od momentu tego wydarzenia upłynęło około godziny. Nagle drzwi się otwierają i oczom nie wierzymy – w drzwiach stoi Michał. Żywy i cały. Rzuciliśmy się na niego wszyscy, ściskając go. Radość była nie do opisania. Po szale radości i uspokojeniu, Michał przystąpił do zrelacjonowania swojej niesamowitej przygody: „Kiedy stałem przy kiosku z gazetami, udawałem, że czytam gazetę, od czasu do czasu przez dziurę w gazecie obserwowałem okno lokalu, gdzie mieli znajdować się Witek i Czesiek. Widziałem jak Witek dawał mi znak głową, że jest wszystko w porządku. Co chwilę spoglądałem na zegarek. Kiedy minęła 14.15 zacząłem denerwować się, że moje tak długie stanie w jednym miejscu może zwrócić czyjeś podejrzenie. Zapaliłem papierosa i w dalszym ciągu udawałem, że czytam, spoglądając w okno. Przechodnie przechodzili obok mnie, nie zwracając na mnie uwagi, to mnie trochę uspokoiło. Nagle słyszę ciężkie kroki butów żołnierskich, od strony ulicy Marszałkowskiej. Odwróciłem głowę i zobaczyłem dwóch żołnierzy lotników niemieckich z karabinami na plecach, idących w moim kierunku. Nie zwracając na nich uwagi, a przynajmniej udając, wróciłem do przeglądania „gadzinówki”. Niemcy podeszli do kiosku i kupili papierosy. Zauważyłem, że przy płaceniu za papierosy, zdjęli karabiny, następnie odeszli od kiosku dwa, może trzy kroki. Nagle usłyszałem „Hande hoch”. Zamarłem, zobaczyłem dwa karabiny skierowane we mnie. Zrobiłem instynktownie ruch w kierunku kieszeni, w której tkwiła moja FN-ka, ale przystawione do mojej piersi lufy karabinów udaremniły wydobyć pistoletu. Podniosłem ręce do góry. Pomyślałem sobie, że to już jest koniec. Jeden z Niemców wsadził mi rękę do kieszeni i wyciągnął FN-kę. Włożywszy ją do swojej kieszeni, wskazał karabinem w kierunku ulicy Mokotowskiej i krzyknął „raus”. Drugi Niemiec przyłożył mi lufę swojego karabinu, poczułem chłód żelaza pod łopatką. Nogi mi się ugięły jakby były z gumy. Przechodnie zaczęli w popłochu uciekać i kryć się w bramach. Po kilkunastu sekundach ulica opustoszała. Na ulicy zauważyłem tylko jednego mężczyznę idącego w naszym kierunku. W mężczyźnie tym poznałem naszego Szefa Kompanii „Żelbeta”. Kiedy SzeF zbliżył się do nas na odległość kilku metrów, jeden z Niemców skierował w jego stronę lufę karabinu dając znak by zszedł z chodnika na jezdnię, co też uczynił. Mijając nas jeden z Niemców gwałtownie się obrócił z wymierzonym w plecy Szefa karabinem. Byłem przekonany, że strzeli Szefowi w plecy”. W tym momencie Michał przerwał swoje opowiadanie, popatrzył na mnie tak jakby sobie coś przypomniał, następnie zwracając się do siedzących kolegów powiedział: „Nasz SzeF Żelbet jest nie tylko patriotą, który codziennie naraża swoje życie dla Ojczyzny, ale jest odważnym żołnierzem i wspaiałym naszym dowódcą”. Po tych słowach podszedł do mnie i serdecznie mnie uściskał, koledzy uczynili to samo. Przyznaję, że tą wypowiedzią Michała i zachowaniem jego i kolegów byłem zaskoczony, no i nie ukrywam – byłem wzruszony. Michał kontynuował: „idąc byłem pochłonięty tylko jedną myślą, jak uwolnić się od prowadzących mnie Niemców. Nie przychodziło mi nic do głowy. Zdawałem sobie sprawę, że sytuacja moja jest beznadziejna, ale nie mogłem pogodzić się tym. Kiedy zbliżaliśmy się do rogu ulic Koszykowej i Mokotowskiej zauważyłem, że przed Piekarnią Turecką siedziało kilka kobiet, z koszykami i pieczywem rozstawionymi pod ścianami. Poza tym, normalny ruch przechodniów na chodniku. Pomyślałem: teraz albo nigdy i decyzję podjąłem natychmiast, była to moja jedyna szansa uratowania życia.

Mijając drzwi wejściowe do Piekarni, gwałtownie obróciłem się i całą siłą na jaką mogłem się zdobyć, z półobrotu rąbnąłem w głowę idącego za mną Niemca. Niemiec stracił równowagę i wpadł w otwarte drzwi Piekarni. Drugiego Niemca idącego obok mnie kopnąłem w dół brzucha, ten zwinął się z bólu. Na chodniku powstał harmider, kobiety zerwały się z miejsc gubiąc koszyki z pieczywem. Ja skacząc po rozwalonych koszach, wywracając po drodze napotkane osoby, mieszając się z uciekającym tłumem przechodniów, biegłem w kierunku ulicy Piusa XI. W międzyczasie usłyszałem strzały. Czy Niemiec strzelał we mnie czy w górę - tego nie wiem. Zrobił się na ulicy wielki popłoch – ludzie jedni uciekali razem ze mną, inni ukrywali się w bramach, a ja biegłem na przodzie tłumu. Obejrzałem się i w pewnej chwili zauważyłem w odległości ok.50 metrów biegnących za mną dwóch Niemców. Dobiegając do rogu ulicy Mokotowskiej i Piusa (Piękna) z przerażeniem zobaczyłem stojącą przy chodniku czarną limuzynę, a w niej na tylnym siedzeniu oficera Gestapo. Kiedy zbliżyłem się do samochodu, krzyknąłem wskazując ręką do tyłu „Banditen” i biegłem dalej w kierunku ulicy Marszałkowskiej. Przy ulicy Marszałkowskiej przebiegłem przez jezdnię i tu natknąłem się na dwóch żołnierzy Wehrmacht'u. Nie zwracając uwagi na okrzyki Niemców „Halt” biegłem dalej, a Niemcy biegli za mną. Wbiegłem pierwszym wejściem na podwórko kina „Polonia”, gdzie stała kolejka ludzi po bilety na seans, a wybiegłem drugim wejściem na ulicę Marszałkowską. Przebiegłem jeszcze kilkanaście metrów i wskoczyłem w biegu do nadjeżdżającego tramwaju. Na następnym przystanku przy Al. Jerozolimskich wysiadłem i tu w tłumie ludzi poczułem się bezpieczny. Przy Al. Jerozolimskich wsiadłem w tramwaj w kierunku Dworca Głównego, gdzie wysiadłem, wszedłem do poczekalni, w bufecie wypłem piwo, po czym udałem się już na piechotę, no i jestem. To wszystko” - zakończył uśmiechając się Michał. Opowiadania Michała wysłuchaliśmy wszyscy w wielkim skupieniu. W czasie opowiadania nikt z kolegów nie odezwał się. Dopiero, gdy skończył swoje opowiadanie padły pierwsze pytania, m.in. i do mnie. Dlaczego widząc Michała idącego z podniesionymi rękami w towarzystwie dwóch uzbrojonych Niemców, nie wycofałem się razem z uciekającymi w panice przechodniami, tylko uparcie szedłem w ich kierunku. Szanse na odbicie Michała były żadne, tym bardziej, że Michał już nie posiadał pistoletu. Odpowiedziałem: „Pozwólcie, że na to pytanie nie odpowiem, a przynajmniej teraz. Proponuję, abyśmy się rozeszli, dość na dzisiaj wrażeń, a poza tym jest już późno”. Po chwili zebrani pojedynczo opuścili moje mieszkanie. Był to dla nas wszystkich ciężki dzień. Nazajutrz złożyłem mojemu dowódcy raport z nieudanej akcji. Dowódca wysłuchawszy mojego raportu powiedział „Dobrze, że się tak skończyło, mogło być gorzej. Pistolet zabrany Michałowi przez Niemców proszę skreślić ze stanu”. Następne dni i tygodnie toczyły się bez szczególnych wydarzeń – szkolenia, zbiórki, kolportaż prasy konspiracyjnej.

Nocami po zamknięciu bramy (godzina policyjna) miałem chwile wolne, choć nie zawsze - pełniłem obowiązki Komendanta OPL. Od czasu do czasu spokój nocy zakłócany był dzwonkiem do bramy. Dzwonki te z reguły nic dobrego nie wróżyły. Chociaż zdarzało się, że niektórzy lokatorzy korzystali z przepustek nocnych (wydanych przez Niemców) i wracali po godzinie policyjnej, ale nie później niż o godzinie 24ej. Lokatorzy Ci byli zatrudniani w lokalach gastronomicznych dla Niemców. Byli oni wszyscy sprawdzeni. Zresztą dzwonki te były bardzo słabe, niealarmujące, wychodząc do bramy z góry widziałem, że to swój. Wszystkich lokatorów znałem dokładnie.

Pewnej nocy (było to zimą) byłem bardzo zmęczony pracą w warsztacie, rozebrałem się do spania, zgasilem światło. Wtem nagle dzwonek z bramy. Był to dzwonek alarmujący, przeciągły i przenikliwy. Poczułem ukłucie w mózgu. Zapaliłem światło, była godzina 1.30.. Dzwonki te powtarzały się ze wzmożoną gwałtownością. Założyłem na siebie tylko kożuch i kapcie i wyskoczyłem do bramy. Przy okienku w bramie, z daleka ujrzałem stojącą po drugiej stronie ulicy czarną limuzynę. Wiedziałem, kto jeździ takimi samochodami w nocy. Nogi się pode mną ugięły. Wiedziałem, w jakiej sprawie przyjeżdżają Gestapowcy o tej porze. Za bramą z boku zobaczyłem kilku (3-4) Gestapowców. Stojący za bramą Gestapowiec warknął „Schnell”. Ręka mi się zatrzęsła, z trudnością wsadziłem klucz do zamka bramy. Zniecierpliwieni Gestapowcy obrzucili mnie wyzwiskami za moją opieszałość. Kiedy wreszcie otworzyłem drzwi, Gestapowcy wpadli jak rozjuszony bestie do bramy. W bramie paliło się słabe światło, rozpoznałem dwóch oficerów i dwóch podoficerów Gestapo. Podeszli do listy lokatorów, która była zawieszona w bramie. Jeden z oficerów oświetlał listę latarką, od góry do dołu. Zadrżałem, kiedy światło zatrzymało się na ostatnim numerze listy lokatorów (moje mieszkanie). Pomyślałem: no to koniec, przyjechali po mnie. Byłem pewny, że w kamienicy nikt poza mną do konspiracji nie należy, a więc przyjechali po mnie. Myśl ta błyskawicznie przemknęła mi przez głowę. Jakie było moje zdziwienie, kiedy oficer zwracając się do mnie łamaną polszczyzną powiedział: „Prowadź lokal 20”. Prowadząc ich na drugą stronę kamienicy, do prawej oficyny, pomyślałem: na pewno pomylili się. W lokalu pod nr.20 mieszkali starsi ludzie - małżeństwo w wieku powyżej 60 lat. Weszliśmy na III piętro, tam właśnie mieszkał Pan Niedolistek z żoną.

Jeden z Gestapowców zwrócił się do mnie: „dzwon i powiedz, że dozorca”. Nacisnąłem dzwonek. Czekając na otwarcie drzwi przez p. Niedolistka skojarzyłem sobie pewne fakty, które pozwoliły sądzić, że Gestapowcy nie pomylili lokalu. Przypomniałem sobie, że p. Niedolistek wychodząc przed zamknięciem bramy powiedział mi, że dzisiaj będzie nocować na Koszykowej w swojej drukarni. Nie dzieląc się tą informacją z Gestapowcami, uparcie nacisnąłem dzwonek. Ponieważ nikt się nie odzywał, jeden z Gestapowców powiedział „wal mocno w drzwi”. Trzymając w ręku duży klucz od bramy, uderzałem w drzwi z całej siły, wiedząc już na pewno, że drzwi nikt nie otworzy. W tym czasie, kiedy ja dobijałem się do drzwi, Niemcy stali za mną pod ścianą, z bronią gotową do strzału. Kiedy moje dobijanie nie odniosło skutku, Gestapowiec odepchnął mnie automatem i zaczął kolbą uderzać w drzwi z całej siły. Po kilku bezskutecznych uderzeniach, oficer zwrócił się do mnie z poleceniem, abym przyniósł narzędzia do wywarzenia drzwi. Zszedłem na dół. Po wyjściu z klatki usłyszałem „Hausmeister halt!”. Zatrzymałem się i usłyszałem, że Gestapowcy schodzą na dół. Pomyślałem – zrezygnowali z włamania. Czekając na zejście Gestapowców zobaczyłem w oknach wyglądające twarze lokatorów. Dobijanie się Niemców do mieszkania i ich hałaśliwe zachowanie, postawiło lokatorów na nogi. Przechodząc przez podwórko obok swojego mieszkania zobaczyłem moją żonę w uchylonych drzwiach. Byłem przekonany, że z chwilą dojścia do bramy, rola moja zakończy się zamknięciem bramy. Niestety oficer zapytał mnie, czy wiem gdzie znajduje się drukarnia Niedolistka. Odpowiedziałem, że nie wiem. Wyjął z kieszeni notes, przyświecił latarką i po chwili zapytał, czy wiem gdzie jest ulica Koszykowa i czy daleko. Odpowiedziałem, że wiem i że nie jest daleko. „Prowadź” – powiedział.

Ruszyliśmy w kierunku Koszykowej, a dwa czarne samochody powoli jechały za nami ulicą Marszałkowską. Kiedy doszliśmy do Koszykowej sądziłem, że moja rola się zakończyła i że pozwolą mi iść do domu. Niestety Gestapowcy zatrzymali się na rogu Marszałkowskiej i Koszykowej, nie byli zdecydowani, w którą stronę Koszykowej pójść, w końcu zdecydowali się iść w prawą stronę. Tutaj rozdzielili się na dwie grupy – jedna grupa poszła lewą stroną ulicy Koszykowej (wśród nich byłem ja), a druga poszła prawą stroną w kierunku ulicy Mokotowskiej. Przed każdą bramą zatrzymywali się, oświetlając wszystkie szyldy. W połowie ulicy pomiędzy Marszałkowską a Mokotowską, grupa idąca po przeciwnej stronie zatrzymała się dając znak grupie, w której ja byłem. Przeszliśmy przez jezdnię i znaleźliśmy się przed bramą, gdzie widniał mały szyldzik „Drukarnia” z nazwiskiem Niedolistek. Oficer Gestapo zwrócił się do mnie i powiedział „Raus nach Hause!”. Ruszyłem przed siebie w kierunku Marszałkowskiej, nie oglądając się za siebie. Na Marszałkowskiej wszedłem do pierwszej wnęki w bramie, żeby ogrzać rękami skostniałe z zimna stopy (była zima, ja w rannych kapciach). Następnie skokami z bramy do bramy, kryjąc się przed przejeżdżającymi samochodami Gestapo, dotarłem do bramy swojego domu. Spacer w towarzystwie Gestapowców trwał około godziny. Kiedy wszedłem w bramę, lokatorzy stali już na podwórku, ciesząc się z mojego powrotu i wypytując się o szczegóły mojej przygody z Gestapowcami. Nazajutrz rano żona p. Niedolistka opowiedziała o aresztowaniu męża. Po dwóch miesiącach p. Niedolistek szczęśliwie wrócił, był podejrzany o drukowanie gazetek i ulotek antyniemieckich. A ja po odleżeniu kilku dni w łóżku przystąpiłem do wykonywania swoich obowiązków. Wydarzenie to wzmogło moją czujność. Następne dni i tygodnie upływały bez specjalnych wydarzeń.

Był już rok 1943. Jak w każdą noc pełniłem dyżur siedząc w swoim mieszkaniu, moi synowie już dawno spali, żona jeszcze krzątała się po mieszkaniu. Nagle zadzwonił dzwonek. Spojrzeliśmy po sobie, „kto do licha o tej porze?” – powiedziała żona. Spojrzałem na zegar, była godzina 0.30, „To na pewno ktoś z lokatorów” - powiedziałem, ale zanim włożyłem kożuch, dzwonek powtórzył się jeszcze dwukrotnie, tym razem gwałtownie i przeciągle. Wychodząc powiedziałem do żony „to nie lokator”. Dochodząc do bramy zauważyłem przez okienko w bramie sylwetki dwóch mężczyzn – cywilów w skórzanych płaszczach i kapeluszach. Kiedy otworzyłem bramę, do środka weszli dwaj cywile, a za nimi dwaj oficerowie z „trupimi główkami” na czapkach. Tak jak przy poprzedniej „wizycie” podeszli do listy lokatorów, oświetlając ją latarkami, tym razem zatrzymując promień światła na jej początku. Niemiec po sprawdzeniu w notesie, odwrócił się do mnie i wskazał lokal nr.3. W lokalu tym mieszkali Państwo Jeżewscy, młode bezdzietne małżeństwo. Zajmowali duże mieszkanie w części frontowej kamienicy na I piętrze. Okna wychodziły na ulicę Marszałkowską. Pan Jeżewski – urzędnik w wieku ok.36 lat, pracował w Magistracie, gdzie również pracowała jego żona. Z Panem Jeżewskim spotykaliśmy się bardzo często, przeważnie w bramie. Kilka razy rozmawialiśmy dłużej. W tych rozmowach starałem się dowiedzieć czegoś więcej o nim, ale kiedy rozmowa wkraczała na tematy dotyczące walki z Niemcami zauważyłem, że raczej unikał tych tematów. Postanowiłem na przyszłość nie rozmawiać z nim na te tematy i nasze spotkania w bramie ograniczały się wyłącznie do słów „Dzień dobry”. Z jego zachowania wywnioskowałem, że nie należy i nie chce należeć do Ruchu Oporu. Toteż, kiedy Gestapowiec wskazał mi lokal nr. 3 – byłem zaskoczony.

Gestapowiec wykonał gest, z którego zrozumiałem, że mam iść pierwszy. Skierowałem się w kierunku klatki schodowej, gdzie na I piętrze mieściło się mieszkanie państwa Jeżewskich. Gestapowcy wchodzili za mną pojedynczo, przy ścianie, przy tym zauważyłem, że zachowują się bardzo cicho, porozumiewając się na migi. Na klatce schodowej, (mimo, że schody były wyłożone grubym dywanem) szli na palcach. Kiedy stanąłem przed drzwiami, Gestapowiec idący za mną przytrzymał mnie za ramię i cicho powiedział: „Sprechen Hausmajster”. Nacisnąłem guzik dzwonka i za chwilę z drugiej strony odezwał się głos Pani Jeżewskiej, – „Kto tam?”. Odpowiedziałem, podając swoje nazwisko – „Proszę otworzyć”. Drzwi się otworzyły, Gestapowiec gwałtownie odepchnął mnie wpadając do mieszkania z pistoletem w rękę i popychając brutalnie przerażoną Panią Jeżewską. Za nim wpadli pozostali trzej Gestapowcy z pistoletami maszynowymi. Ostatni wchodząc zamknął za sobą drzwi, a ja zszedłem na półpiętro i czekałem na Gestapowców, żeby zamknąć za nimi bramę. Czekałem około pół godziny, w końcu usłyszałem, że drzwi się otwierają i za chwilę zobaczyłem schodzącego Gestapowca, z dużą walizką w rękę. Jak mnie zobaczył to postawił walizkę koło mnie i pobiegł z powrotem na górę. Za kilka minut usłyszałem, że schodzą wszyscy Gestapowcy. Kiedy zeszli na półpiętro zauważyłem, że dwaj Gestapowcy niosą również walizki. W międzyczasie żona moja zaniepokojona moją długą nieobecnością zeszła do bramy zobaczyć, co się ze mną dzieje. W tym momencie wychodziliśmy z klatki schodowej, ja pierwszy z walizką w rękę. Niemcy widząc stojącą kobietę byli zaskoczeni, odwracając się do nich szybko wyjaśniłem, że to moja żona. Jeden z Gestapowców niosących walizkę, postawił ją i kazał żonie żeby niosła walizkę. Żona ociągając się wzięła walizkę i wyszliśmy wszyscy za bramę, gdzie czekały dwa samochody. Gestapowcy załadowali walizki na samochody i odjechali, a ja zamknąłem bramę i wróciliśmy z żoną do mieszkania. Tej nocy długo nie mogliśmy z żoną zasnąć. Nazajutrz Pani Jeżewska szczegółowo opowiedziała mi o „wizycie” Gestapowców. Pani Jeżewska mówiła: „brat mój - oficer AK, został przed kilkoma tygodniami aresztowany przez Gestapo. Dowiedzieliśmy się, że jest w Al. Szucha. Byliśmy zrozpaczeni, szukaliśmy różnych kontaktów na wydostanie go z tej kaźni, niestety wszystkie nasze starania okazały się bezskuteczne. Pewnego dnia pojechaliśmy z mężem do mieszkania brata, gdzie mieszkał jako sublokator. Zapakowaliśmy jego rzeczy do walizek i przywieźliśmy do siebie. Kiedy Gestapowcy wpadli do mieszkania, zastanowiło nas ich zachowanie. Splądrowali całe mieszkanie, zaglądali pod łóżka, do szaf. Odniosłam wrażenie, że szukają kogoś. Dopiero po dokładnym przeszukaniu mieszkania przystąpili do otwierania walizek, które stały jeszcze nie rozpakowane, pytając przy tym czyje to walizki. Odpowiedziałam, że brata, przywiezione z jego mieszkania. Nie mogłam powiedzieć, że męża, bo jego garderoba wisiała w szafie”. Zapytałem, jak zachowali się Gestapowcy w stosunku do jej męża. Odpowiedziała: „kiedy weszli do mieszkania, mąż akurat leżał w łóżku, zażądali od niego Ausweis i po okazaniu dali spokój. Wtłoczyli do waliz wyrzucone na podłogę rzeczy brata i wyszli”. Po wysłuchaniu opowiadania Pani Jeżewskiej, zrozumiałem, dlaczego Pan Jeżewski w rozmowach ze mną unikał tematu.

Nadeszła wiosna 1943 roku. Niemcy upojeni sukcesami na froncie wschodnim, wzmoogli terror. Zaczęły się aresztowania, egzekucje, łapanie i wywózki do obozów koncentracyjnych. Należało wzmóc czujność i ostrożność w działaniu konspiracyjnym Ruchu Oporu, który w mieście ponosił duże straty.

Dowództwo AK specjalnym rozkazem wzywało i ostrzegało o zachowaniu jak najdalej idącej rozwagi w działalności konspiracyjnej pododdziałów. Szczególnie w punktach, gdzie odbywały się szkolenia, kolportaż prasy konspiracyjnej, magazynowanie broni i materiałów wybuchowych. Natychmiast przystąpiłem do niezbędnych zabezpieczeń potrzebnych do zachowania maksymalnego bezpieczeństwa. I tak w korytarzach piwnicznych, którymi można było przejść nie wychodząc na podwórze, przez wszystkie oficyny wykuliśmy w murach piwnic otwory, którymi można było przejść z budynku do sąsiednich kamienic. Otwory te były odpowiednio zamaskowane. Do pomieszczeń piwnicznych, którymi dysponowałem zostały zainstalowane zarówno od bramy jak i od ulicy – alarmujące dzwonki elektryczne. W pomieszczeniach tych nocowali członkowie Ruchu Oporu przerzucani do partyzantki. Ponadto w pomieszczeniach tych odbywały się szkolenia i inne spotkania członków Ruchu Oporu. W czasie Powstania spełniały one rolę schronów przed ostrzałem artylerii niemieckiej na Warszawę. W celu zabezpieczenia wejścia do kamienicy przed niepożądanymi „gośćmi”, przed bramą od rana do późnego popołudnia, (kiedy coś się działo) „urzędował” żołnierz – kolega, sprzedając z koszyka bułki. On to naciskał guzik dzwonka elektrycznego, zainstalowanego przy bramie, kiedy zbliżał się patrol żandarmerii bądź, gdy wchodził do bramy nieznany podejrzany osobnik. Dzięki takiemu zabezpieczeniu w kamienicy mogły odbywać się spotkania i szkolenia, bez obawy nagłego zaskoczenia przed niepożądanymi „gośćmi”.

Przez pewien okres czasu nic specjalnego się nie działo. Pewnego dnia w godzinach przedwieczornych zostałem zaalarmowany dzwonkiem od bramy przez odchodzącego już kolegę „Feliksa” - „Piekra”. Wyskoczyłem z mieszkania do bramy. W bramie zobaczyłem wchodzącego szybkim krokiem mężczyznę w butach oficerskich i płaszczu. Zatrzymał się, chwilę popatrzył na mnie i zapytał ściszym głosem: „Żelbet?”. Po chwili wahania odpowiedziałem - „tak”. Mężczyzna wyjął z kieszeni mały rulonik papieru, na którym było napisane: „Proszę przyjąć bagaż” i podpis „Zygmunt” (był to podpis mojego Dowódcy kapitana z dywersji). Pytam-„Gdzie bagaż?”, „W dorożce”- odpowiada nieznany mężczyzna. Natychmiast otworzyłem bramę, w którą wtoczyła się dorożka z postawioną budą. Nieznajomy szybko zamknął bramę. Spojrzałem do środka dorożki i zobaczyłem dwóch mężczyzn w środku, między nimi zawinięty w koc - duży bagaż. Nieznajomy zbliżył się do mnie i powiedział: „To jest nasz człowiek, partyzant ranny, odbity ze szpitala, proszę go przechować przez 3-4 dni”. Kazałem dorożkarzowi podjechać jak najbliżej drzwi mojego mieszkania, następnie dwóch mężczyzn siedzących w dorożce –wysiadło i wyniosło „bagaż” do mojego mieszkania, kładąc go na tapczanie. Kiedy po kilkunastu sekundach wyszedłem na podwórko, dorożki już nie było. Kolega „Feliks” również opuścił swoje stanowisko przed bramą i poszedł do domu. Po przyjeździe do mieszkania zastałem gorączkującego partyzanta i przerażoną żonę. Zdecydowałem, że żona z dziećmi, jeszcze tego wieczoru musi pojechać do swoich rodziców na Bracką. Po zamknięciu bramy, sprowadziłem mieszkającego w kamienicy emerytowanego lekarza, który dokonał wymiany opatrunku i opuścił moje mieszkanie. Tej nocy trudno było mi zasnąć, ranny partyzant całą noc jęczał z bólu. Nazajutrz wezwałem lekarza, który zmienił rannemu opatrunki i chory poczuł się lepiej. Na tyle lepiej, że mógł ze mną rozmawiać. Dowiedziałem się, że został ranny kilka dni temu w potyczce z Niemcami w lasach otwoczkich.

Przywieziony został do szpitala Bożego Jana przy ulicy Bonifaterskiej, gdzie po podleczeniu, wraz z innymi kolegami, za kilka dni miał być rozstrzelany. Przy tym opowiedział mi jak został uwolniony ze szpitala:

„W godzinach popołudniowych na salę, gdzie leżało kilkunastu rannych partyzantów i żołnierzy z Ruchu Oporu, wtargnęło czterech uzbrojonych mężczyzn (w białych kitlach). Po sterroryzowaniu personelu, jeden z mężczyzn powiedział: „kto z rannych może chodzić, niech natychmiast schodzi na dół do karetek pogotowia stojących na podwórku szpitala, a kto nie może chodzić będzie zniesiony na noszach”. Przy znoszeniu rannych zaangażowani byli rozbrojeni policjanci granatowi, pełniący służbę wartowniczą w szpitalu. Po załadowaniu karetek pogotowia rannymi, karetki te na sygnałach wyjechały ze szpitala w miasto. Co pewien czas karetka zatrzymywała się i konwojenci wyprowadzali bądź wynosili rannych, zostawiając ich na z góry zaplanowanym miejscu. Było już szaro, kiedy karetka zatrzymała się. Zorientowałem się, że jesteśmy gdzieś na przedmieściach Warszawy. Mnie i jednego z moich towarzyszy wniesiono do szopy przy zabudowaniu. W szopie tej zastaliśmy przygotowany garnek z wodą i chleb. Sanitariusze odchodząc powiedzieli nam, że musimy zachowywać się cicho i cierpliwie czekać do jutra, następnie zamknęli szopę na kłódkę i odeszli. Następnego dnia przed wieczorem drzwi szopy otworzyły się i weszli dwaj mężczyźni, ci sami, którzy nas przywieźli. Przed szopą stała furmanka wysłana słomą. Załadowano nas na furmankę, owijając w koce i zarzucając słomą. Ruszyliśmy w drogę. Była to droga polna, bo niesamowicie trzęsło. Po jakimś czasie furmanka zatrzymała się, czekaliśmy kilkanaście minut. Zauważyłem, że dwaj mężczyźni, którzy nas transportowali, patrzyli, co chwila na zegarki – widać było, że się denerwują. W pewnej chwili spoza budynków wyjechała dorożka. Kiedy dorożka się zatrzymała pomyślałem, że właśnie na tę dorożkę czekaliśmy. Dwaj mężczyźni z furmanki zabrali mnie i zanieśli do stojącej niedaleko dorożki. W dorożce siedziało dwóch mężczyzn. Posadzono mnie między nimi i dorożka natychmiast ruszyła w kierunku Warszawy. Furmanka z rannym żołnierzem i dwoma konwojentami odjechała w innym kierunku. A my, bez zatrzymania się, szczęśliwie dojechalismy tutaj. I to wszystko”- zakończył swoje opowiadanie partyzant.

Tego dnia udałem się na ulicę Bracką, gdzie poprzedniego dnia żona moja z dziećmi pojechała do swoich rodziców. Powiadomiłem żonę o tym, co zaszło, prosząc, jeśli to możliwe, aby pozostała jeszcze kilka dni u swoich rodziców, do czasu zabrania rannego partyzanta. Ponieważ mieszkanie moich teściów było małe i dodatkowe zagęszczenie mieszkania na dłuższy okres czasu byłoby dla rodziców uciążliwe. Uzgodniliśmy, że żona z dziećmi, na czas rekonwalescencji partyzanta wyjedzie do swoich krewnych na wieś w lubelskie. Następnego dnia teść odwiózł moją żonę z dziećmi na wieś. Nie ukrywałem, że takie wyjście z sytuacji było dla mnie i dla mojej rodziny bezpieczne, na wypadek „wsypy”, co przy moim zaangażowaniu w Ruchu Oporu mogło nastąpić każdego dnia i nocy. Upływały dni i tygodnie, a zapowiadany przyjazd po partyzanta opóźniał się. Partyzant czuł się coraz lepiej, dzięki stałej opiece mojego lekarza - staruszka, który codziennie odwiedzał chorego. Rany zblizniały się i chory zaczął powoli poruszać się po mieszkaniu. Ponieważ chory został przywieziony do mnie tylko w piżamie szpitalnej, musiałem pomyśleć o ubraniu, na wypadek, kiedy przyjdą po niego. I tak mijały dni i tygodnie.

Do partyzanta przyzwyczailem się i wcale mi nie przeszkadzał, w mojej pracy konspiracyjnej. Przychodzącym do mnie kolegom z kompanii powiedziałem, że ten młody, chory człowiek to mój kuzyn. Gdy ktoś obcy wchodził do mnie, partyzant wychodził do drugiego pokoju. Mimo wszystko rozmowy prowadzone z moimi kolegami były słyszane przez partyzanta.

Pewnego wieczoru zauważyłem, że mój partyzant jest jakiś nieswój i milczący. Zapytałem czy się źle czuje. Odpowiedział, że nie. Obserwowałem go i stwierdziłem, że coś go gnębi. Usiłowałem pocieszyć go, że niedługo wyjdzie stąd w bezpieczniejsze miejsce. Podejrzewałem, że boi się przebywać w tak zakonspirowanym, a jednocześnie otwartym dla wielu młodych ludzi miejscu. Pewnego dnia wyznał mi, że jest mu bardzo przykro, że sprawia mi tyle kłopotu narażając mnie i kolegów na niebezpieczeństwo. „Opiekuj się pan mną jak starszy brat. Leżąc w pokoju słyszę wasze wszystkie rozmowy dotyczące waszego działania w Ruchu Oporu i zorientowałem się, że jesteście żołnierzami AK. Ja muszę panu wyznać, że jestem żołnierzem AL. Nie powiedziałem panu tego wcześniej, zresztą nie pytał pan mnie o to”. Odpowiedziałem: „Chłopcze, dla mnie nie jest ważne, z jakiej jesteś organizacji, ani nie chcę wiedzieć jak się nazywasz. Jestem żołnierzem konspiracji, a w konspiracji nie posługujemy się nazwiskami, ze względów wiadomych. Jeśli Ciebie przyjąłem do mojego mieszkania w tak tragicznej dla Ciebie sytuacji to przede wszystkim, dlatego, że wykonywałem rozkazy swoich dowódców. A że się tobą zaopiekowałem, jak powiedziałeś „jak starszy brat” to sprawa ludzka. Dla mnie najważniejsze jest to, że jesteś żołnierzem tak jak ja i że wspólnie walczymy przeciw wspólnemu wrogowi, niezależnie od nazwy organizacji, w jakich jesteście. Po mojej wypowiedzi chłopiec uspokoił się i z uśmiechem podziękował. Od tej chwili nie rozmawialiśmy więcej na ten temat. Od przyjazdu partyzanta upłynęło kilka tygodni. Przez ten czas nikt partyzantem nie interesował się.

Pewnego dnia przed wieczorem zjawił się młody mężczyzna. W tym mężczyźnie rozpoznałem młodego człowieka, który przywiózł rannego partyzanta. Nieznajomy powiedział mi, że przyjechał po rannego. Poprosiłem go do mieszkania. Zdziwił się, gdy zobaczył w pokoju siedzącego młodego człowieka, który zerwał się z krzesła na widok wchodzącego. Podając mu paczkę, którą przyniósł powiedział: „ubieraj się, tu jest garnitur”. Ponadto wręczył mu dokumenty (Kennkarta). Po ubraniu się w nowy garnitur partyzant dziękując mi za opiekę, serdecznie się ze mną pożegnał. Nieznajomy żegnając się ze mną podziękował za opiekę przepraszając, że tak długo ona trwała. Partyzant już o własnych siłach wszedł do stojącej za bramą dorożki. Po wojnie dowiedziałem się, że mój podopieczny żyje i mieszka w Gdyni. Nadszedł rok 1944. Front wschodni po klęsce pod Stalingradem, łamał się. Działalność Ruchu Oporu na tyłach wroga oraz w mieście wzmagala się. Pewnego dnia zostałem zaalarmowany dzwonkiem od bramy. Wyszedłem, w bramie stali w towarzystwie mojego kolegi – piekarza „Feliksa”, dwaj młodzi nieznani mi mężczyźni. Kiedy zbliżyłem się jeden z nich zwracając się do mnie zapytał „Żelbet?”, po czym powiedział, że jest przysłany z rozkazu kapitana, tu wymienił pseudonim mojego dowódcy z dywersji. Zapytałem, o co chodzi. Na to on powiedział, że z rozkazu kapitana mam przyjąć na tymczasowy pobyt dwóch Francuzów i Belga – dywersantów z francuskiego Ruchu Oporu. Zaskoczony tym rozkazem chciałem o coś zapytać, ale nie zdążyłem, gdyż dwaj młodzi ludzie, nie czekając, szybko wyszli na ulicę, pozostawiając mnie i „Feliksa” w bramie. Staliśmy tak przez chwilę nie odzywając się do siebie.

W końcu „Feliks” powiedział: „Czy oni zwariowali, urządzili z pańskiej kamienicy hotel-szpital, czy w całej Warszawie nie można zamelinować tych dywersantów, tylko u pana? Niedawno, kilka tygodni przechowywał pan rannego partyzanta, teraz trzech, w dodatku dywersantów francuskich”. Odpowiedziałem: „Co mam zrobić”. Feliks powiedział: „najlepiej byłoby zamknąć bramę na klucz i zwiewać do partyzantki do lasu”. W tym czasie przed bramę zajechała dorożka. „Feliks” otworzył bramę. Dorożka wtoczyła się, a z niej po chwili wysiedli trzej młodzi ludzie, w towarzystwie dwóch mężczyzn (jednego z nich poznałem przed pół godziną). Mężczyzna ten żegnając się ze mną powiedział, że za kilka dni przyjedzie po dywersantów, po czym wskoczył do dorożki i odjechał. Zostałem w towarzystwie trzech młodych, zdenerwowanych chłopców. Kolega „Feliks” ze względu na dość późną porę poszedł do domu.

Wprowadziłem dywersantów do mieszkania, wskazując ruchem ręki, żeby usiedli. Ja również usiadłem przy biurku, opierając głowę na ramionach, aby ochłoniąć po tym, co zaszło. W mieszkaniu panowała cisza. Po chwili zwracając się do siedzących zapytałem, czy mówią po niemiecku. Jakie było moje zdziwienie, gdy jeden z nich odpowiedział mi łamaną polszczyzną. Jak się później okazało był Francuzem polskiego pochodzenia. Mówił bardzo słabo po polsku, ale od biedy można było się z nim porozumieć. W tej sytuacji było to bardzo ważne. Francuz ten nazywał się Sylwester Kasztelan, urodzony we Francji w Lille. Pozostali dwaj to: Francuz i Belg, nazwisk ich nie pamiętam. Pamiętam tylko pseudonim Francuza – „Zygmunt”. Zapytałem Sylwestra, w jaki sposób dostali się do Polski. Z jego wypowiedzi zrozumiałem, że zostali aresztowani przez Niemców i wywiezieni do Polski na roboty. Pracowali w Wytwórni Amunicji na Forcie Bema w Warszawie, gdzie dokonali sabotażu przy udziale naszego Ruchu Oporu, po czym w zamieszaniu uciekli. Po ucieczce zaopiekowała się nimi AK z Żoliborza. Jak wynikało z jego opowiadania, w akcji tej brało udział m.in. kilkunastu Francuzów, którzy zostali następnie rozwiezieni i ulokowani w różnych punktach dzielnic Warszawy.

Po wysłuchaniu relacji Francuza, stanąłem przed dylematem jak tych trzech poszukiwanych przez żandarmerię dywersantów bezpiecznie przetrzymać w moim domu. Jak już wspomniałem w moim mieszkaniu mieścił się magazyn z bronią i materiałami wybuchowymi, punkt rozdzielczy, skrzynka kontaktowa, prasa konspiracyjna, odbywały się szkolenia mojej kompanii, szkolenie podchorążych, punkt wysyłkowy do oddziałów partyzanckich AK. W tej sytuacji ukrywanie trzech dywersantów poszukiwanych przez Gestapo i Żandarmerię niemiecką, było ponad moje możliwości. Pocieszałem się, że tylko na kilka dni. Niestety upłynęło dwa tygodnie i nikt nie zgłosił się po Francuzów. Kiedy zebrała się grupa do oddziałów partyzanckich, jeden z trzech (Belg) prosił o wysłanie do partyzantki. Oczywiście zgodziłem się. Pozostali dwaj prosili o pozostawienie w Warszawie. Mijał tygodnie i miesiące. „Sylwester” i „Zygmunt” zadowolili się na dobre, poprawili swoje umiejętności językowe, brali udział w szkoleniu wojskowym. W czasie dnia pomagali mi w moim warsztacie stolarskim, w piwnicy. Początkowo spali w moim mieszkaniu. Kiedy po kilku miesiącach, moja żona z dziećmi przyjechała ze wsi do Warszawy, wyłonił się problem noclegu dwóch młodych ludzi w jednym mieszkaniu. Wprawdzie dysponowałem jeszcze piwnicami i dyżurką w bramie, ale spanie w dyżurce było niebezpieczne na wypadek „wizyty” Gestapo, z dyżurki nie było możliwości ucieczki. Pozostały piwnice.

Jak już wspomniałem, P. Stankiewicz (właściciel sklepu włókienniczego) powierzył mi klucze od swego sklepu z prośbą o nadzór przed ewentualnym włamaniem złodziei, w czasie moich dyżurów nocnych OPL. Postanowiłem z konieczności wykorzystać zaufanie P. Stankiewicza i dla swoich podopiecznych urządzić spanie na zapleczu sklepu (oczywiście bez wiedzy właściciela). W ten sposób rozwiązałem dwa problemy: nocleg dla Francuzów i dozór sklepu przed ewentualną kradzieżą mienia Pana Stankiewicza. Wejście na zaplecze sklepu – z bramy. Wieczorem zamykałem Francuzów na zapleczu sklepu, a rano wracali do mieszkania. Dla zaspakajania potrzeb fizjologicznych w nocy, można było wychodzić oknem od strony podwórka do istniejącego WC na podwórku. Przez kilka dni wszystko było w porządku, nikt z personelu nawet nie domyślał się, że w sklepie urządziłem „hotel”. Pewnego dnia subiekt pan Paweł po zamknięciu sklepu, oddając mi klucze, z pewnym zażenowaniem i wymówką zwrócił się do mnie tymi słowami: „Panie Stanisławie, jeżeli musi pan w nocy załatwiać swoje potrzeby fizjologiczne (a ściśle - siusiać) w stojący kubel pod zbiornikiem z wodą do mycia rąk, to proszę pamiętać rano wylewać z kubła do WC na podwórku (sklep nie był skanalizowany). Moje ekspedientki oświadczyły mi, że już dłużej nie będą tego robiły”. (Ekspedientki wiedziały, że ja posiadam klucze od sklepu). Zatkło mnie, nie wiedziałem, co mam odpowiedzieć, ale po krótkim namyśle, upokorzony odpowiedziałem: „Bardzo mi przykro, więcej to się nie powtórzy, to był pierwszy i ostatni raz, byłem prawdopodobnie po wódce”. Pan Paweł powiedział na to: „Panie Stanisławie to nie był jeden raz, ekspedientki mówiły mi o tym już kilka razy, tylko ja nie śmiałem panu tego powiedzieć.” Nie ukrywałem, że było mi strasznie głupio. Z tego zakłopotania i opresji wybawił mnie mój dowódca, który w tym momencie zbliżał się do mnie. Przeprosiłem Pana Pawła i odszedłem z Panem Tadeuszem. Przecież nie mogłem powiedzieć Panu Pawłowi, że to nie ja tylko Francuzi. Po tej rozmowie skojarzyłem sobie zachowanie ekspedientek. Od pewnego czasu z niechęcią odpowiadały na moje powitania, szczególnie Pani Wisienka – najmłodsza, zawsze z uśmiechem odpowiadała na moje powitania. Prawdopodobnie ona, jako najmłodsza wynosiła kubel spod zbiorniczka. Cóż ja biedny mogłem zrobić? Czy miałem jej powiedzieć, że to nie ja siusiałem w kubel? Oczywiście swoich podopiecznych porządnie skarciłem za ich beztroskie zachowanie. Przysięgli, że więcej to się nie powtórzy. Był maj 1944 roku. Po sabotażystów francuskich nikt się nie zgłaszał. Prawdopodobnie dowódcy ze Zgrupowania Żoliborskiego AK uznali, że Francuzi u mnie są bezpieczni i nie zawracali sobie nimi głowy.

Sytuacja na froncie wschodnim zmieniała się z dnia na dzień. Front niemiecki załamał się, Niemcy cofali się w popłochu. Na ulicach Warszawy widać było wycofujące się transporty z rannymi żołnierzami. Ruch Oporu wzmógł działalność na tyłach wroga, jak również w samej Warszawie. Zapanowała atmosfera podniecenia. Oddziały dywersyjne wzmogły akcję zdobywania broni na żołnierzach Wehrmachtu. Armia Krajowa przygotowywała się do Powstania w Warszawie.

3. PRZED GODZINĄ „W”.

Pod koniec lipca 1944 roku otrzymałem rozkaz przetransportowania broni i materiałów wybuchowych na ulicę Czerniakowską 185, z wyznaczonym dniem i godziną. W przeddzień dokonania transportu, wyznaczyłem żołnierzy do wykonania tego zadania.

Byli to:

pdch. Antoni Czajkowski ps. „Długi”, plut. Jerzy Welman ps. „Wiara”, kpr. Zygmunt Sobiesiak ps. „Delfin”, dwóch Francuzów („Sylwester” i „Zygmunt”) pod moim dowództwem – ogn. Pdch. Stanisław Sobiesiak ps. „Żelbet”.

Żołnierze ci pozostali u mnie na noc, w celu przygotowania transportu tzn. wydostania broni i materiałów wybuchowych oraz granatów ze skrytek w piwnicy, następnie załadowanie na garażujący na podwórku wózek do przewożenia fortepianów. Pracę tę ze względów zrozumiałych (lokatorzy) musieliśmy wykonywać późną nocą, kiedy lokatorzy byli pogrążeni we śnie. Załadowany wózek nakryliśmy plandeką, dla zamaskowania na plandekę załadowaliśmy kilka kilofów i łopat. Na wózek załadowaliśmy: 10 karabinów ręcznych, jeden karabin maszynowy (talerzowy), 30 pistoletów, 4 pistolety maszynowe, 100 kg plastiku, 100 granatów „Filipinek”, 90 butelek zapalających. Następnego dnia, punktualnie o godzinie 4.30 uzbrojeni w granaty i pistolety maszynowe wyjechaliśmy na ulicę Marszałkowską w kierunku Pl. Zbawiciela. Następnie wjechaliśmy w ulicę Mokotowską kierując się do Pl. Trzech Krzyży. Trasę tę przebyliśmy spokojnie, wczesną porą, ulice były puste. Wózek ciągnęli dwaj Francuzi a pozostali: „Długi”, „Wiara”, „Delfin” i ja stanowiliśmy ochronę transportu. Uzgodniliśmy, że w przypadku gdyby ewentualny patrol żandarmerii chciał nas zatrzymać, natychmiast atakujemy. Z Pl. Trzech Krzyży wjechaliśmy w ulicę Książęcą. Po przejechaniu kilkudziesięciu metrów zauważyliśmy, że od strony ulicy Czerniakowskiej w naszym kierunku zbliża się patrol żandarmerii, z blachami na piersiach i karabinami na ramionach.

Kiedy żandarmi zbliżyli się na odległość ok. 100m usłyszeliśmy głośną rozmowę. A kiedy odległość zmniejszyła się do 50m Niemcy przestali mówić, przechodząc na drugą stronę ulicy. My również zamilkliśmy, ściskając zabezpieczone granaty w kieszeniach. Odległość między nami nieubłaganie zmniejszała się. Czekaliśmy: zejdą na jezdnię, aby nas zatrzymać, czy nie? Jeżeli zejdą, to będzie oznaczać, że chcą nas zatrzymać. Już tylko 15m dzieliło nas od Niemców. Niemcy w dalszym ciągu szli chodnikiem, już dokładnie widzieliśmy ich blade twarze spod hełmów oraz blachy na piersiach. Patrzyliśmy im na ręce, najmniejszy ruch któregoś z żandarmów miał być dla nas sygnałem do ataku. Mijały pełne napięcia sekundy, ale żandarmi nie zwracając na nas uwagi przeszli obok po drugiej stronie ulicy, w odległości zaledwie kilku metrów. W obawie, że żandarmi mogą nas zaatakować od tyłu, instynktownie odwróciliśmy się w stronę idących dalej Niemców, ale i oni zrobili to samo, trzymając jednak karabiny na ramionach. Odległość między nami zwiększała się, napięcie powoli słabło. Konwój nasz szybko oddalał się w kierunku ulicy Czerniakowskiej, zbliżając się do celu naszej pełnej napięcia wyprawy. Żandarmi tymczasem doszli do rogu Pl. Trzech Krzyży i w końcu znikli z naszego pola widzenia. Spojrzeliśmy po sobie, na komentarze, dlaczego żandarmi nas nie zatrzymali nie było czasu. Mimo wczesnej pory (była godzina 5.30) ruch na ulicy Czerniakowskiej wzrastał się (ulica Czerniakowska przed wojną była ulicą handlową i gęsto zamieszkałą). Zbliżaliśmy się do celu – ulica Czerniakowska 185 była celem naszej eskapady. Brama była jeszcze zamknięta. Nacisnąłem mocno guzik dzwonka przy bramie.

Po długiej chwili w okienku bramy ukazała się zaspana twarz dozorca. Zapytał, „do kogo?”. Odpowiedziałem: „proszę szybko otworzyć bramę, przywiozłem warzywa dla R.G.O. (w budynku tym mieściła się stołówka – kuchnia dla biednych).

Dozorca spojrzał na mnie przez zakratowane okienko w bramie i na załadowany wózek stojący przed bramą, następnie ociągając się otworzył bramę. Koledzy, ukryci w czasie mojej rozmowy z dozorcą, wtoczyli wózek na podwórko kamienicy. Dozorca zamknął bramę, a ja zażądałem klucza od bramy. Dozorca widząc sześciu młodych mężczyzn w bramie o tej godzinie, wyraźnie był zaskoczony i odmówił wydania klucza. Musiałem uciec się do niezawodnego argumentu wyjmując pistolet z kieszeni. To pomogło, oporny dozorca oddał mi klucz, a ja rozkazałem go zamknąć w pomieszczeniu na poddaszu. W bramie od strony podwórka postawiłem posterunek, z poleceniem nie wypuszczania wychodzących z kamienicy lokatorów. W międzyczasie główny przewód telefoniczny do kamienicy został odcięty. Przy wyjściach z klatek schodowych postawiłem posterunki, które miały informować mieszkańców o blokadzie kamienicy na kilka godzin. Kamienica ta posiadała trzy oficyny boczne oraz frontową od ulicy Czerniakowskiej, czteropiętrową. Ja z kolegą zająłem stanowisko przed bramą przy ulicy Czerniakowskiej. Kolega pilnował żeby mieszkańcy z parteru kamienicy nie wychodzili oknami na ulicę. Była godzina 6.30, ruch na ulicy wzrastał się, zaczęto otwierać sklepy. Przybywali żołnierze na zgrupowanie. Rozładowano wózek z bronią. Broń i materiały wybuchowe złożono w pomieszczeniach stołówki. O godzinie 7.00 przybyli już wszyscy żołnierze z kompanii (ok. 100 żołnierzy). Do kamienicy zaczęli dobijać się interesanci z ulicy. Zachodziła obawa zdekonspirowania naszego zgrupowania. W związku z tym zmuszony byłem wtajemniczyć handlującą obok starszą kobietę, która postawiła swój wózek z towarami (warzywa i owoce) w bramie. Dobijających się od ulicy przechodniów informowała, że w tym domu jest przeprowadzana dezynfekcja („mykwa” - tak to ona określiła). W tym czasie w wielu dzielnicach takie akcje były przeprowadzane. W ten sposób unikaliśmy niepożądanych gości z ulicy. Nie przewidzieliśmy, że do kamienicy mogą wejść i osoby w mundurach, a tym informacja o dezynfekcji w kamienicy, może okazać się niewiarygodna. I tak się stało. Stałem przed bramą obok handlarki. Nagle zauważyłem w moim kierunku strażnika kolejowego, z pistoletem w kaburze. Stojąca obok kobieta starała się wytłumaczyć Niemcowi, że w kamienicy panuje tyfus, ale Niemiec odepchnął kobietę i prosto podszedł do bramy. Dałem znak wartownikowi, żeby ją otworzył. Po otwarciu bramy weszliśmy do środka. Ja wyciągnąłem pistolet i przystawiłem go Niemcowi do pleców. Powiedziałem „Hände hoch”. Niemiec podniósł ręce do góry. Wartownik wyciągnął mu pistolet z kabury, po czym Niemiec został odprowadzony do pomieszczenia na strychu, gdzie już przebywał dozorca. Zbliżała się godzina 9.00. Ilość niemieckich „jeńców” zwiększyła się do czterech. Byli to funkcjonariusze z SD i SA oraz jeden strażnik. Jeńców pilnował żołnierz – Francuz. Atmosfera napięcia w kamienicy uspokoiła się. Lokatorzy pogodzili się z blokadą, która według naszych zapewnień miała trwać do godziny 12.00. O godzinie 11.00 przybył z odprawy dowódca kompanii ppor. „Stojewicz”, który oświadczył, że do godziny 12.00 otrzymamy przez łącznika dalsze rozkazy co do pozostawiania naszej kompanii na ulicy Czerniakowskiej 185. Po przybyciu dowódcy zdałem raport o sytuacji w kamienicy. Dokładnie o godzinie 11.30 stało się coś, czego nie przewidzieliśmy i co przyspieszyło naszą ewakuację.

Staliśmy z dowódcą przed wejściem do oficyny, w której na strychu przebywali zatrzymani Niemcy, aż tu nagle rozległ się niesamowity huk, posypały się szyby z wszystkich okien kamienicy. Nastąpiła konsternacja – byliśmy przekonani, że zostaliśmy zdekonspirowani i zaatakowani przez Niemców.

W tej sytuacji dowódca zarządził natychmiastową ewakuację z kamienicy. W ciągu niespełna trzech minut opuściliśmy kamienicę, wyprowadzając wózek załadowany bronią. Kiedy znaleźliśmy się na ulicy, do dowódcy kompanii zameldował się łącznik z Dowództwa Zgrupowania, który podał nowy adres naszego postoj. Adres ten to ulica Wilanowska, prawdopodobnie nr 10. Ewakuując się z Czerniakowskiej zostawiliśmy jeńców zamkniętych w pomieszczeniu na poddaszu. Przyczyną nagłego wybuchu na podwórzu kamienicy był upadek granatu, w który uzbrojony był pilnujący „jeńców” Francuz. Granat ten odczepił mu się z pasa przy wychylaniu się z okna. Wózek z bronią ciągnęli dwaj żołnierze, a pozostali szli chodnikami zmieszani z przechodniami. I tak doszliśmy do wyznaczonego punktu na ulicy Wilanowskiej. Jakie było nasze zdziwienie, gdy pod numerem podanym przez łącznika zobaczyliśmy wartownika SS, stojącego przed bramą. Po krótkiej naradzie z dowódcą kompanii postanowiliśmy zawrócić drogą okrężną w kierunku ulicy Książęcej, a dalej na ulicę Marszałkowską 47 tj. na „bazę”. Kiedy doszliśmy do ulicy Rozbrat jeden z żołnierzy zaproponował, aby wózek z bronią zostawić w garażach przy ulicy Rozbrat, gdzie jego dziadek jest dozorcą. Propozycja ta wydała się nam do przyjęcia z uwagi na to, że już wiedzieliśmy o tym, że terenem naszej walki w Powstaniu będzie Czerniaków, a więc broń będzie bliżej miejsca ataku. Ponadto ciągnięcie wózka załadowanego bronią przez całe miasto, było dość ryzykowne z powodu dużej ilości patroli niemieckich krążących po mieście. W tej sytuacji postanowiliśmy skorzystać z propozycji kolegi i z ulicy Książęcej skręciliśmy na ulicę Rozbrat. Kolega, który to zaproponował poszedł przodem, aby porozmawiać z dziadkiem o naszym zamiarze pozostawienia wózka w garażu. Po chwili dał znak, że można podjeżdżać. Podjechaliśmy pod bramę, która była już otwarta. Wjeżdżając w bramę zauważyliśmy, że w otwartych boksach stoją niemieckie samochody osobowe. Na odwrót było już za późno, musieliśmy zaryzykować i wózek wstawiliśmy do pierwszego od bramy boksu. Dziadek zamknął boks na kłódkę. My rozeszliśmy się do domów, z poleceniem skontaktowania się nazajutrz na ulicy Marszałkowskiej 47. W dniu tym mieliśmy być powiadomieni przez dowódcę kompanii – o dniu i godzinie Powstania. O godzinie 12.00, zgodnie z rozkazem zameldowali się żołnierze naszej kompanii (ok.100 żołnierzy). Czekaliśmy na przybycie dowódcy kompanii. Był dzień 1 sierpnia 1944 roku. Dokładnie o godzinie 13.00 przybył dowódca oświadczając nam z nieukrywany podnieceniem i powagą:

4. GODZINA „W”. „Chłopcy, dzisiaj o godzinie 17.00 - Powstanie w Warszawie”.

Po przekazaniu informacji przez dowódcę kompanii oraz wyznaczeniu miejsca i godziny zbiórki kompanii, żołnierze rozeszli się do domów. Pozostali tylko żołnierze spoza Warszawy. Moja żona przygotowała obiad i „wałówki”. Po spożyciu obiadu ok. godziny 15.30 wyruszyliśmy na punkt zbiórki kompanii. Po drodze wstąpiliśmy po wózek na ulicę Górnośląską, skąd na ulicę Przemysłową dotarliśmy bez przeszkód. Teren Fabryki Ledóchowskiego przy ulicy Przemysłowej, gdzie został wyznaczony punkt zbiórki kompanii – był rozległy. Hale fabryczne i inne budynki tworzyły czworobok zamknięty budynkiem frontowym, w którym mieściły się pomieszczenia biurowe oraz pomieszczenia mieszkalne rodziny Ledóchowskich.

O godzinie 16.30 zameldowało się na punkt 80 żołnierzy, na stan kompanii ok. 100 żołnierzy (ok. 20 żołnierzy nie dotarło). Ponadto zgłosił się jeszcze pluton 30 żołnierzy (wraz z dowódcą plutonu) spoza naszej kompanii.

Dowódca kompanii zarządził zbiórkę, przedstawił plan i cel ataku. Następnie rozdzielono broń. Okazało się, że broni dla całej kompanii nie starczyło. Zadaniem naszej kompanii było, poprzez zaskoczenie Niemców, zaatakowanie od strony ulicy Rozbrat i zdobycie gmachu Gimnazjum im. Stefana Batorego, oraz szkoły Handlowej, na rogu ulic Rozbrat i Górnośląskiej, gdzie stacjonował oddział S.A. Nie było to łatwe, bowiem teren szkolny był ogrodzony wysokim parkanem z prętów stalowych o wysokości dwóch metrów. Parkan ten należało przekroczyć, a następnie zaatakować Niemców w gmachu szkoły, usytuowanej w odległości około 50 metrów od parkanu. W tej sytuacji, według mojej oceny nie było mowy o zaskoczeniu Niemców, co zmniejszało nasze szanse w szturmie – do minimum. Toteż, kiedy dowódca kompanii przedstawił nam ten plan, wyraziłem w myśli swoją dezaprobatę. Tym bardziej, że nasze uzbrojenie było niedostateczne, za mało broni maszynowej (kilka KBK).

Ustalono dwie grupy – pierwsza uzbrojona grupa żołnierzy (ok. 60 żołnierzy) dokona natarcia, a druga (ok. 30 żołnierzy), dla której nie starczyło broni palnej, uzbrojona tylko w butelki zapalające, dołączy po zdobyciu gmachu szkoły i rozbrojeniu Niemców. Grupę tą przekazano pod moje dowództwo. Punktualnie o godzinie 17.00, na sygnał syren fabrycznych, grupa uzbrojona wyskoczyła z Fabryki na ulicę Przemysłową, w kierunku ulicy Rozbrat. Kiedy pierwsi powstańcy dobiegli do ogrodzenia, Niemcy tak jakby czekali otworzyli silny ogień z broni maszynowej do usiłujących przekroczyć ogrodzenie powstańców. Ci z powstańców, którzy znaleźli się już na ogrodzeniu zostali pierwsi zabici bądź ranni. Pozostali z atakujących zmuszeni byli do wycofania się i ukrycia w bramach budynków przy ulicy Fabrycznej i Przemysłowej, skąd przedostali się na tyły ulicy i do fabryki „Błaszanka”. Moja grupa pozostała w fabryce Ledóchowskiego. O ściągnięciu ciężko rannych i zabitych nie było mowy. Niemcy ostrzeliwali ulicę Przemysłową z broni maszynowej. Wystarczyło wychylić się bramy, natychmiast kierowali ogień w naszą stronę. Dopiero z nastaniem zmroku udało się nam ściągnąć rannych i zabitych. Część rannych ściągnęli wycofujący się powstańcy z grupy atakującej. Ranni zostali opatrzeni przez panią Ledóchowską i jej córkę, następnie umieszczeni w pomieszczeniach biurowych.

Wieczorem usłyszeliśmy warkot silników. Niemcy ściągnęli czołgi, które patrolowały ulicę Rozbrat w kierunku ulicy Łazienkowskiej. Jeden z czołgów zajął stanowisko na ulicy Rozbrat naprzeciw ulicy Przemysłowej.

W tej sytuacji zajęliśmy stanowiska w pomieszczeniach budynku biurowego na I piętrze, uzbrojeni w butelki zapalające, na wypadek, kiedy czołg wjedzie w ulicę Przemysłową. O godzinie 2.00 w nocy, czołg wycofał się w ulicę Rozbrat. Ponieważ poza butelkami zapalającymi i paroma granatami, nie mieliśmy innej broni, postanowiliśmy opuścić teren fabryki, dołączając do pierwszej grupy, która zajęła stanowisko w fabryce „Błaszanka”, po przeciwnej stronie ulicy. Było już dobrze szaro, kiedy ustawiliśmy się przed bramą w szeregu, do wykonania pojedynczych skoków przez ulicę. W momencie, kiedy pierwszy z szeregu uchylił drzwi od bramy do wykonania skoku, padła seria pocisków z pistoletu maszynowego w kierunku bramy. Byliśmy zaskoczeni tym nagłym atakiem. Nasze obserwacje z okien budynku nie ustaliły obecności Niemców na ulicy Przemysłowej.

Postanowiliśmy sprawdzić skąd padła seria pocisków. W tym celu poleciłem dwóm powstańcom wejść na strych budynku, mając za zadanie obserwowanie strychów kamienic z przeciwnej strony ulicy Przemysłowej, skąd mogą paść strzały.

Po uchyleniu furtki bramy, tak jak przypuszczaliśmy padły strzały. W ten sposób zlokalizowaliśmy miejsce, skąd ostrzeliwano nasz punkt wyjścia z bramy. Okazało się, że serie pocisków pochodziły z poddasza kamienicy po przeciwnej stronie ulicy Przemysłowej, z odległości ok. 50 m. od naszej bramy. W tej sytuacji postanowiliśmy nie opuszczać fabryki, czekając do nocy. Kiedy zapadła noc, zaczął padać ulewny deszcz, a my z zachowaniem dużej ostrożności opuściliśmy teren fabryki bez strat, pomimo ostrzału. Kiedy dostaliśmy się na teren fabryki „Blaszanka”, zameldowałem dowódcy kompanii o obecności niemieckiego strzelca (tzw. „gołębiarza”) na strychu budynku przy ulicy Przemysłowej, który nas ostrzeliwał. Jeszcze tego dnia, o świcie grupa powstańców dokonała wypadu. Po krótkiej akcji, Niemiec został ujęty. Był to „volksdeutch” z tego domu. Został on przekazany żandarmerii powstańczej. Kompania opuściła fabrykę i zajęła stanowiska w budynkach przy ulicy Łazienkowskiej (bursa i zakłady Rektyfikacji), która stanowiła granicę południową odcinka „Czerniaków”, zajętego przez powstańców. Po drugiej stronie ulicy Łazienkowskiej (na stadionie sportowym) byli już Niemcy, którzy od czasu do czasu ostrzeliwali nasze stanowiska z broni maszynowej. W budynku narożnym ulicy Łazienkowskiej i Czerniakowskiej, zajęła stanowiska grupa powstańców pod dowództwem samodzielnego dowódcy ps. „Sęp”.

Inna grupa AK zajęła stanowiska na terenie warsztatów portu czerniakowskiego. Miała ona za zadanie obronę warsztatów portowych przed atakiem Niemców od strony szkoły na ulicy Czerniakowskiej. W szkole tej znajdowały się silne oddziały niemieckie wzmocnione czołgami, które w pierwszych dniach Powstania atakowały nasze pozycje. Jeden z takich ataków zakończył się stratą przez Niemców jednego czołgu, który został spalony przy pomocy butelek zapalających, pozostałe wycofały się i od tej chwili Niemcy zaniechali ataków przy udziale czołgów. W następnych dniach Niemcy atakowali nasze pozycje w warsztatach, lecz już bez czołgów. Ataki te były odpierane z wielkim trudem, bowiem zapasy naszej amunicji i granatów wyczerpywały się z dnia na dzień. W tej sytuacji zaszła pilna potrzeba zorganizowania produkcji granatów. Do produkcji granatów postanowiliśmy wykorzystać posiadane ok. 100 kg materiału wybuchowego, który został przewieziony z ulicy Marszałkowskiej przed Powstaniem i ukryty w fabryce Ledóchowskiego.

Do grupy tej powołałem żołnierzy z mojej kompanii:

1) kpr. Walendzik - ps. „Feliks” –pirotechnik, do 1.IX.1939 r. pracownik Wytwórni Amunicji na Forcie Bema, 2) kpr. Wąsek – ps. „Saper”, 3) kpr. Sobiesiak Zygmunt - ps. „Delfin” – saper, 4) ogn. Pdch. Artylerii Sobiesiak Stanisław ps. „Żelbet” – do 1.IX.1939 r. - pracownik cywilny Składu Uzbrojenia. Wszyscy członkowie grupy posiadali podstawowe wiadomości z dziedziny produkcji materiałów wybuchowych. W tym składzie przystąpiliśmy do organizowania warsztatu na produkcję granatów. Na warsztat wytypowaliśmy pomieszczenie w garażu budynku, należącego do Dyrekcji Zarządu Dróg Wodnych przy ulicy Solec 2 (tuż nad zatoką portu Czerniakowskiego). Był to budynek parterowy składający się z pomieszczenia mieszkalnego od strony Wisły i garażu od strony ulicy Solec. Garaż ten był dla nas również kwaterą.

Nawiązałem kontakt z właścicielem warsztatu mechanicznego na ulicy Mącznej. Po omówieniu z właścicielem naszego przedsięwzięcia uzgodniliśmy, że warsztat będzie przygotowywał dla nas z posiadanych zapasów rur „1, 1/2, i 2” odcinków, z pospawaniem według sporządzonego szkicu.

W ten sposób mieliśmy załatwioną sprawę oszczepów i materiałów wybuchowych. Do rozpoczęcia produkcji brakowało jeszcze lontów i zapalników. W okresie konspiracji czynnie udzielał się w naszej kompanii, szkoląc młodych żołnierzy w zakresie stosowania materiałów wybuchowych -, inż. Siwiec, pirotechnik, były pracownik Zakładów Amunicyjnych na Forcie Bema w Warszawie, żołnierz mojej kompanii. Inż. Siwiec na kilka dni przed Powstaniem został oddelegowany z naszej kompanii do Dowództwa Zgrupowania, jako Specjalista do spraw uzbrojenia. Po wybuchu Powstania dowiedziałem się, że inż. Siwiec pracuje jako główny specjalista w Zakładzie - Warsztacie Uzbrojenia przy ulicy Kruczej. Postanowiłem nawiązać z nim kontakt. Pewnego wieczora wyruszyliśmy z moim bratem Zygmuntem do Śródmieścia. Jak się okazało dotarcie do Śródmieścia nie było łatwe, bowiem jedynym przejściem z Czerniakowi była ulica Książęca. Kiedy dotarliśmy do gmachu Szpitala (dawny gmach Ubezpieczalni Społecznej) przy ulicy Czerniakowskiej – róg ulicy Rozbrat, dowiedzieliśmy się, że przejście przez ulicę Rozbrat do ulicy Książęcej jest ostrzeliwane przez Niemców z wiaduktu mostu Poniatowskiego. W dzień było to niemożliwe, w nocy natomiast przejście to było oświetlane, co kilka sekund reflektorem, ostrzeliwując seriami z broni maszynowej. W tej sytuacji postanowiliśmy czekać do nocy. Aby przedostać się na drugą stronę ulicy Rozbrat, do stojącego budynku na rogu ulic Rozbrat i Książęcej, trzeba było wykonać skok przez jezdnię w czasie kilku sekund, co było wielkim ryzykiem. Z tego powodu ruch powstańców do Śródmieścia ograniczał się do przejść niezbędnych. Według relacji powstańców stacjonujących w gmachu szpitala przy ulicy Czerniakowskiej, były duże straty w ludziach przy przejściach przez ulicę Rozbrat. Kiedy nadeszła noc przekonaliśmy się sami o wielkim ryzyku jakie stanowi to przejście. Leżąc na chodniku (poza ostrzałem) zastanawialiśmy się, czy ryzykować. W pewnej chwili doszła do nas grupa powstańców, która zajęła obok nas stanowisko na chodniku. Jeden z żołnierzy patrząc na zegarek ustalił, że Niemcy dokładnie, co 6 sekund strzelali serią z broni maszynowej, przy jednoczesnym oświetleniu przejścia reflektorem. A więc na skok przez ulicę do budynku po drugiej stronie, każdy z nas miał tylko 6 sekund czasu. Ustaliliśmy odległość dzielącą nas od budynku po przeciwnej stronie ulicy – na około 16m. Obliczyliśmy, że każdy z nas, żeby nie zostać trafiony serią pocisków musiał w ciągu sekundy przebyć około 2.5 metra, mając na uwadze przebycie owych 16 metrów. Przy tym wykluczało się ewentualne potknięcie bądź poślizgnięcie na jezdni. Aby tego uniknąć należało zdjąć obuwie z nóg, i tak ustawieni w szeregu czekaliśmy na swoją kolejkę do skoku. Pierwszy do skoku ustawił się dowódca tamtej grupy, oficer. W momencie, kiedy posypała się seria pocisków na jezdnię, ruszył jak błyskawica w kierunku zbawiennych drzwi budynku po przeciwnej stronie ulicy. Za kilka sekund oślepiający strumień światła reflektora i równocześnie następna seria pocisków posypała się na jezdnię, ale jezdnia była pusta. Przy następnej serii pocisków i oświetleniu, zobaczyliśmy naszego towarzysza stojącego w drzwiach budynku naprzeciwko i machającego ręką. A więc udało się. Fakt ten dodał nam odwagi. Po kilku minutach znaleźliśmy się wszyscy cali, zdrowi i szczęśliwi w budynku. Po krótkim odpoczynku wyruszyliśmy w dalszą drogę ulicą Książęcą, ale ta droga nie była dla nas spacerem.

Weszliśmy w rów po lewej stronie ulicy Książęcej, tuż przy chodniku (głębokość 0,50 m i szerokość 0,60 m). Na czele całej grupy stanął oficer, ostrzegając nas jednocześnie o zachowaniu idealnej ciszy. Z uwagi na niebezpieczeństwo ostrzelania przez Niemców, zajmujących stanowiska w szpitalu Św. Łazarza i otaczającego go parku z jednej strony, a parku wokół YMCA z drugiej strony - zmuszeni byliśmy całą odległość, od ulicy Czerniakowskiej do budynku Plebani Kościoła Św. Aleksandra przy ulicy Książęcej, przebyć czołgając się. Po kilku minutach odpoczynku na Plebani przeszliśmy do budynku Instytutu Głuchoniemych przy Pl. Trzech Krzyży. Tu napotkaliśmy na nową przeszkodę. Z budynku na Pl. Trzech Krzyży było tylko jedno wyjście. Wyjście to było ostrzeliwane z gmachu BGK, róg Nowego Świata i Al. Jerozolimskich. Kiedy zbliżyliśmy się do wyjścia, żołnierze z Powstania ostrzegali nas, że wyjście jest pod ostrzałem i że innego wyjścia z budynku na Pl. Trzech Krzyży – nie ma. I znów trzeba było wykonać skok na odległość ok. 5 m. z wyjścia budynku, w kierunku barykady ustawionej z leżącego tramwaju, żeby znaleźć się poza ostrzałem niemieckich karabinów maszynowych. Po krótkim namyśle zdecydowaliśmy się opuścić budynek. I tym razem sprzyjało nam szczęście. Opuściliśmy budynek bez strat. Za barykadą pożegnaliśmy się z towarzyszami „podróży”. Z bratem podążyliśmy w kierunku ulicy Marszałkowskiej, aby zobaczyć się z moją żoną i dziećmi. Na Placu Zbawiciela zatrzymaliśmy się przy barykadzie powstańczej. W rozmowie z powstańcami dowiedzieliśmy się, że jest to najdalej wysunięta barykada na południe. Po drugiej stronie ulicy Nowowiejskiej, do Al. Ujazdowskich byli już Niemcy. Brama naszej kamienicy była otwarta. W mieszkaniu paliło się przyćmione światło. Zapukaliśmy do drzwi, żona otworzyła zaskoczona naszym widokiem. Weszliśmy do mieszkania. Po przywitaniu, zorientowałem się, że w mieszkaniu poza moją rodziną, była żona mojego brata Zygmunta oraz cztery osoby nieznane, których Powstanie zaskoczyło. Długo rozmawialiśmy tej nocy. Nazajutrz, po pożegnaniu się z rodziną, w godzinach popołudniowych udaliśmy się z bratem na ulicę Wilczą do powstańczych warsztatów zbrojeniowych AK na spotkanie z inż. Siwcem, który zaopatrzył nas w potrzebne materiały do produkcji granatów. Przed zmrokiem udaliśmy się tą samą drogą (innej nie było) na Czerniaków. Do ulicy Książęcej przeszliśmy bez przeszkód, bowiem tego dnia powstańcy atakowali gmach BGK, skąd Niemcy ostrzeliwali wyjście Instytutu Głuchoniemych. Na ulicy Książęcej ponownie po wejściu do rowu, musieliśmy całą drogę do ulicy Rozbrat przebyć czołgając się. Skok przez ulicę Rozbrat i tym razem był szczęśliwy. Po przyjsciu na kwaterę, jeszcze tej samej nocy przystąpiliśmy do uzbrojenia przygotowanych przez kolegów oczepów rurowych, dostarczonych z warsztatów na ulicy Mącznej. Następnej nocy, aby wypróbować działanie naszej produkcji, udaliśmy się na barykadę w Porcie Czerniakowskim, gdzie Niemcy od kilku nocy atakowali z kierunku szkoły ulicy Czerniakowskiej (zajmowali ją od rozpoczęcia Powstania). Po rozdaniu granatów żołnierzom na barykadzie i poinstruowaniu o sposobie ich użycia, zajęliśmy stanowiska na barykadzie. Było późno po północy, kiedy nasze posterunki zameldowały, że Niemcy zbliżają się tyralierą w kierunku naszej barykady. Na barykadzie zapanowała bezwzględna cisza, związana z oczekiwaniem. Po kilku minutach usłyszeliśmy dochodzące do nas szmery. Noc była ciemna. Napięcie na barykadzie wzrastało. W pewnej chwili spoza budynków warsztatowych i drzew, wyłoniło się kilka pochylonych postaci. Przekazano na barykadzie rozkaz dowódcy – przygotowania się do ataku. Mijały sekundy. Kiedy Niemcy zbliżyli się na odległość ok. 30 m. padła komenda „atakuj”.

Zapalono lonty i po odczekaniu kilku sekund rzucono w zbliżających się Niemców kilkadziesiąt 30 cm rur załadowanych kawałkami stalowymi i materiałami wybuchowymi. Widok był fantastyczny, lecące rury z tłącymi się lontami, wyglądały jak robaczki świętojańskie. Po kilku sekundach następowały wybuchy rażące wrzeszczących i w przerażeniu uciekających Niemców. Ze strony Niemców padło zaledwie kilka pojedynczych strzałów. Po odparciu ataku Niemców pozostaliśmy jeszcze na barykadzie w przekonaniu, że Niemcy po otrzymaniu posiłków zaatakują nas jeszcze tej nocy. Ale to nie nastąpiło. Kiedy zaczęło świtać moja grupa opuściła barykadę, udając się do naszej kwatery (garażu) na ulicy Solec, z poczuciem zadowolenia z udanej próby i ze skuteczności działania granatów naszej produkcji. Wiadomość o odparciu Niemców rozeszła się po Czerniakowie. W następnych dniach linia obrony od Zatoki Czerniakowskiej wzdłuż ulicy Łazienkowskiej – ustabilizowała się. Niemcy sporadycznie atakowali, ale każdy ich atak został odparty, ze stratami dla Niemców. Główny atak Niemców koncentrował się od strony zachodniej tj. na linii ulicy Rozbrat, do wiaduktu mostu Poniatowskiego. Ustawione w ogrodach parku na skarpie Sejmu – wyrzutnie rakietowe (tzw. Szafy – krowy), ostrzeliwały cały odcinek Czerniakowski, powodując ogromne zniszczenia i pożary budynków i ludzi. Po każdym takim ataku, Niemcy ostrzeliwali bronią maszynową i moździerzami nasze gniazda oporu na ulicy Rozbrat.

Zbliżał się koniec drugiej dekady sierpnia. Ludność Czerniakowa, jak również powstańcy zaczęli odczuwać dotkliwe braki żywności. Zorganizowane punkty żywnościowe (kuchnie) dysponowały już małymi zapasami kaszy. Kończyło się mięso końskie, którym kraszono kaszę. Rozdawano coraz mniejsze porcje kaszy. Kończyła się również amunicja. Sytuacja na odcinku czerniakowskim stawała się coraz trudniejsza. Pewnej ciemnej nocy, leżąc nad Wisłą usłyszeliśmy daleki ciężki warkot samolotów. Warkot wzrastał się, po chwili odezwała się niemiecka artyleria. Radość zapanowała wśród powstańców oraz mieszkańców Czerniakowa. Po chwili na ciemnym tle nieba ukazały się dwa olbrzymie samoloty. Kiedy nadleciały nad Czerniaków zauważyliśmy kilka ciemnych punktów odrywających się od samolotów – były to pojemniki na spadochronach z bronią i amunicją. Po dokonaniu zrzutów, przy wykonywaniu rundy nad Wisłą, jeden z samolotów został zestrzelony. Były to samoloty angielskie, z obsługą polską. Fakt ten był wielkim, tragicznym przeżyciem dla powstańców i mieszkańców Czerniakowa. Dwa dni później dowódca mojej kompanii zarządził zbiórkę kompanii. Oświadczył nam, że z rozkazu dowódcy Zgrupowania Śródmieście, naszej kompanii powierzono zadanie zlikwidowania załogi niemieckiej, znajdującej się w gmachu „mała PASTA” przy ulicy Piusa XI (obecnie ulica Piękna). Jeszcze tej nocy wyruszyliśmy do Śródmieścia starą i jedyną trasą tj. ulicą Książęcą. Tym razem drogę tę przeszliśmy bez przeszkód i bezpiecznie, bowiem przy ulicy Rozbrat był już wykonany przekop – tunel, bezpośrednio z gmachu ZUS (w czasie Powstania - Szpital Powstańczy). Po dotarciu do Śródmieścia zostaliśmy zakwaterowani w budynku przy ulicy Mokotowskiej (obecnie klub Hybrydy). Następnego dnia, po uzupełnieniu uzbrojenia, kompania nasza miała uderzyć na PASTĘ, lecz w ostatniej chwili przyszedł rozkaz o odwołaniu natarcia, bez podania następnego terminu. I tak trwaliśmy w pogotowiu przez kilka dni. W międzyczasie nasza kopania została skierowana do walki o Politechnikę.

Dwa dni później przybył łącznik z Czerniakowa od dowódcy odcinka kpt. "Pioruna" do dowódcy mojej kompanii, z prośbą o oddelegowanie na Czerniaków mojej grupy – do przerwanej produkcji granatów, uzasadniając wzmożoną akcję Niemców na pozycje i brakiem broni do obrony.

Jeszcze tej nocy udaliśmy się na Czerniaków, aby wznowić produkcję granatów. Pewnej nocy, po całodiennej pracy położyliśmy się na przygotowanych posłaniach, aby odpocząć. Noc była spokojna, Niemcy nie atakowali naszych pozycji. W pewnej chwili do naszych uszu doszły detonacje od wschodu. Detonacje te z każdą chwilą wzmacniały się, a następnie przeszły w zmasowaną kanonadę. Wybiegliśmy z garażu nad Zatokę Czerniakowską, leżąc wsłuchialiśmy się z radością i nadzieją, że nareszcie nadeszła upragniona ofensywa radziecka na Warszawę. Niestety radość nasza trwała krótko, po czym nastąpiła cisza. Sądziliśmy, że po tym zmasowanym ataku artyleryjskim nastąpią dalsze działania ofensywne. Niestety ani tej nocy, ani w następnych dniach nie usłyszeliśmy żadnych odgłosów działań wojennych dochodzących od wschodu. Jak się później dowiedzieliśmy ofensywa armii radzieckiej, z nieznanymi powodami została wstrzymana. Byliśmy zdziwieni i zawiedzeni, tym bardziej, że w ostatnich dniach powstańcy obserwowali wycofujące się w popłochu oddziały armii niemieckiej przez most Poniatowskiego. Wstrzymanie ofensywy przez Armię Radziecką było ciężkim ciosem dla powstańców i mieszkańców Warszawy. My powstańcy byliśmy załamani. Brak żywności i amunicji dawał się coraz bardziej we znaki. Niemcy po zatrzymaniu ofensywy radzieckiej poczuli się pewni siebie, wzmogli ataki na wszystkie pozycje powstańców. Ryczące „krowy - szafy” bez przerwy bombardowały. Lotnictwo niemieckie nasilało bombardowanie Czerniakowa. Zaczęło się ostrzeliwanie od strony Pragi.

Pewnego dnia podczas ostrzeliwania artyleryjskiego, siedzieliśmy w garażu. W pewnym momencie potężna detonacja zwała na nas ścianę, dzielącą pomieszczenia mieszkalne z garażem. Po wydostaniu się ze zwału gruzu odwróciłem głowę i zobaczyłem w sąsiednim pomieszczeniu – leżące na stole, zmasakrowane zwłoki powstańców. (pocisk przebił ścianę nad naszymi głowami i tylko dzięki temu, że siedzieliśmy na podłodze pod ścianami nie zostaliśmy zabici, doznając tylko kontuzji od walących się cegieł). Dusząc się od pyłu ceglanego, wyczołgałem się z garażu. Odwróciłem głowę i zobaczyłem czołgających się za mną dwóch zalanych krwią kolegów. Ponieważ było nas czterech, a więc jeden z kolegów został w garażu. Pomyślałem z trwogą, że został zabity. Natychmiast zerwałem się z ziemi i pobiegłem z powrotem do garażu wołając pozostawionego kolegę. W garażu panowała ciemność, jeszcze czerwona od pyłu ceglanego. Po odwaleniu gruzu i cegieł, pod zwałoną szafą leżał jeszcze mój brat Zygmunt (szafa uratowała mu życie). Wyciągnęliśmy go na ulicę oraz usiedliśmy na chodniku pod ogrodzeniem. Artyleria niemiecka w dalszym ciągu ostrzeliwała domy przy ulicy Solec. Popatrzyliśmy na siebie i mimo doznanych obrażeń i szoku, wybuchaliśmy histerycznym śmiechem. Wszyscy byliśmy od stóp do głów pokryci czerwonym pyłem ceglanym. Włosy „stały dęba”, co spowodował wybuch pocisku artyleryjskiego. Twarze były zalepione pyłem. Tylko po głosie mogliśmy się rozpoznać. Śmiech nasz ustał natychmiast w momencie, kiedy jeden z kolegów krzyknął, wskazując ręką na okna kamienicy naprzeciwko. Na trzecim piętrze w oknie zwisało po ścianie kamienicy – broczące krwią ciało kobiety. Kanonada artyleryjska trwała jeszcze kilka minut, po czym nastąpiła cisza.

Siedzieliśmy jeszcze kilka minut pod ogrodzeniem. Po Czerniakowie rozeszła się wiadomość, że nasz warsztat został zniszczony, a my załoga zabici. Kiedy powstańcza ekipa ratownicza przybyła, my siedzieliśmy jeszcze pod parkanem. Wskazaliśmy ekipie pomieszczenia gdzie zostali zabici powstańcy. My o własnych siłach poszliśmy na ulicę Czerniakowską. Tam, umieszczono nas w piwnicy, gdzie pozostaliśmy przez kilka godzin. Po umyciu się i opatrzeniu okaleczeń ruszyliśmy dalej. Nie było czasu na dłuższą rekonwalescencję, trzeba było natychmiast wznowić produkcję granatów, tym razem w piwnicy. Ponieważ materiały do produkcji częściowo zniszczyły się na skutek ostrzału, a jedynym punktem zaopatrzenia były warsztaty zbrojeniowe w Śródmieściu, trzeba było po raz trzeci odbyć podróż na ulicę Wilczą. Tym razem musiałem iść sam, ponieważ moi koledzy z uwagi na odniesione kontuzje nie byli w stanie przebyć tej uciążliwej drogi. Przed zapadnięciem zmroku wyruszyłem w kierunku ulicy Książęcej. Przechodząc ulicami Czerniakowa, ujrzałem zbombardowane i spalone kamienice.

Z trudnością dotarłem przez zwały gruzu do gmachu ZUS na rogu ulic Czerniakowskiej i Rozbrat. Podziemia ZUS (szpitala) były przepełnione rannymi.

Z wielkim trudem dotarłem do tunelu (przez ulicę Rozbrat), w którym spotkałem kilku powstańców, idących do Śródmieścia. Po chwili znaleźliśmy się w wykopie prowadzącym w górę ulicy Książęcej. I tak jak poprzednio, czołgając się dotarliśmy do plebani parafii Św. Aleksandra. Po wyjściu na Plac Trzech Krzyży udałem się w kierunku ulicy Mokotowskiej. W Śródmieściu w porównaniu z Czerniakowem było spokojnie, tylko od czasu do czasu słychać było strzały z karabinów maszynowych i wybuchy granatów. Na ulicach było dużo ludzi, przeważnie cywilów. Wszedłem w ulicę Kruczą, znalazłem się na rogu ulic Wilczej i Kruczej. Byłem u celu swojej podróży. W bramie domu, w którym mieściły się warsztaty zbrojeniowe, stało dwóch cywilów z opaskami na rękach. Powiedzieli, że w warsztatach już nie ma nikogo (była noc). Udałem się, więc do domu na ulicę Marszałkowską, gdzie mieszkała żona z dziećmi. Wszyscy byli zdrowi, tylko głód zaczął coraz bardziej dokuczać. Posiadane zapasy wyczerpały się, ponadto dawał się we znaki brak wody (wodociągi nieczynne). Jedyna studnia na całe Śródmieście zaopatrywała mieszkańców całej dzielnicy w wodę gruntową – gliniastą. Jeszcze tej nocy udałem się z naczyniami po wodę. Żona przekazała mi smutną wiadomość. Kilka dni po naszym odejściu na Czerniaków, kompania moja po szturmie na PASTĘ zdobyła ją, ale kosztowało to wiele ofiar zabitych, m.in. zginął mój dowódca kompanii por. „Stojewicz” i kilku moich kolegów. Żona moja była na pogrzebie poległych, na skwerku przy ulicy Mokotowskiej.

Nazajutrz, po pożegnaniu się z żoną i dziećmi, udałem się na ulicę Wilczą do warsztatów. Niestety, kolegi Siwca, który kierował produkcją granatów i materiałów wybuchowych – już nie było. Od naprawiających broń rusznikarzy dowiedziałem się, że zapas materiałów wybuchowych wyczerpał się i produkcja granatów została wstrzymana. Załamany tą wiadomością udałem się w drogę powrotną na Czerniaków. Kiedy znalazłem się w budynku Plebani skąd schodziło się do wykopu, nastąpił nieoczekiwany atak niemiecki od strony szpitala Św. Łazarza na ulicy Książęcej. Na budynek Plebanii i sąsiednie domy padały pociski z moździerzy, powodując zniszczenia, a następnie zmasowany ogień z broni maszynowej.

W tym samym czasie nastąpił atak od strony ulicy Konopnickiej i ogrodu na skarpie. Tego dnia jedyne połączenie Czerniakowa ze Śródmieściem zostało przerwane. Korzystając z chwilowej przerwy w ostrzale, wyskoczyliśmy z budynku Plebanii do sąsiedniego budynku Instytutu Głuchoniemych, następnie za barykadę tramwajową przy gimnazjum imienia Królowej Jadwigi na placu Trzech Krzyży. Kiedy dochodziłem do ulicy Wspólnej usłyszałem potężny warkot samolotów niemieckich. Na niebie ujrzałem kilkanaście ciężkich samolotów, lecących od zachodu. Przyśpieszyłem kroku i wpadłem do bramy kamienicy na rogu ulic Wspólnej i Mokotowskiej. W bramie usłyszałem pierwsze wybuchy bomb. Stojąc w bramie zobaczyłem jak nadlatujące nad plac Trzech Krzyży samoloty zrzuciły bomby na kościół Św. Aleksandra. Przez moment widziałem jak waliły się mury kościoła. Na podwórzu panowało zamieszanie, ludzie w popłochu, z krzykiem wpychali się do drzwi piwnicy. Popychany przez ludzi, znalazłem się w wąskim i ciemnym korytarzu piwnicy. Po chwili potężny wybuch wstrząsnął całą kamienicą. Przez otwarte drzwi do piwnicy wtłoczony został podmuchem tuman kurzu ceglanego, zawalając gruzem jedyny otwór wyjściowy z piwnicy. W korytarzu zapanowała panika, ktoś zapalił świeczkę, która po chwili zgasła. Krzyk kobiet i dzieci duszących się w tłumie pyłu był tak wielki, że zagłuszały nawoływanie mężczyzn o zachowanie spokoju. Dopiero po oddaniu strzału przez znajdującego się w korytarzu powstańca, uciszył nieco rozhisteryzowany tłum. Ponieważ ja wraz z kilkoma innymi mężczyznami, w ostatniej chwili zostałem wepchnięty do korytarza piwnicy, znajdowałem się tuż przy zawalonym otworze drzwiowym. Wraz z mężczyznami przystąpiliśmy do rozwalania zasypanych drzwi. Ku wielkiej radości zawalonych ludzi, w hałdzie gruzu i cegieł ukazała się mała szpara światła dziennego. Powiało strumykiem świeżego powietrza, byliśmy uratowani. Od zewnątrz usłyszeliśmy wołanie ludzi i walenie kilofami. Po dwóch godzinach opuściliśmy zawaloną piwnicę. Po wyjściu zobaczyliśmy zwalone nad nami trzy piętra oficyny. Kiedy wyszedłem na ulicę ujrzałem zbombardowany kościół Św. Aleksandra i sąsiednie budynki. Udałem się na ulicę Marszałkowską 47, do mojego domu. Żona była zdziwiona moim niespodziewanym powrotem. Opowiedziałem jej o przyczynie powrotu i o „przygodzie”, jaka mnie spotkała. Ponieważ w domu nie było już żywności, nazajutrz udałem się na ulicę Złotą do spalonego magazynu browaru, gdzie leżały hałdy palącego się jęczmienia. Droga nie była łatwa. Po dojściu do Al. Jerozolimskich przy ulicy Kruczej, wejście do tunelu – przekopie przez Al. Jerozolimskie było ostrzeliwane przez Niemców z gmachu BGK. Aby wejść do tunelu należało pod osłoną niskiej barykady z płyt chodnikowych, czołgać się około 40 metrów w kierunku wejścia do tunelu pod jezdnią Al. Jerozolimskich. Po wejściu do tunelu trzeba było szybko przebiec – w tunelu panował niesamowity upał. Asfalt nad tunelem palił się, trudno było oddychać. Po wyjściu z tunelu i wejściu w ulicę Złotą, trzeba było po zwałach gruzu kryć się w lejach po bombach, przed ostrzałem niemieckich karabinów maszynowych. Po godzinie dotarłem do ulicy Żelaznej, gdzie w okolicach ulicy Srebrnej znajdowała się hałda jęczmienia palącego się ze zburzonego browaru i magazynów. Po naładowaniu jęczmienia w worki ruszyliśmy w drogę powrotną. Potwornie ciężka i niebezpieczna była ta droga, z obciążeniem 40 kg na plecach. Byli tacy, którzy po drodze, z powodu braku siły, odsypywali z takim trudem zdobyty jęczmień. Była już noc, kiedy dotarłem do domu. Padłem ze zmęczenia. Jeszcze tej nocy żona przyrządziła posiłek po stłuczeniu w młóźnie jęczmienia na mąkę.

Ofensywa niemiecka nasilała się na wszystkich odcinkach miasta. Poza ciągłymi nalotami samolotów, Niemcy ostrzeliwali całe Śródmieście najcięższą artylerią, w ciągu dnia i w nocy, powodując olbrzymie zniszczenia. Trzeba było schronić się do piwnicy. W piwnicy urządziłem sypialnię i odtąd żona z dziećmi miała tam przebywać. Na barykadzie przy Placu Zbawiciela, powstańcy z wielkim trudem i stratami odpierali ciągłe ataki Niemców.

Przez cały czas dawał się we znaki brak broni i amunicji. W międzyczasie dotarła wiadomość, że na Czerniakowie wylądował desant oddziału gen. Berlinga. Wiadomość ta podniosła nieco na duchu powstańców i ludność cywilną. Niestety radość trwała krótko, zaledwie kilka dni. Niemcy zajęli Czerniaków. Oddziały powstańcze ze Starego Miasta opuściły swoje pozycje, udając się kanałami na Mokotów. Ludność cywilna pozbawiona wody i żywności, na wezwanie Niemców zaczęła opuszczać Śródmieście. Powstanie zbliżało się do tragicznego końca. W tej sytuacji dowództwo Powstania zdecydowało się na kapitulację. I tak w dniu 2.10.1944 r., po 63 dniach – Powstanie upadło.

W ciągu czterech dni ludność cywilna miała opuścić Śródmieście. Powstańcy z AK po złożeniu broni opuszczali Warszawę udając się do obozów jenieckich na terenie Rzeszy, z gwarancją Niemców dot. praw jeńców wojennych, zgodnie z Konwencją Genewską.

Otrzymaliśmy wiadomość o ewakuacji ludności cywilnej. Poza Warszawą następowała segregacja: ludzie młodzi mieli być wywożeni w głąb Niemiec na roboty, ludzie starzy, chorzy i kobiety z dziećmi wywożono na tereny polskie. W mojej sytuacji trzeba było wybierać z dwojga złego: albo na roboty do Niemiec albo do obozu dla jeńców wojennych. Zdecydowałem, że pójdę do obozu jenieckiego. Kiedy podano przez głośniki („Szczekaczki”) komunikaty o miejscach zbiórki powstańców do ewakuacji, ja już byłem przygotowany. Zabrałem dwa małe słoiki smalcu, które dostałem od właścicielki stołówki w naszym domu, a który w większej ilości był zamurowany w piwnicy (obecnie była to najodpowiedniejsza chwila, żeby ten magazyn z żywnością otworzyć i rozdzielić między lokatorów domu przed ewakuacją). Przed wymarszem powstańcy AK otrzymali po kilka „górali”- 500 zł oraz po 20 dolarów amerykańskich. Należy dodać, że w warunkach kapitulacji zostali objęci tylko żołnierze - powstańcy AK, pozostałych organizacji lewicowych (AL nie zostali objęci). W tej sytuacji Dowództwo Armii Krajowej wydało legitymacje żołnierzom-powstańcom tych organizacji, jak również wypłacono im żołd. Po pożegnaniu się z żoną i z dziećmi, udałem się na miejsce zbiórki. Na ulicy Nowowiejskiej stała już kolumna powstańców. Kolumna ta posuwała się powoli w kierunku ulicy Topolowej (obecnie Al. Niepodległości). Na zapleczu obecnych gmachów Sztabu Generalnego WP, powstańcy składali broń. Następnie kolumna posuwała się do ulicy Wolskiej, w kierunku na Ożarów. Kolumna była eskortowana przez dużą grupę żołnierzy Wehrmachtu. Kiedy wyszliśmy za Warszawę, po obu stronach drogi, na polach pozostawały jeszcze krzewy z przejrzałymi pomidorami. Powstańcy korzystając z nieuwagi eskorty, wybiegali z kolumny by zerwać trochę pomidorów. Zrobiło się zamieszanie, ale Niemcy szybko opanowali sytuację, strzelając w górę z automatów. Kolumna ruszyła dalej. Słońce chyliło się ku zachodowi, kiedy doszliśmy do Ożarowa.

5. NIEWOLA

W Ożarowie kolumna została skierowana na teren fabryki kabli. Wprowadzono nas do hal fabrycznych. Tu spędziliśmy pierwszą noc w niewoli. Rano Niemcy zarządzili apel na placu fabrycznym.

Po sprawdzeniu stanu okazało się, że w czasie marszu kilkunastu powstańców zbiegło. Niemcy byli wściekli. Po dwóch godzinach stania na apelu, kolumna ruszyła w kierunku bocznic kolejowej na stacji Ożarów. Po drodze, w czasie marszu mieszkańcy Ożarowa rozdawali chleb. Niemcy nie zabraniali. Na bocznicę stał już długi pociąg towarowy, do którego wchodzili powstańcy. Do poszczególnych wagonów Niemcy dosłownie upychali jeńców, następnie zamykali wagony. Drzwi wagonów zadrutowano. Okienka w wagonach były zadrutowane drutem kolczastym. W wagonie byliśmy tak ściśnięci, że nie można było się ruszyć. W każdym okienku z wagonów wywieszono biało-czerwone flagi z opasek powstańczych. Staliśmy na stacji około dwóch godzin, w końcu pociąg ruszył. Zaczęła się koszmarna podróż w nieznane. Nadeszła noc, a z nią i sen. Pociąg nie zatrzymywał się na stacjach. Powstańcy zasypiali stojąc lub kucając. Zaczęły się kłopoty z załatwianiem potrzeb fizjologicznych. W tym celu wycięto otwory w podłodze wagonu, co rozwiązało tak ważny w naszej sytuacji problem. Po dwudziestu czterech godzinach, kiedy zaczęło świtać, obserwatorzy przy okienku stwierdzili, że jesteśmy na terenie III Rzeszy. Pociąg, co pewien czas zjeżdżał na bocznicę i staliśmy po kilka godzin, po czym ruszał w dalszą drogę. Była już noc, kiedy pociąg ponownie zatrzymał się, staliśmy na bocznic. Po dużej ilości torów stwierdziliśmy, że była to duża stacja kolejowa. Postój nasz przedłużał się. Ponieważ na stacji było ciemno (obowiązywało zaciemnienie) nie można było zidentyfikować nazwy stacji. Było już po północy, kiedy usłyszeliśmy znany nam daleki warkot samolotów. Mijały sekundy, z oddali słychać było salwy artylerii przeciwlotniczej. Po wzmagającym się huku zorientowaliśmy się, że samoloty zbliżają się w naszym kierunku. W tym momencie zrobiło się jasno. Salwa artylerii przeciwlotniczej wstrząsnęła naszym wagonem. Odezwały się krzyki konwojujących nas Niemców. Po chwili padły pierwsze bomby w niedalekiej odległości od naszego pociągu. W naszym wagonie zapanowała śmiertelna cisza. Padliśmy na podłogę wagonu. Po chwili atak ponowił się. Potężny wybuch bomb wstrząsnęły wagonem, któryś z powstańców głośno się modlił. Pot zalewał nasze czoła. Pomyślałem, że to już koniec. Nastąpiły jeszcze dwa potężne wybuchy, salwa artylerii przeciwlotniczej, po czym nastąpiła cisza. Po chwili słychać było nawoływanie konwojentów niemieckich. Nalot trwał zaledwie ok.15 minut, a nam wydawało się, że trwa wieczność. Po godzinie pociąg ruszył w dalszą drogę. Około południa pociąg zatrzymał się. Przez zadrutowane okna wagonu chłopcy odczytali nazwę stacji, był to Lamsdorf (obecnie Lambinowice). Po chwili otworzyły się drzwi wagonu, żołnierz niemiecki krzyknął „raus”. To był koniec naszej podróży. Po wyjściu z wagonów ustawiliśmy się na peronie czwórkami. Niemcy otoczyli całą kolumnę, po czym ruszyliśmy na przód. Stojący na peronie cywile niemieccy obrzucali nas wyzwiskami „polnische banditen”, rzucając w nas, czym się dało. Kiedy zeszliśmy z peronu na polną drogę padła komenda „schnell”. Popędzana kolbami karabinów kolumna ruszyła biegiem polną drogą, w tumanie kurzu. Po kilku kilometrach „marszu”, ujrzelśmy z daleka wieże obozu. Jeszcze kilka metrów i ukazał się przed nami obóz. Był on okolony podwójnymi drutami, na wysokich słupach betonowych, z dziesiątkami drewnianych parterowych parkanów.

Przed wielką bramą stała duża grupa oficerów niemieckich, patrzących z pogardą na maszerujące szeregi zmęczonych powstańców. Za ostatnim szeregiem, zamknęła się brama obozu. Kolumna maszerowała dalej, szeroką drogą przez środek obozu.

Po obu stronach drogi, za drutami towarzyszyły nam stojące tłumy wynędzniałych radzieckich jeńców wojennych, patrzących na nas zapadłymi oczyma. Na końcu drogi obozowej kolumnę skierowano na wielki plac, zwany „Schaberplatz”. Podano rozkaz „rozejść się”. Byliśmy tak potwornie zmęczeni i spragnieni, że padliśmy na wysuszona gliniasta ziemię. Przez cały czas podróży z Ożarowa, Niemcy nie dali żadnego pożywienia ani picia. Nadeszła noc, pierwsza noc w niewoli, a z nią upragniony deszcz. Nareszcie mogliśmy ugasić potworne pragnienie (z kałuż napełnionych wodą deszczową). Tę noc spędziliśmy na przeklętym placu. Deszcz padał całą noc, dopiero nad ranem przestało padać. Byliśmy przemoknięci do suchej nitki. Rano przyszedł oddział niemieckiej Abwery (Kontrwywiad) i zarządzono apel. Ustawili rząd stołów i skrzyń. Za stołami zasiedli oficerowie i podoficerowie z Abwery. Kolejno wzywali z szeregów powstańców do poszczególnych stołów. Żądano legitymacje i na jej podstawie wpisywano na listę. Po wpisaniu na listę, wydawano blaszkę z numerem, którą zawieszano na tasemce na szyi powstańca. Dodatkowo wpisywano do kartoteki dane personalne jak: stopień wojskowy, zawód. Następnie przechodziło się do stołów, przy których stały skrzynie. Stojący za stołami żołnierze dokładnie przeprowadzali rewizję osobistą, zabierając wszystko, co wartościowe: złoto, biżuterię, zegarki, obcą walutę (poza obrączkami i fotografiami). Pozostawiali pieniądze w małej ilości oraz białe-czerwone opaski na ramieniu. Po dokonaniu tej operacji, powstańcy przechodzili na drugą stronę stołów i tam ustawiali się w dwuszeregu. Cała operacja na „Schaberplatz” trwała kilka godzin, bowiem transport nasz liczył kilka tysięcy powstańców. Następnie przeprowadzono nas na bloki i tu z kuchni polowej otrzymaliśmy pierwszy posiłek obozowy. Posiłek ten składał się z kawałka chleba (jeden bochenek o wadze około 1 kg dzielony na 10 części) oraz jednej chochli ½ litrowej zupy (kawałki kapusty kiszonej z wodą). Po spożyciu posiłku ulokowano nas w barakach. Baraki były podzielone na izby, w których były ustawione trzy piętrowe prycze wyposażone w papierowe ścierniki, wypełnione dwu centymetrową warstwą słomy.

Mnie przypadła prycza na trzecim piętrze. Około godziny 17.00 tej przyniesiono w kotłach kawę, nie słodzoną lurę. Zapytaliśmy Niemca - „co do kawy”, odpowiedział ze złością – „Chleb otrzymaliście przy obiedzie”. Jak się później okazało, pajda chleba którą otrzymaliśmy wcześniej miała nam starczyć na cały dzień. Tak zresztą było przez cały czas pobytu w obozie. Nadeszła noc, pierwsza od wielu dni, którą mieliśmy przespać w obozie pod dachem. Po kilku minutach odezwały się pierwsze chrapania umęczonych powstańców. Ja, mimo potwornego zmęczenia nie mogłem zasnąć. Czułem, że coś się ze mną dzieje niedobrego. Mdłości, a następnie bóle brzucha nie pozwalały mi zasnąć. Przewracając się z boku na bok przetrzymałem do rana. Rano o godzinie 5.00 tej okrzyk „Blokfurera” zarządził zbiórkę na apel. Z trudem zszedłem z pryczy. Kiedy stałem już w szeregu złapały mnie bóle i wymioty. Na szczęście apel się skończył i przy pomocy kolegi dowlokłem się do latryny obozowej. Tu z przerażeniem stwierdziłem, że schodzi ze mnie krew. Z wielkim trudem wróciłem do baraku i położyłem się na pryczy.

Czułem, że mam wysoką temperaturę. Kolega, powstaniec (student III roku medycyny) stwierdził, że jest to „czerwonka”. Wezwano „Blockfurera”, który rozkazał, aby zabrano mnie z pryczy i przeniesiono do baraku izolacyjnego.

Barak ten stał na uboczu bloku, w odległości około 400 metrów, odgradzony drutami kolczastymi. Zniesiono mnie z pryczy i położono na kocu, wraz z pozostawionymi mi rzeczami. Następnie czterech kolegów w asyście „Blockfurera” zaniósł mnie do tego baraku widma, gdzie położyli mnie na gołych deskach pryczy, nakryli kocem i szybko wyszli z baraku. Po ich odejściu poczułem się przerażająco samotny, opuszczony i nikomu już niepotrzebny. Rozejrzałem się po mrocznej przestrzeni baraku. Małe okienka i szyby zachlapane błotem, w minimalnym stopniu przepuszczały światło z zewnątrz. Na całej powierzchni ustawione były po obu stronach, pod ścianami prycze z desek. Poza pryczami w całym baraku nic nie było. Po oswojeniu się z panującym na sali mrokiem stwierdziłem, że nie jestem sam. Kilka metrów od mojego legowiska zobaczyłem leżące na pryczach nieruchome „toboły”. Zastanawiałem się, co to może być. Po wysileniu wzroku ujrzałem wystające spod koca nogi w brezentowych „walonkach”. Były to ciała zmarłych jeńców radzieckich. Po drugiej stronie, w głębi baraku ujrzałem na pryczach kilku jeńców, jeszcze żyjących. Leżałem w dużej gorączce, chwilami traciłem świadomość, zapadając w koszmarny sen. Nieżyjący jeńcy uśmiechali się do mnie i wyciągali w moim kierunku ręce. Zerwałem się zlany potem, odzyskując na chwilę przytomność. Nastał już dzień, kiedy do baraku weszło kilku jeńców z noszami. Jeden z nich podszedł do mnie, popatrzył i odszedł. Po chwili zauważyłem, że wynoszą na noszach zmarłych jeńców. Uświadomiłem sobie, że i mnie czeka ich los. Ale ja jeszcze żyłem. Nie wiem jak długo to trwało, straciłem orientację w czasie. Kiedy otworzyłem oczy ujrzałem, że do baraku wszedł młody człowiek z białą czerwoną opaską na ramieniu. Poznałem go, był to student – powstaniec, który towarzyszył mi do baraku. Podszedł do mnie, położył mi dłoń na czole, coś do mnie mówił. Wskazałem na leżący pod moją głową mój tobołek. Dałem mu do zrozumienia, aby go zabrał, bo mi nie będzie już potrzebny. Po chwili wahania wziął węzełek i wyszedł. Nie wiem jak długo trwała nieobecność mojego jedyne go opiekuna, byłego towarzysza broni – powstańca. Pewnego dnia poczułem dotknięcie na mojej głowie, otworzyłem oczy i zobaczyłem uśmiechającego się do mnie mojego przyjaciela – opiekuna, trzymającego w ręką jakąś fiolkę oraz blaszaną puszkę.

Fiolka zawierała czerwone pastylki, a puszka – kawę obozową. Mój opiekun zapowiedział, że przyjdzie jutro po apelu porannym i wyszedł, spiesząc się na apel wieczorny. Jeszcze tego dnia wieczorem przywieziono kilku jeńców radzieckich, jeszcze żyjących. Ja po zażyciu dużej dawki leku poczułem się nieco lepiej, czułem, że gorączka spada. W nocy nie mogłem zasnąć, jęki przywiezionych jeńców nie dawały mi spać. Dopiero nad ranem zasnąłem, a kiedy się przebudziłem w baraku panowała grobowa cisza – przywiezieni wieczorem jeńcy już nie żyli. W niedługim czasie do baraku wkroczyła ta sama ekipa jeńców radzieckich z noszami, która poprzedniego dnia wyniosła zmarłych. Podszedł do mnie jeden z żołnierzy (jeniec), patrząc na mnie powiedział łamaną polszczyzną „ty partyzant polaczek budziesz żył”. Znowu zostałem sam. Czekałem z niecierpliwością na mojego przyjaciela – opiekuna. Niebawem przyszedł, położył mi dłoń na czole i powiedział, że jest lepiej niż wczoraj. Podał mi lek i posiedział przez chwilę przy mnie. Teraz dopiero mu się przyjrzałem.

Był to młody chłopak (około 20 lat), ubrany w szarą bluzę, na zamiennikach dwie belki, z obwódką biało-czerwoną – kpr. podchorąży. Po jego odejściu zastanawiałem się, co tego nieznanego mi chłopca skłoniło do zaopiekowania się chorym na zakaźną chorobę (grożącym zarażeniem).

Przecież w obozie byli bliżsi mi kuzyni i koledzy i żaden nie odważył odwiedzić mnie w chorobie. Domyślałem się, że moja choroba jest zakaźna, zarówno jak i tych nieszczęsnych jeńców radzieckich, którzy bez żadnej opieki lekarskiej umierali. Fakt, że nie skierowano mnie do obozowej izby chorych, tylko do baraku- trupiarni, potwierdzał moje przypuszczenie. Tego dnia nie przywieziono do baraku żadnych jeńców. W całym baraku, tchnącym śmiercią – byłem sam. Musiałem w samotności spędzić następną noc, o tyle inną, że już z nadzieją przeżycia. Ta noc była dla mnie ze wszystkich nocy przebytych do tej pory w baraku – trupiarni, najbardziej samotna. Byłem na tyle już przytomny, że reagowałem na otoczenie, które było dla mnie koszmarem. Ciemności panujące w baraku śmierci potęgowały cienie – dusze zmarłych jeńców. W pierwszą noc, kiedy byłem półprzytomny w gorączce nie czułem się tak samotny jak tej nocy. Może, dlatego że nie byłem sam. Obok na pryzkach leżały ciała zmarłych i wydawało mi się, że śpią, tyle, że spali snem wiecznym. W tę koszmarną noc długo nie mogłem zasnąć, myślałem o żonie, dzieciach, rodzinie i ich losie. W końcu jednak zasnąłem. Nazajutrz, jak zwykle po apelu porannym przyszedł mój opiekun. Przywitałem go jak najbliższą mi osobę, jak brata. Podziękowałem za uratowanie mi życia. Czułem się już dużo lepiej, gorączka w dalszym ciągu spadała, ale byłem tak osłabiony, że nie było mowy o wstaniu, a tym bardziej o chodzeniu. Uzgodniliśmy, że po całkowitym ustąpieniu temperatury, wrócę do baraku. Nie przyjmowałem żadnych posiłków tylko piłem dostarczaną mi przez mojego opiekuna „moczopędną kawę”. W rozmowie z moim młodym przyjacielem i opiekunem dowiedziałem się, że był studentem III roku medycyny na Uniwersytecie Konspiracyjnym w Warszawie. Opowiedział mi również jak zdobył zbawienno dla mnie lek. W baraku rozpakował mój węzełek, w którym między innymi drobiazgami znajdował się słoik ze smalcem. Natychmiast udał się do „Blockfurera”, który urzędował w dyżurce przy bramie bloku. Poprosił go o lek, którego nazwę wypisał na kartce. „Blockfurer” odmówił. Wtedy mój kolega wręczył mu słoik ze smalcem. Niemiec otworzył słoik, powąchał (smalec był przyrządzony z cebulką i miał bardzo przyjemny zapach), następnie wyjął z szafki chleb, ukroił dwie kromki i posmarował tym smalcem. Nastąpiła degustacja, przy czym jeniec zjadł swoją kromkę w ciągu kilku sekund, a Niemiec przyglądał się temu chwilę. Widząc, że tamten zjadł z takim apetytem, Niemiec zaczął jeść swoją kanapkę. Mój przyjaciel patrzył na Niemca z niepokojem, czy smalec będzie mu smakować. Ale niepokój trwał krótko. Niemiec po zjedzeniu kanapki powiedział „sehr gut” i zapakował słoik do teczki. Powiedział, że jego kolega pracuje w izbie chorych, i że za pół godziny będzie z powrotem z lekarstwem. Rzeczywiście po tym czasie Niemiec już był w swojej dyżurce. Kiedy mój opiekun wszedł do dyżurki, Niemiec trzymając w ręku fiolkę zapytał czy o ten lek chodzi. Mój przyjaciel potwierdził, wziął lek, podziękował i natychmiast przybiegł do mnie. Należy przy tym dodać, że znał dobrze język niemiecki, co w dużym stopniu pomogło mu się dogadać z Niemcami. Według zaleceń mojego opiekuna miałem spędzić ostatnią już noc w baraku. Nazajutrz po apelu przyszedł po mnie ze swoim kolegą. Przynieśli mi zmianę bielizny blaszane pudełko wody. Umyłem się jak to było możliwe (pudełko zawierało około 1 litra wody), zmieniłem zakrwawione i cuchnące spodenki.

Dwaj przyjaciele wzięli mnie pod ramiona i ruszyliśmy do drzwi baraku. Byłem tak słaby, że nogi ugięły się pod mną. Bez ich pomocy nie zrobiłbym kroku. Kiedy wyszliśmy z baraku musiałem odpocząć.

Stojąc przed barakiem popatrzyłem w jego kierunku i zobaczyłem nad drzwiami baraku napis w języku rosyjskim, a nad nim – trupia głowa z pieszczelami. Było to wykonane wapnem, przy pomocy pędzla lub innego prymitywnego narzędzia. Na moją prośbę kolega przetłumaczył ten napis: BARAK ŚMIERCI. Zrozumiałem, dlaczego do tego baraku, nikt, poza ekipą do wynoszenia zmarłych – nie wchodził. Postaliśmy jeszcze chwilę, podziękowałem Bogu za ocalenie, a mojego przyjaciela serdecznie uściskałem, dziękując mu za opiekę. Odległość od tego baraku do baraków jenieckich (ok. 400m) przebyliśmy w ciągu godziny. Po kilkunastu dniach (dokładnie nie pamiętam) znalazłem się wśród ludzi żywych i zdrowych. W baraku dużo się zmieniło, było luźniej. W całym bloku jeńców-powstańców pozostali tylko oficerowie i podchorążowie, w sumie około 700 osób. Szeregowcy i podoficerowie zostali wywiezieni w głąb Trzeciej Rzeszy na roboty. Podczas wieczornego apelu spotkałem kolegę, z którym pracowałem jeszcze przed wojną w Stoczni Modlińskiej – Franka Derkacza. Odtąd razem dzieliliśmy niedolę w obozie, aż do czasu ewakuacji obozu.

Powoli dochodziłem do zdrowia. Po kilkunastu dniach głodówki odzyskałem apetyt. Niestety wyżywienie w obozie było głodowe. Dziennie otrzymywaliśmy: pajdę chleba (jeden mały bochenek chleba na 10 ludzi), 4 małe ziemniaki w mundurkach, kosteczkę margaryny w wymiarach 1x3x3 cm, na śniadanie ½ litra kawy (ziółta moczopędna), na obiad ½ litra „zupy” – przeważnie z kaszy jaglanej (gdzieniegdzie pływające ziarenka).

Pewnego dnia zauważyłem po przeciwnej stronie drutów sąsiedniego bloku, zatrudnionych w magazynach jeńców radzieckich. Dowiedziałem się od naszych jeńców, że ruscy sprzedają chleb na zasadzie towar za towar (złoto, zegarki, pierścionki, obrączki i inne wartościowe przedmioty). Podeszedłem bliżej drutów i zobaczyłem grupę radzieckich jeńców, trzymających w rękach po bochenku chleba. Popatrzyłem na swoją obrączkę, jedyny wartościowy przedmiot, jaki jeszcze posiadałem. Niektórzy koledzy „dobijali” targu. Wtedy z naszej strony przetrzucano przedmioty, a z przeciwnej łądowały bochenki lub połówki chleba. Jeszcze raz spojrzałem na swoją obrączkę, nie mogłem się zdecydować, mimo, że pokusa była bardzo wielka. Szybko oddaliłem się. Były wypadki, że przetrzucany chleb padał blisko drutów w strefie zakazanej, wtedy Niemcy strzelali z pobliskich wież do usiłujących podnieść chleb. Zdarzyły się trzy wypadki postrzału, w tym jeden śmiertelny. Mijały dni, głód coraz bardziej dawał się we znaki. W otrzymywanych kromkach chleba stwierdzono domieszkę trocin. Wielkość otrzymywanych ziemniaków (4 sztuki zmniejszyła się do 30 mm. średnicy). Głód skręcał jelita i powodował potworny ból żołądka. Z bólu nie można było zasnąć. Ponadto roje pluskiew i pcheł bezlitośnie wysysały krew z ciała. Mniej wytrzymali poniżali swoją godność osobistą. Pamiętam żenujący wypadek. Kiedy przyniesiono na obiad ziemniaki w beczce i po rozdaniu wszystkim w beczce już nic nie było, jeden z jeńców rzucił się na pustą beczkę jak oszalały. Wciskając w nią głowę wydrapywał palcami pozostałe resztki i wypychał je do ust. Pamiętam sylwetkę tego jeńca – wysoki przystojny mężczyzna. Zaczęły się kradzieże. Wszystko, co przedstawiało jakąkolwiek wartość (pasy, paski od spodni, spodnie, płaszcze, buty) wymieniano na chleb u jeńców radzieckich.

Do snu nie rozbierano się, spano w ubraniu i butach. Powołano nawet sąd – znalazł się wśród jeńców baraku, przedwojenny prokurator i adwokat. Wydawano wyroki pozbawiając stopni wojskowych winnych kradzieży i przenoszono ich do innego baraku.

Na blok zaczęły napływać papierosy z niewiadomych dla nas źródeł. Kombinatorzy za jednego papierosa „Junak” brali jednego dolara, jedyną obiegową walutę. „Góral” (500 zł), których w obozie było najwięcej, a za które nic nie można było kupić, używano z braku papieru do podcierania w obozowej latrynie. Życie w obozie stawało się coraz bardziej uciążliwe. Wzmogła się dyscyplina obozowa. Pewnego dnia na apel przybył oddział żołnierzy Abwehry, zabrano nam opaski biało-czerwone AK. Oświadczone nam, że od tej chwili będziemy traktowani jak zwykli cywile bandyci. Zostaliśmy pozbawieni praw, jakie gwarantowała nam Konwencja Genewska – prawa jeńców wojennych, przyznanych po kapitulacji Powstania. Nie pomogły protesty naszych mężów zaufania u komendanta obozu. Zaczęliśmy się bać, nie wychodziliśmy z baraków o zmierzchu i w nocy do latryny oddalonej o 300 m. od baraku. W każdej chwili Niemiec stojący na wieży mógł zabić „bandytę” bez ponoszenia odpowiedzialności, co zresztą miało miejsce w kilka dni potem. Na szczęście obyło się bez ofiar. Apele przedłużały się bez powodu do kilku godzin. Pozbawiono nas opieki lekarskiej. Obchodzono się z nami jak w obozie koncentracyjnym. W tej sytuacji nasze blokowe dowództwo usiłowało za wszelką cenę nawiązać kontakt z Międzynarodowym Czerwonym Krzyżem. Było to prawie niemożliwe. Projektowano ucieczkę z obozu dwóch oficerów.

Pewnego dnia dotarła do nas wiadomość, że Międzynarodowy Czerwony Krzyż w Genewie poszukuje około 1000 oficerów i podchorążych z Powstania Warszawskiego, którzy nie figurują w spisach jeńców wojennych skierowanych do oflagów na terenie Rzeszy. Wiadomość ta ucieszyła nas i podniosła na duchu. Chodziło więc o to, aby w jakiś sposób powiadomić Międzynarodowy Czerwony Krzyż o naszym pobycie w radzieckim obozie jenieckim, w Lamsdorfie. Należy dodać, że do obozu w Lamsdorfie, razem z naszym transportem przybyli także oficerowie wyższej rangi (pułkownicy, majorzy), którzy w niedługim czasie zostali wywiezieni do oflagów. Według zapewnień komendanta Obozu, pozostali jeńcy mieli być wywiezieni do oflagów w terminie późniejszym. Dowiedzieliśmy się także, że nasz Komendant (pułkownik) spotkał się z Dowódcą Obozu Jenieckiego - pułkownikiem Wehrmachtu, z którym służyli razem w wojsku niemieckim podczas I wojny światowej. Po wyjeździe pułkownika i innych wyższych oficerów do oflagu nastąpiła ta eskalacja, której ofiarami byliśmy my, pozostawieni na pastwę losu. Jak już wspomniałem w obozie były grupy-gangi ludzi, którzy nawet w tych koszmarnych warunkach obozowych potrafili się dobrze urządzić. Do tych grup należeli cwaniacy i kombinatorzy, którzy żerowali na zdecydowanej większości głodujących jeńców. Wyłudzali oni za żywność, papierosy, najdroższe pamiątki rodzinne (obraczki, pierścionki), które udało się przemyścić na „schaberplatz” po przyjeździe do obozu. Grupy te, dzięki posiadaniu wyłudzonych wartościowych przedmiotów, łatwo nawiązywały kontakty z personelem i obsługą niemiecką obozu. Do drugiej grupy, która zupełnie dobrze egzystowała w obozie należeli lekarze i ich protegowani (sanitariusze, zdrowi pacjenci zatrudnieni w Izbie Chorych). Reszta jeńców była na tym samym wyżywieniu, co jeńcy radzieccy i przymierała głodem.

Nadeszła zima, a z nią pogorszenie się i tak już ciężkich warunków życia w obozie. Godzinne apele na mrozie, w śniegu po kolana, brak ubrania, nieogrzewane baraki, głód, pluskwy i inne insekty. Wszystko to powodowało koszmarnie warunki wegetacji w obozie.

Był grudzień 1944 roku. Przyszły silne mrozy. Zlepiono z kamieni i gliny - piecyk do ogrzewania izby, ale nie było czym palić. Palono, więc deskami wyciąganymi spod sienników i innych elementów konstrukcji pomocniczych dachu. Podczas mroźnych nocy, w obawie przed strażnikami na wieżach, nie wychodziliśmy do oddalonej o 300 m latryny obozowej. Wszystkie potrzeby fizjologiczne załatwialiśmy na podeście od zewnątrz drzwi baraku, co natychmiast zamarzało. Powodowało to często zablokowanie otwarcia drzwi, w związku, z czym na apel wychodziliśmy oknami. Po apelu skuwano kilofami zamarzniętą bryłę lodu i tak operację tę powtarzano każdego mroźnego rana. Pewnego dnia na teren naszego bloku przybyli dwaj cywile, w towarzystwie oficerów niemieckich. Zarządzono apel, jak co dzień sprawdzono stan jeńców. Po apelu goście opuścili blok. Jak się później dowiedzieliśmy byli to przedstawiciele Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. A więc znaleźli nas. Byliśmy uratowani. Wielka radość zapanowała wśród jeńców. Na kilka dni przed Bożym Narodzeniem, po apelu „Blokfuhrer” rozkazał „mężowi zaufania” wyznaczyć kilku jeńców, których wyprowadzono z bloku w kierunku budynków obozowej administracji niemieckiej. Po kilku godzinach przed nasz blok zajechały samochody załadowane paczkami, a na nich siedzący jeńcy. Na ten widok zapanowała w naszym bloku wielka radość. Wszyscy rzucili się do bramy. Radość nasza nie miała końca – byliśmy uratowani. Tej nocy nie spaliśmy. Przez całą noc dobieraliśmy mundury, ciepłą bieliznę, buty, naszywaliśmy na mundury swoje dystynkcje i cieszyliśmy się amerykańskimi paczkami. Całe umundurowanie było amerykańskie. Umundurowanie składało się z: marynarki z wkładanym kołnierzem, spodni, „Pierozka” i czapeczki wełnianej z daszkiem, płaszcz, butów sznurowanych pod kolanami i bielizny ciepłej. Ponadto każdy otrzymał 10 kilogramową paczkę z żywnością, słodyczami, papierosami „Camele”. Rano stanęliśmy na apelu umundurowani, jak prawdziwi żołnierze. Na apel zostali zaproszeni oficerowie dowództwa obozu, z Komendantem Obozu na czele. Po apelu nastąpił przemarsz naszych oddziałów jenieckich przed grupą naszych starszych oficerów oraz niemieckich. Następnie rozeszliśmy się do baraków. Komendant Obozu miał powiedzieć po apelu, że to nie są bandyci, to jest wojsko. Od tego czasu zmienił się radykalnie stosunek władz obozowych do nas.

Życie w obozie toczyło się dalej, lecz już w innych warunkach. Po raz pierwszy od przybycia do obozu, zaprowadzono nas do łaźni. Pamiętam, kiedy szliśmy w zwartym szyku przez główną aleję obozową, wyległy wynędzniałe tłumy jeńców radzieckich, patrząc na nas ze zdziwieniem i smutkiem. Idąc, rzucaliśmy im za druty zawiniątka z żywnością i papierosy. Gest ten spotkał się z ostrą reakcją prowadzących nas Niemców, a co gorsze spowodował fatalne skutki wśród jeńców za drutami, bowiem rzucili się oni na zawiniątka trując się nawzajem. Nie wszystko, co rzuciliśmy spadło za druty. Paczki leżące przy drutach po naszej stronie chwytały wynędzniałymi rękami między gęsto zawieszonymi drutami kolczastymi, powodując okaleczenia i okrwawienia ramion po pachy. Był to wstrząsający widok. Mimo najszerszych chęci, postanowiliśmy na przyszłość tego nie robić. Idąc dalej aleją, zwróciłem uwagę na barak – bunkier, oddalony od ogrodzenia alei o kilkanaście metrów.

Bunkier był zagłębiony w ziemi prawie pod dach, ogrodzony dookoła trzema rzędami drutów kolczastych. Gdy doszliśmy na wysokość tego baraku, zobaczyliśmy wychodzących z niego jeńców w ubraniach cywilnych, niektórzy mieli radzieckie furażerki na głowach. Byli to radzieccy partyzanci. Wśród nich byli też Polacy, którzy wołali do nas wymachując ramionami. Domyślaliśmy się, o co im chodzi - prosili o pomoc. Niestety nic nie mogliśmy dla nich zrobić. Były starania naszych „mężów zaufania” do władz obozu do przekazania ich do naszych baraków. Niestety Niemcy nie chcieli się zgodzić, nawet na dostarczenie im paczek. Uważali ich za bandytów. Doszliśmy do budynków, w których mieściła się łaźnia. Wprowadzono nas do pomieszczenia bez okien, podłóg, ogrzewania. Tu kazano nam się rozebrać do naga (było kilkanaście stopni mrozu). A ubranie złożyć w następnym pomieszczeniu. W „poczekalni” na rozpoczęcie kąpieli, czekaliśmy półtorej godziny, trzęsąc się z zimna, skupieni w grupach ogrzewając się własnymi ciałami. W końcu rozpoczęła się „kąpiel”. Ustawieni w szeregu wchodziliśmy do pomieszczenia, w którym na suficie były zainstalowane sitka - prysznice. Z nich kapały krople zimnej wody. Na nasze okrzyki o więcej wody, obsługujący odkręcił na kilka sekund kran, po czym trysnął na nas strumień lodowatej wody. Następnie zakręcił kran krzycząc w języku rosyjskim „chwacit”, co oznaczało – dosyć. Po wyjściu spod pryszniców, zmoczeni przeszliśmy do dużego pomieszczenia, również bez okien, podłóg i ogrzewania. Po dwugodzinnym czekaniu na ubrania, następnie ubraniu się, opuściliśmy „łaźnię” zziębnięci biegnąc do baraków na blok. Następna kąpiel odbyła się na kilka dni przed Bożym Narodzeniem. Po przyjsciu do „łaźni” zastaliśmy grupę jeńców radzieckich, stojących w kącie „poczekalni”. Były to żywe trupy, szkielety o zapadłych w czaszkach oczach. Ciała ich były szaro-sine. Drżąc z zimna patrzyli na nas oczodołami (oczu nie było widać). Był to wstrząsający widok. Ludzi tych po kilkunastu minutach wprowadzono przed nami do „łaźni”. Jakie było nasze wzburzenie i przerażenie, gdy podczas oczekiwania na ubrania zobaczyliśmy przez okna – tych jeńców już jako nagie trupy leżących na wozie, który był prowadzony przez kilku jeńców radzieckich w kierunku lasu poza obozem. Długo nie mogliśmy zapomnieć tego przerażającego widoku – wóz załadowany trupami i te wystające spoza desek wozu szare nogi. Życie w obozie toczyło się dalej. Nadeszła Wigilia Bożego Narodzenia, pierwsza nasza Wigilia w niewoli, za drutami. Chłopcy za papierosy amerykańskie zdobyli od Niemców kilka gałązek choinek. Ubraliśmy choinkę, zawieszając na niej kolorowe pudełka po konserwach z paczek. Był silny mróz, w baraku było bardzo zimno. Nie było, czym napalić w prowizorycznym piecyku. Wszystkie elementy pomocnicze konstrukcji dachu zostały już spalone. Któryś z kolegów rzucił propozycję, aby po odejściu „Blokfuhrera” do dowództwa obozu na wspólną Wigilię zdjąć dwie okiennice z dyżurki „Blokfuhrera”. Propozycja jednogłośnie została przyjęta. Wysłano dwóch jeńców w celu obserwacji. Po kilkunastu minutach, kiedy Niemiec opuścił dyżurkę, koledzy zdjęli okiennice i przynieśli do baraku. Okiennice połamano na drobne kawałki i napalono w piecyku. Po podzieleniu się, zamiast opłatkiem, piernikami z paczek i złożeniu sobie życzeń, wrzuceni do łez do późnej nocy śpiewaliśmy kolędy. Nazajutrz, „Blokfuhrer” spotkanemu oficerowi – jeńcowi powiedział, że zdjęto okiennice z dyżurki. Oficer na to wzruszył ramionami i odszedł. W pierwszy dzień Świąt nie było apelu. Dopiero trzeciego dnia po Świątach, na porannym apelu „Blokfuhrer” oświadczył, że zdjęto okiennice z dyżurki i jeżeli do jutra, do apelu okiennice nie będą zawieszane, zamelduje o tym swoim przełożonym.

Okiennice nie mogły być zawieszone, bo zostały spalone. Na ranny apel w towarzystwie oficera z Abwehry, przybyło kilku niemieckich żołnierzy z psami. Pamiętam, spadł duży śnieg, był mróz i wiatr. Staliśmy czwórkami po kolana w śniegu.

Niemiecki oficer z wściekłością zwrócił się do nas, z wezwaniem o wystąpienie z szeregu winnych tego czynu. Wezwanie to zostało przetłumaczone przez jednego z jeńców. Staliśmy w milczeniu, nikt z szeregu nie wystąpił. Po kilku minutach oficer ponowił wezwanie, dodając, że jeżeli za 10 minut winni nie wystąpią z szeregu to cały blok (ok.1000 jeńców) będzie stał na apelu aż do skutku. Po 10 minutach nikt nie wystąpił i nie przyznał się. Oficer, po wydaniu swoim żołnierzom poleceń oddalił się i opuścił blok. My staliśmy dalej przestępując z nogi na nogę i uderzając ramionami po bokach dla rozgrzewki (zaczęliśmy już odczuwać skutki zimna). Zbliżało się południe i pora obiadu. Napięcie wzrastało. Pilnujący nas Niemcy, chodząc wokół nas patrzyli z nienawiścią. W pewnej chwili stała się rzecz, która nieoczekiwanie zakończyła karny apel. Przechodzący obok czoła oddziału jeńców Niemiec z psem, poślizgnął się na udeptanym śniegu i padając potrafił stojącego na przodzie oficera – jeńca. W tym momencie pies złapał zębami za dłoń oficera, kalecząc go. Oficer szamocząc się z psem zaczął krzyczeć, wymachując zakrwawioną dłonią. Zrobiło się zamieszanie w całym oddziale. Stojący w czwórkach jeńcy opuścili swoje miejsca, biegnąc w kierunku zdarzenia. Otaczający nas Niemcy okrzykami „halt” usiłowali przywrócić spokój i porządek w oddziale. Wołania te jednak nie odnosiły skutku. Niemcy widząc wzburzenie i agresję jeńców, zaczęli wycofywać się w kierunku bramy, wydobywając z kabur broń ręczną. Zdarzenie to trwało zaledwie kilkanaście sekund. Kiedy żołnierze niemieccy opuścili blok, „mąż zaufania” jeńców zarządził zbiórkę. Powiedział, że sprawa jest poważna. Niemcy mogą potraktować ten incydent jako bunt w obozie.

Postanowiono działać natychmiast. Wytypowano najwyższych rangą oficerów, wraz z oficerem poszkodowanym w incydencie. Delegacja niezwłocznie udała się do Komendanta Obozu a my rozeszliśmy się do baraków i w zdenerwowaniu czekaliśmy na ich powrót. Powrócili na blok po godzinie oświadczając nam, że tym razem sprawa została zażegnana. Komendant Obozu powiedział, że jeżeli podobne wybryki jeńców polskich powtórzą się, cały blok zostanie rozparcelowany po obozach karnych na terenie Trzeciej Rzeszy. Od tego incydentu dyscyplina wewnętrzna na bloku poprawiła się. W celu wypełnienia wolnego czasu jeńców, przystąpiono do organizowania zespołów artystycznych. Występy indywidualne śpiewaków, recytacje – uprzyjemniały życie obozowe. Zorganizowano szkolenie wojskowe w barakach. Oficerowie „cichociemni”, których było kilku w obozie, prowadzili wykłady w zakresie dywersji i sabotażu. Pewnego dnia „szczekaczki” obozowe ogłosiły werbunek jeńców radzieckich do oddziałów generała Własowa, formującego oddziały wojskowe, współpracujące z Armią Niemiecką. Obserwowaliśmy masowe wyjścia jeńców radzieckich, zgłaszających się do tej armii.

Nadszedł luty 1945 r. Do obozu dotarły wiadomości o rozpoczętej ofensywie radzieckiej na wschodzie i wojsk alianckich na zachodzie. Na skutek tych wiadomości, samopoczucie jeńców poprawiło się. Zachowanie Niemców wskazywało na zdenerwowanie. Na niebie, od czasu do czasu, ukazywały się radzieckie samoloty myśliwskie.

Pewnego dnia na teren bloku weszło dwóch podoficerów Abwery z „Blokfuhrerem”. Natychmiast zarządzili apel. Podczas apelu oświadczyli nam, że w dniu dzisiejszym nastąpi ewakuacja obozu. Wiadomość ta spadła na nas jak „grom z jasnego nieba”. W ciągu godziny, wszyscy jeńcy winni być gotowi do opuszczenia bloku.

Zauważyliśmy, że z sąsiadujących bloków radzieckich wychodzili już jeńcy, ustawiając się „czwórkami” na głównej alei obozu. Następnie cała kolumna ruszyła w kierunku głównej bramy. Po wyjściu jeńców radzieckich, wyprowadzono nas do sąsiedniego bloku, opuszczonego przez jeńców radzieckich. Kazano nam czekać na rozkaz wymarszu. Po godzinie od czasu opuszczenia obozu przez jeńców radzieckich, nad obozem przeleciały samoloty radzieckie i z niedalekiej odległości słychać było wybuchy bomb i strzały z karabinów maszynowych.

Doszła do nas wiadomość, że samoloty radzieckie zbombardowały maszerującą kolumnę jeńców radzieckich. Wiadomość ta była dla nas szokiem. Siedząc pod drutami zauważyliśmy, że z baraków opuszczonych przez nas, wydobywają się kłęby dymu. Po chwili baraki stały w ogniu. W obozie zawrzało. W głównej alei pojawiły się wozy strażackie, zatrzymując się przed naszym blokiem. Na gaszenie pożaru było już za późno. Baraki wypełnione zawszonymi i zapluskwionymi siennikami, płonęły jak cysterny z benzyną. Patrzyliśmy na to niesamowite widowisko z radością, a jednocześnie ze strachem. Byliśmy przekonani, że sprawcami byli nasi koledzy, którzy zemścili się na pluskwach, które przez tyle miesięcy znęcały się na naszych wygłodzonych ciałach. Patrzyliśmy na to ze strachem, bo zdawaliśmy sobie sprawę, że podpalenie baraków, Niemcy mogą potraktować jako sabotaż na tyłach (kilkadziesiąt kilometrów od frontu). Czekaliśmy z nieukrywanym niepokojem na reakcję Niemców i dalsze wydarzenia. Niemcy już nie mieli czasu na dochodzenie w sprawie pożaru.

Ewakuację na zachód przyjąłem z niechęcią, z uwagi na zbliżający się front i nadzieję na rychłe wyzwolenie. W związku z tym, korzystając z zamieszania spowodowanego pożarem, podjąłem decyzję – nie ewakuowania się, a przynajmniej opóźnienia o kilka godzin. W tym celu przeszedłem do sąsiedniego bloku, żegnając się z moim przyjacielem Frankiem Derkaczem. Mieściła się tam Izba Chorych, w której od kilku tygodni przebywali m.in. moi szwagrowie (korzystając ze znajomości lekarza). Miałem nadzieję, że szwagrowie korzystając z bliskiej znajomości z lekarzem – jeńcem, ułatwią mi pozostanie na Izbie Chorych do czasu ewentualnej ewakuacji. Niestety prośby moich szwagrów u lekarza nie zostały uwzględnione. Lekarz po prostu bał się Niemców, wpisując dodatkowych pacjentów na listę chorych. W międzyczasie Niemcy ewakuowali już całą moją grupę jeńców na zachód, a ja pozostałem sam przed barakiem Izby Chorych, nie wiedząc, co ze sobą począć. Niemcy mogli potraktować mnie jako jednego z podpalaczy baraków i rozstrzelać. Na szczęście po kilku minutach na teren bloku weszła grupa jeńców serbskich (w obozie było ich niewielu). Serbowie zapytali mnie, co ja tu robię. Opowiedziałem, że nie chcieli przyjąć mnie na Izbę Chorych. „Chodź z nami”- odpowiedzieli, „idziemy po paczki do magazynu”. Nie zastanawiając się, dołączyłem do grupy Serbów.

Po załadowaniu paczek na wózek, wyruszyliśmy na główną aleję obozową, a następnie udaliśmy się w kierunku angielskiego obozu jeńców wojennych, odległego o 4 km od naszego obozu.

Idąc aleją w kierunku wyjścia z obozu zauważyłem, że wszystkie bloki były opuszczone przez jeńców radzieckich, z wyjątkiem jednego, w którym przebywali niezdolni do ewakuacji. Jeńcy ci, wynędzniali, trzymający się drutów, spoglądali ze smutkiem i rezygnacją na naszą grupę opuszczającą obóz. W pewnej chwili wóz z paczkami zatrzymał się, idący obok wozu Serbowie przerzucili kilka paczek za druty. Efekt był fatalny. Ślaniający się jeńcy rzucili się na leżące paczki, wydierając je sobie z rąk. Eskortujący nas Niemcy z Volksturm wrzeszcząc, popędzili nas w kierunku bramy głównej obozu. Słońce chyliło się ku zachodowi, kiedy kolumna zatrzymała się przy bramie obozu angielskiego. Stojący przy bramie Niemcy otworzyli ją i kolumna nasza znalazła się na terenie obozu. Po zatrzymaniu się przy budynkach magazynowych zostaliśmy otoczeni przez tłum jeńców angielskich. Rozładowaliśmy wóz, po czym najstarszy rangą Serb rozkazał wydać po jednej paczce dla każdego jeńca z naszej grupy. Następnie angielski podoficer zaprowadził nas do baraku, gdzie zajęliśmy prycze, opuszczone przez jeńców angielskich ewakuowanych poprzedniego dnia. Jeszcze tego dnia przed wieczorem, przybyła grupa jeńców-powstańców z Izby Chorych naszego obozu, którzy zajęli pozostałe wolne prycze w baraku. Ciężko chorzy zostali umieszczeni w miejscowym szpitalu angielskim. W baraku tym znajdowali się ponadto jeńcy włoscy (oficerowie). Nazajutrz w godzinach rannych stanęliśmy na apel, dołączając do kilkutysięcznego stanu jeńców angielskich. Po apelu nasza powstańcza grupa stała się przedmiotem wielkiego zainteresowania ze strony jeńców angielskich. Otoczeni tłumem, odpowiadaliśmy na pytania dotyczące walk z Niemcami w Warszawie. Uważano nas za bohaterów. Patrzone na nas z podziwem i sympatią. Po śniadaniu zaprowadzono naszą grupę do magazynu, gdzie po uprzednim wykąpaniu się pod przyzwitym prysznicem przydzielono nam nowe, angielskie sorty mundurowe. Następnie wraz z kolegami udaliśmy się na zwiedzanie obozu. Okazał się dużo większy, od obozu, z którego przyszliśmy. Baraki były rozrzucone po całym obozie, nie było podziału na bloki. Można było bez przeszkód poruszać się po całym obozie. W obozie tym przed ewakuacją przebywało około 20.000 jeńców. W porównaniu z poprzednim obozem, było to „sanatorium”. Obóz ten pod każdym względem różnił się od obozu, z którego przyszliśmy. Wyżywienie było lepsze. Zupy na obiad bardziej treściwe, większe porcje chleba, dwa razy więcej ziemniaków. Mimo to jeńcy angielscy narzekali na wyżywienie. Poza tym dwa razy w miesiącu otrzymywali po jednej paczce z „Czerwonego Krzyża”. Dla nas było to luksusem. Anglicy twierdzili, że w ostatnich dniach warunki wyżywienia w obozie pogorszyły się. Zapasy w magazynach paczek wyczerpywały się, paczki od rodziny przychodziły z opóźnieniem, ze względu na działania wojenne. Stosunek Niemców do jeńców angielskich był nieporównywalnie lepszy. Anglicy zachowywali się swobodnie, wykorzystując pobłażliwy stosunek Niemców do nich. Urządzano koncerty, występy artystów, w każdą niedzielę koncertowała orkiestra obozowa. Zespół „jazzowy”, po naszym przybyciu koncertował w naszym baraku, na naszą cześć. Śpiewano, tańczono, grano w karty. Zaprzyjaźniliśmy się. U każdego jeńca – Polaka, przesiadywało codziennie na pryczy po kilku jeńców angielskich. Nazywano nas „gangsterami” z Warszawy. Cieszyliśmy się sympatią i zaufaniem. Przed naszym przyjściem do obozu zdarzył się wypadek, który częściowo zaostriżył rygor w obozie. Według relacji naszych angielskich przyjaciół było tak: Pewnej nocy grupa jeńców angielskich słuchała radia. Niespodziewanie „Blokfuhrer” złapał ich na gorącym uczynku.

Zatrzymał dwóch jeńców, pozostali uciekli. „Blokfuhrer” rozkazał im zabrać radio i iść za nim na wartownię. Kiedy przechodzili obok zbiornika betonowego, napełnionego wodą (były to zbiorniki przeciwpożarowe), jeden z jeńców pchnął Niemca do zbiornika, po czym obaj jeńcy zbiegli z radiem. Dzięki strażnikowi, który to zajście widział, alarmując przy pomocy wystrzałów i oświetlając miejsce wypadku reflektorem, Niemcy wyciągnęli półprzytomnego i przemarzniętego „Blokfuhrera”. Wszelkie poszukiwania sprawców, nie dały rezultatu.

„Blokfuhrer” po tej „kąpieli” przebywał w szpitalu. Jeńcy, w obawie, że Niemiec po wyjściu ze szpitala rozpozna ich, zgłosili się z prośbą, aby mogli zostać w naszym baraku. Aby stan jeńców w baraku angielskim zgadzał się na apel, dwaj bracia Wierzbiccy (władający dobrze językiem angielskim) przeszli do baraku angielskiego, zmieniając swoje nazwiska na nazwiska angielskie. Od tego dnia dwaj sierżanci angielscy, zamieszkali w naszym baraku jako bracia Wierzbiccy. Pewnego wieczora dowiedzieliśmy się, że angielscy „Wierzbiccy” przynieśli do baraku radio. Od tego dnia codziennie słuchaliśmy wiadomości z frontów, różne to były wiadomości. Pewnego dnia usłyszeliśmy wiadomość z Londynu, że stalag nr 318 VIII F (to znaczy nasz) jest w drodze do uwolnienia przez wojska radzieckie. Za dwa dni podano informację, że nasz stalag jest uwolniony. A prawda była taka, że w dalszym ciągu siedzieliśmy w obozie. Pewnego dnia, spacerując po obozie w godzinach popołudniowych, usłyszeliśmy serię z karabinów maszynowych, po której nastąpiła cisza. Jak się później dowiedzieliśmy były one skierowane do chorych jeńców radzieckich, niezdolnych do ewakuacji. Była to likwidacja naszego dawnego obozu. Poza tym zachowanie Niemców w obozie, nie wskazywało na rychłe uwolnienie. Życie w obozie toczyło się dalej, jak co dzień. Pewnego dnia podczas apelu zauważyliśmy podenerwowanie wśród Niemców. Strażnicy zachowywali się inaczej, zaczepiali jeńców, rozmawiali z nimi. Jeden ze strażników przemówił do nas z wieży (w języku polskim, ze śląskim akcentem) oświadczając nam, że w każdej chwili możemy być ewakuowani na zachód, że zbliża się klęska Niemiec Hitlerowskich. Zapytany przez nas skąd zna język polski odpowiedział, że jest Polakiem (pochodzi z Katowic i jest górnikiem) i został przymusowo wcielony do armii niemieckiej. Nazajutrz podczas rannego apelu, oficer niemiecki powiedział żeby nie oddalać się z baraków. Podczas obiadu do baraku wkroczyła grupa Niemców na czele z oficerem, który oświadczył nam żeby przygotować się do ewakuacji, zbiórka nastąpi za dwie godziny na placu apelowym. Wydano na drogę po jednym bochenku chleba. Jeńcy, którzy nie czuli się na siłach, winni zgłaszać się na Komisję Lekarską, która już urzędowała w sąsiednim baraku.

Była druga połowa marca 1945 roku. Pewnego dnia o godzinie 13.00 opuściliśmy baraki, udając się na plac apelowy, gdzie sprawdzano stan ewakuowanych jeńców. Apel trwał kilka godzin, następnie kolumna ruszyła w kierunku bocznic kolejowej. Załadowano nas tam do wagonów towarowych, stojącego pociągu. Po godzinie pociąg ruszył w nieznane, nie zatrzymując się na stacjach. W każdym z wagonów załadowano po 100 jeńców. Po kilkugodzinnej podróży, potrzeby fizjologiczne zaczęły upominać się o swoje prawa. Ponieważ nie otwierano drzwi, przystąpiliśmy do wycinania w podłodze wagonów otworów- sedesów.

Następne postoje trwały po kilkadziesiąt minut, Niemcy jednak nie kwapili się z otwieraniem wagonów. Mijały godziny, dni i noce. Zapasy żywności z otrzymanych paczek dawno się wyczerpały.

Zaczęło dokuczać pragnienie. Reszty słodkiego skondensowanego mleka z paczek nie gasiły pragnienia. Pewnego dnia, gdy pociąg zatrzymał się, zaczęliśmy wołać oraz kopać w drzwi wagonu.

Po kilkunastu minutach drzwi wagonu rozsunęły się i stojący na zewnątrz Niemiec oświadczył, że kto czuje potrzebę może zejść na dół. Zobaczyliśmy, że pociąg stoi na wysokiej ośnieżonej skarpie, a wokół roztaczał się widok ośnieżonych gór. Dolina obstawiona była niemieckimi konwojentami. Znaleźliśmy się w dolinie, w śniegu po pas.

Pierwszą czynnością było wydeptanie w głębokim śniegu miejsca sedesu w celu załatwienia najpilniejszej potrzeby fizjologicznej, a następnie ugaszenie pragnienia. Obie te czynności wykonywane były jednocześnie. Teraz dopiero zauważyliśmy, że z naszego pociągu tasiemca pozostało zaledwie kilka wagonów. Kilkadziesiąt wagonów z jeńcami zostało podczas tej kilkugodzinnej podróży, odczepione po drodze. Po kilkunastu minutach, na sygnał Niemców zaczęliśmy się wspinać po stromej skarpie do wagonów, pozostawiając w dolinie wielką czerwoną plamę (spowodowaną obstrukcją). Pociąg ruszył dalej w nieznaną. Przez szczeliny w wagonie oglądaliśmy przepiękne widoki gór. W nocy słyszeć było potężne wybuchy. Upojeni górskim powietrzem – zasnęliśmy. Nazajutrz rano, obudzeni nagłym zatrzymaniem pociągu, ujrzelśmy przez szpary w wagonie, że jesteśmy na boczniczy dużej stacji kolejowej. Na jednym z budynków odczytaliśmy nazwę stacji, był to „Linz”, a więc byliśmy w Austrii. Postój na tej stacji trwał kilka godzin. W dalszym ciągu siedzieliśmy zmoknięci w wagonach. Sądziliśmy, że to już kres naszej podróży. Niestety po kilku godzinach pociąg ruszył dalej. Przejeżdżając przez stację zobaczyliśmy widok, który przypominał nam niektóre fragmenty zbombardowanej Warszawy. Na zbombardowanych budynkach stacyjnych opierały się potężne zwaly żelastwa, przypominające swoim kształtem czołgi. Na poboczach zbombardowanych torów leżały dziesiątki podwozi wagonowych, na których prawdopodobnie przewożono czołgi. Powykręcane tory kolejowe i głębokie leje świadczyły o zmasowanym ataku lotnictwa alianckiego na obiekty Linzu. Na wielkim rumowisku setki ludzi w pasiakach, poganiani batogami nadzorców, zakładali tory i zasypywali leje, usuwając zwaly gruzu z torowisk.

Po kilku godzinach przejechaliśmy powoli po prowizorycznym torze, zbombardowaną poprzedniej nocy stację. Według naszych wyliczeń podróż trwała już 7 dni i nocy. Byliśmy wyczerpani do ostatnich granic. Głód dawał się we znaki. Zapasy żywnościowe wyczerpały się już dawno. Pojawiły się wśród nas przypadki zachorowań. Chorzy i słabi jeńcy leżeli na podłodze wagonu, pozostali stali lub kucali. Przy następnym zatrzymaniu się pociągu, nagle rozsunęły się drzwi wagonu i stojący na zewnątrz Niemiec wrzasnął - „raus”. Pomyśleliśmy z ulgą, że był to koniec tej koszmarnej podróży. Wsiadanie z pociągu nie było łatwe. Po kilkunastu godzinach zdrętwiałe od stania i kucania nogi, odmawiały posłuszeństwa. Nie wszyscy jeńcy z naszego wagonu wyszli o własnych siłach, kilkunastu trzeba było wynieść. Kiedy znaleźliśmy się na peronie zauważyliśmy, że celem naszej podróży była stacja „Krems”. Od otaczającego nas tłumu ludzi dowiedzieliśmy się, że jesteśmy w Austrii. Po godzinnym postoju na peronie i uformowaniu kolumny, żegnani wyzwiskami wrogo usposobionego tłumu cywilów, ruszyliśmy za miasto, w nieznanym nam kierunku. Chorych i niezdolnych do marszu zabrały samochody wojskowe, które ruszyły przed kolumną. Droga była ciężka, prowadziła, cały czas pod górę. Poganiani przez Niemców gasiliśmy pragnienie leżącym na poboczu, szarym śniegiem.

Po dwugodzinnym, wyczerpującym do ostatnich sił marszu, na szczycie wzniesienia ujrzelśmy wieże strażnicze, wielkiego obozu. Dla nas, umęczonych żołnierzy Powstania był to trzeci już z kolei obóz.

Pobył w obozie jeńców wojennych w Austrii

Kiedy kolumna jeńców zbliżała się do bramy obozu, grupa żołnierzy niemieckich otworzyła bramę i znaleźliśmy się za drutami. Przed budynkiem Komendy Obozu kolumna zatrzymała się, formując dwuszereg. Po chwili z budynku wyszła grupa wyższych oficerów niemieckich. Eskortujący kolumnę oficer niemiecki złożył meldunek najstarszemu rangą oficerowi. Następnie oficer przeszedł w towarzystwie składającego meldunek, przed frontem kolumny, zatrzymując się na końcu przy oddziale powstańców. Towarzyszący mu oficer wskazał na naszą grupę. Nasz oddział liczył 30 ludzi. W grupie tej było kilku bardzo młodych 16-17-latków. Pułkownik podszedł do najmłodszego z jeńców, zapytał ile ma lat, uśmiechając się poklepał go po ramieniu. Popatrzył na innych, zwrócił się do towarzyszącego mu oficera wskazując na naszą grupę. Przegląd był skończony. Kiedy kolumna ruszyła w głąb obozu, podszedł do nas podoficer niemiecki i powiedział czystą polszczyzną, że otrzymał rozkaz od dowódcy – zakwaterowania i zaopiekowania się naszą grupą. Całą kolumnę (około 1000 jeńców) wtłoczono do jednego baraku, o długości ok. 30 m. Zbliżała się noc, barak obstawiono posterunkami i zamknięto okiennice (obowiązywało zaciemnienie). Byliśmy potwornie zmęczeni, więc natychmiast położyliśmy się na betonowej posadzce, usiłując zasnąć. Zarówno brak tlenu w załadowanym po brzegi baraku, jak i pragnienie, które od kilkunastu godzin dawało się nam we znaki – nie pozwalało nam zasnąć. Zaczęto dobijać się do zaryglowanych drzwi i okien baraku, upominając się o wodę. Pilnujący nas na zewnątrz Niemcy z początku nie reagowali na nasze wołania. W końcu oświadczyli nam, że w obozie panuje epidemia tyfusu i że woda obozowa nie nadaje się do picia bez przegotowania. Po tym oświadczeniu Niemcy zamknęli okna. W baraku zapanowała atmosfera podniecenia i zdenerwowania. Jeńcy mdleli z pragnienia. Zaczęto dobijać się do okien, wybijając szyby w baraku. Powiało świeżym powietrzem, ale okiennice zaryglowane od zewnątrz żelaznymi sztabami, nie pozwalały na wyjście z baraku. Rozmowy na zewnątrz baraku ze strażnikami, doprowadziły do kompromisu. Niemcy zgodzili się na podawanie przez jedno okno bryłek śniegu, zalegającego na zewnątrz baraku. W tym celu wyłamano deskę w okiennicy i tą dziurę z każdą bryłką śniegu Niemcy zażądali dwa papierosy. Prowadzący pertraktacje z Niemcami, jeńcy uważali, że żądania są zbyt wygórowane. W końcu zgodzili się na jednego papierosa za garść brudnego śniegu. Przy oknie wytworzył się tłok, utworzono kolejkę, każdy pojedynczo mógł odebrać upragnioną bryłkę śniegu (brudnego spod żołnierskich butów), gasząc na chwilę potworne pragnienie. Było już po północy, kiedy na salę baraku wszedł podoficer niemiecki i powiedział: „Przygotować się do kąpeli”. Należało rozebrać się do naga, zwinąć sorty mundurowe w koc (za wyjątkiem przedmiotów skórzanых). Wszystko to należało ułożyć przy bramie baraku. Po chwili ukazała się grupa jeńców serbskich, którzy załadowali nasze rzeczy na wozy i oddalili się w kierunku budynku z wysokim kominem, w odległości około 300 m. od baraku. Następnie Niemiec rozkazał się ustawić w kolejce w kierunku sąsiadującego budynku-łaźni, połączonego bramą z barakiem. Upłynęło kilka godzin zanim nasza grupa znalazła się

przy wrotach łaźni. Przy wejściu stał jeniec – Serb, który wpuszczał do środka po pięciu jeńców. Wewnątrz pierwszego pomieszczenia stało pięć taboretów, na które sadzano jeńców, a stojący przy taboretach Serbowie, uzbrojeni w maszynki do strzyżenia wykonywali dokładnie swoje czynności. W pierwszej kolejności strzyżono głowy, a następnie dolne części ciała. Strzyżono nawet owłosienia na piersiach i pod pachami. Było to raczej wrywanie włosów przy pomocy tępych maszynek. Toteż ofiary strzyżenia obrzucały Serbów niewybrednymi wyzwiskami, na co Serbowie nie reagowali, wykonując dalej swoje czynności ze stoickim spokojem. Po tych torturach wchodziliśmy do następnego pomieszczenia, gdzie ze zwisających sitek – pryszniców, kapą zimna woda. Po minucie było już po kąpieli. Następnie przechodziliśmy do zamkniętego pomieszczenia, dużego baraku, gdzie trzeba było czekać na zdezynfekowane ubranie. Czekanie trwało kilka godzin, w zamkniętym pomieszczeniu, gdzie około tysiąca nagich, stłoczonych ciał wytworzyło tak potworną atmosferę, że nie było, czym oddychać. Było już rano, kiedy szerokie wrota otworzyły się i na zlanym potem jeńców powiał zbawczy strumień zimnego powietrza. Ujrzelśmy w odległości około 100 metrów stos tobołów zawiniętych w koce. Stojący przy drzwiach żołnierz niemiecki powiedział śmiejąc się, że jeżeli komuś się spieszy to może zabrać swoje ubranie. Po jego słowach kilkunastu jeńców przepychając się w kierunku drzwi, wyskoczyło z baraku, wypychając mnie i mojego kolegę na zewnątrz. Kiedy dopadliśmy do hałdy, rozpoczęliśmy szukanie swoich ubrań. Ja miałem szczęście, już po kilku minutach znalazłem swoje ubranie z przywiązaną do niego kartką zawierającą mój nr jeniecki. Nie wszyscy mieli to szczęście, po kilku minutach bezowocnych poszukiwań zziębnięci musieli wrócić do baraku. Ponieważ poza naszą grupą, nikt z jeńców nie zdradzał chęci biegu nago po oblodzonych chodniku po ubranie, wydano polecenie podwiezienia ubrań wózkami pod drzwi baraku, skąd jeńcy przerzucali tobołki przez całą długość baraku na podniesionych rękach. Upłynęło jeszcze dużo czasu zanim wszyscy odnaleźli swoje ubrania. Następnie stanęliśmy do apel, skąd zostaliśmy rozproszeni po barakach w obozie. Po naszej grupę powstańców zgłosił się „Volksdeutsch”. Cały obóz był przeładowany. Na jednej pryczy spało po dwóch jeńców. Nasz opiekun zaprowadził nas do baraku – „świetlicy”. Tu oczywiście nie było prycz. Przyniesiono kilka worków starej słomy i rozrzucono pod ścianą, na betonową posadzkę. Byliśmy tak potwornie zmęczeni, że legliśmy na tym barłogu nakrywając się kocami i natychmiast zasnęliśmy. Dla ogrzania się spaliśmy po dwóch, pod dwoma kocami. Rano zjawił się „gefrajter” wołając, „Apelio”, ale nikt nie wstawał. Podchodził, więc do każdego z nas i kopiąc butem w wystające spod koców nogi, usiłował zmusić nas do wstania na apel. Ale i to nie pomogło, w końcu zostawił nas w spokoju i odszedł. Zjawiał się dopiero o godzinie 12.00 tej, wstaliśmy bo przynieśli „obiad” (po trzy małe ziemniaki i zupa „jarzynowa”). Po spożyciu posiłku wyszliśmy z kolegą na zwiedzanie obozu. Po wyjściu z baraku na główną aleję, doszliśmy do bramy wyjściowej. Po obu stronach alei rozstawione były baraki, było ich mnóstwo. Po drodze mijaliśmy grupy jeńców wojennych różnych narodowości. Byli wśród nich: Anglicy, Francuzi, Rosjanie, Kanadyjczycy, Jugosłowianie, Włosi, Belgowie. Obóz był wybudowany z przeznaczeniem dla jeńców francuskich. Wracając doszliśmy do zamkniętej bramy, przy której stał wartownik. Po drugiej stronie bramy stały wieże z wartownikami. Ogródzenie z podwójnych drutów oddzielało nasz obóz. Po drugiej stronie był obóz dla amerykańskich jeńców wojennych. Widać było kilkadziesiąt baraków i spacerujących jeńców w mundurach amerykańskich.

Cały obóz położony był na wzgórzu. Z daleka, na zboczach niskich gór widać było plantacje winorośli. Od strony północnej, za drutami stały murowane budynki wyglądające na magazyny.

Mimo, że obóz ten był przeznaczony dla jeńców francuskich, w miarę posuwania się do frontu zachodniego do obozu tego kierowano jeńców ewakuowanych z zachodnich terenów Rzeszy. W momencie naszego przybycia do tego obozu, ilość jeńców wynosiła ok. 100 tyś. Toteż w barakach był ścisk, że trudno było przejść środkiem baraku. Pośrodku obozu, od strony północnej znajdował się wielki plac apelowy. Na terenie obozu znajdowały się również magazyny, w których w poprzednim okresie składane były paczki Czerwonego Krzyża. Ponadto znajdował się barak - kościół, barak – teatr, no i nasz barak, który do naszego przyjścia był świetlicą i biblioteką. W „świetlicy” poza nami przebywali również Francuzi z tym, że my spaliśmy na betonie a Francuzi na pryzkach.

Był marzec. Życie w obozie toczyło się bez zmian, tylko wyżywienie znacznie się pogorszyło, szczególnie „zupy” warzywno – ziołowe, bez ziemniaków i tłuszczu. Pewnego dnia, kiedy leżeliśmy na pryzkach, do naszego baraku wpadł zdyszany „gefrajter” krzycząc już od wejścia „apel”. Tym razem widząc jego zdenerwowanie, podnieśliśmy się z posłań, ustawiając się w dwuszeregu. Po chwili na salę wszedł w towarzystwie kulejącego podoficera, oficer w randze kapitana. Na komendę stanęliśmy na baczność, a nasz „gefrajter” złożył oficerowi raport, następnie padła komenda „spocznij”. Jakie było nasze zdziwienie, kiedy oficer zwrócił się do nas po polsku, uśmiechając się: „ jak się chłopcy czujecie, w czym wam mogę pomóc”? Widząc nasze zdziwienie i zaskoczenie wyjaśnił, że jest Austriakiem polskiego pochodzenia i tu wymienił swoje nazwisko – „Książępolski”. Był to bardzo przystojny, wysoki i sympatyczny mężczyzna. Powiedział: „Dowiedziałem się, że jesteście Polakami i powstańcami z Warszawy, w tym obozie nie ma Polaków poza wami. Czułem się w obowiązku odwiedzić was. W czym mogę wam pomóc w tej trudnej sytuacji?”. Byliśmy zszokowani jego zachowaniem. Dopiero po chwili, ośmieleni, przedstawiliśmy swoją prośbę o przydzielenie jeszcze po jednym kocu i o zezwolenie na postawienie piecyka w świetlicy. Oficer przekazał naszą prośbę „gefrajtrowi” do wykonania oraz zapowiedział, że odwiedzi nas za kilka dni, po czym odszedł. Niestety oficer ten już nie przyszedł do nas tak jak zapowiedział. Nasz stary „gefrajter” pewnego dnia, w wielkiej tajemnicy powiedział nam, że nasz kapitan Książępolski i towarzyszący mu w czasie wizyty u nas podoficer zostali rozstrzelani, za zdradę Trzeciej Rzeszy na rzecz Aliantów.

Tymczasem ofensywa na zachodzie – przybierała na sile. Samoloty amerykańskie przelatywały nad naszym obozem. Któregoś dnia samoloty zbombardowały miasteczko nad Dunajem „Krems”, leżące około 5 kilometrów od naszego obozu. Siła wybuchów była tak wielka, że wszystkie szyby w oknach naszych baraków powylały. Również ofensywa radziecka, w szybkim tempie zbliżała się do granic Austrii. Wokół naszego obozu zauważyliśmy ustawienie dużej ilości artylerii i ruchy wojsk niemieckich. Pewnego dnia rano stwierdziliśmy, że w nocy Niemcy opuścili obóz. Radość nasza trwała krótko, po kilku godzinach wrócili i na wieżach strażniczych ujrzeliśmy Niemców. Z powodu braku zaopatrzenia, w obozie zapanował głód. Jeńcy włamywali się do magazynów, w których miały znajdować się paczki Czerwonego Krzyża. Nasz grupa powstańców zainicjowała taki napad na magazyn z paczkami dla Serbów. Pewnego wieczoru po apelu, grupa nasza udała się po paczki, zaskakując serbskich strażników żyłkami osadzonymi w żerdziach.

W ten sposób zdobyliśmy 20 paczek, ratując się przed śmiercią głodową. Serbowie zameldowali o tym napadzie, ale Niemcy nie zareagowali na donos. Głód w obozie wzrastał się.

Niemcy dostarczali tylko suchy prowiant tj. worki z suszem komosy, pokrzyw i liści z buraków. Susz ten gotowaliśmy na prowizorycznych kuchenkach. W obozie tylko Anglicy i Serbowie posiadali jeszcze trochę paczek z Czerwonego Krzyża, które dzielono między sobą po jednej paczce na czterech jeńców, w ciągu jednego miesiąca. Jeńcy innych narodowości jak Rosjanie, Włosi i my, skazani byli na śmierć głodową. Francuzi, Belgowie i Serbowie ponadto pracowali jeszcze poza obozem, przynosząc każdego wieczora do obozu ziemniaki, kaszę i inne produkty, które wymieniali u innych głodujących jeńców na bieliznę, buty, przedmioty posiadające jakąkolwiek wartość. W handlu tym Serbowie byli bezlitości. Odbywało się to w następujący sposób: w barakach zajmowanych przez Serbów były urządzone bazy, z wystawionymi na pryzkach kramami. Bazy te były oblegane przez tłumy jeńców, mających coś do wymiany. Byli i tacy (przeważnie jeńcy radzieccy), którzy nie mając nic do wymiany, korzystając z nieuwagi starali się coś ukraść. Były to jednak rzadkie przypadki, gdyż Serbowie pilnowali swoich skarbów jak oka w głowie. Handel odbywał się w ten sposób, że podchodziło się do stoiska Serba, który dokładnie lustrował „klienta”, następnie palcem jednej ręki wskazywał na przedmiot, bądź część garderoby, a drugą ręką wskazywał na ułożoną na kocu garść kaszy, fasoli, ziemniaków. Oznaczało to, że wskazany przedmiot można było otrzymać za wskazaną ilość produktów. Bywały i takie humorystyczne transakcje, że „klient” nie mając już nic do zaoferowania zdejmował z siebie ubranie (spodnie, sweter, koszulę), otrzymując w zamian upragnioną żywność. Serbowie w ten sposób zdobytą odzież wynosili rano poza obóz i tam wymieniali ją na produkty żywnościowe u „bauerów”, u których byli zatrudnieni. Wieczorem przynosili na teren obozu transporty żywnościowe i handlowali dalej. Jeśli chodzi o nas powstańców to byliśmy w początkowym okresie naszego pobytu w obozie, w dużo lepszym położeniu (mieliśmy czym handlować). Z obozu angielskiego każdy z nas przyniósł pełną walizkę „ciuchów”, ale po pewnym czasie i nasze zapasy wyczerpały się. Pod koniec naszego pobytu w obozie (był to początek kwietnia 1945r.) zmuszeni byliśmy i my ściągnąć ostatnie spodnie i wymienić na ziemniaki lub kaszę u Serbów. Na szczęście było już dość ciepło.

Jak już wyżej wspomniałem, głód wzrastał się w obozie. Codziennie wywożono po kilkudziesięciu zmarłych z głodu jeńców. Byli to przeważnie jeńcy radzieccy, których było najwięcej w obozie. Nie otrzymywali oni paczek, ponieważ Związek Radziecki nie był członkiem Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Włosi, którzy również nie byli członkami Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, byli wygłodzeni jak Rosjanie i również jak oni nie mieli nic do wymiany na żywność u Serbów. Zaniechano prowadzenia apelów. Często były wypadki, że wygłodzeni jeńcy padali z głodu podczas apelu. Słońce dogrzewało coraz mocniej. Wielki plac apelowy pokrył się młodą, zieloną trawą. Grupy jeńców siedziały nieruchomo pod barakami, wystawiając do słońca wynędzniałe twarze. Inne grupy jeńców leżąc na placu, wyskubywały i jadły młodą trawę. Od czasu do czasu nad naszymi głowami przelatywały potężne samoloty amerykańskie i towarzyszące im samoloty myśliwskie. Jeńcy już nie reagowali na wyjące syreny przeciwlotnicze i przerażające okrzyki uciekających z wież strażniczych Niemców. Nie kryli się już do rowów przeciwlotniczych, wykopanych na placu apelowym. Po prostu nie mieli już na nic sił.

Zaledwie kilkanaście metrów dalej za drutami, jakże inny był obóz jeńców amerykańskich. Jeńcy stojąc na dachach baraków w czasie przelotów nad obozem amerykańskich samolotów, powiewali kolorowymi czapeczkami i chustami, pozdrawiając swoich towarzyszy broni. Pewnego dnia, wczesnym rankiem, do naszego baraku wbiegł jeden z naszych kolegów wołając, że Niemcy opuścili obóz. Wybiegliśmy przed barak i stwierdziliśmy, z radością, że na wieżach strażniczych nie było Niemców. Wiadomość rozeszła się błyskawicznie po całym obozie. Główna aleja obozowa zapełniła się tłumem jeńców, manifestujących swoją radość. Ponieważ Niemcy już raz opuścili obóz i po dwóch godzinach wrócili, jeńcy nie opuszczali obozu, czekając na oswobodzenie. Zresztą i tym razem władze jeńcze zabroniły opuszczania obozu, ustawiając posterunki przed bramą wyjściową. W międzyczasie umocowaliśmy na dachu naszego baraku biało-czerwoną flagę, uszytą z opasek powstańczych.

Niestety i tym razem radość nasza trwała zaledwie kilka godzin. Przed wieczorem do obozu wkroczył oddział Niemców, stawiając posterunki i obsadzając wieże strażnicze. Pewnej nocy do baraków jeńców radzieckich wkroczył oddział „własowców” (formacja wojskowa utworzona przez generała Własowa, która współpracowała z Armią Hitlerowską), wyprowadzając oficerów radzieckich. Wiadomość ta rozeszła się po całym obozie. Kilka dni później, wieczorem już po apelu, do naszego baraku weszło kilku ludzi. Ponieważ o zmroku nie wolno było palić światła (obowiązywało zaciemnienie), w pierwszej chwili nie mogliśmy zidentyfikować nocnych intruzów, zakłócających nam sen. Byliśmy przekonani, że to Niemcy przyszedli w związku z wywieszoną przez nas na baraku flagą. Kiedy zbliżyli się do nas rozpoznaliśmy że to są jeńcy radzieccy. Po naszym zapytaniu, co sprowadza ich do naszego baraku odpowiedzieli przyciszonym głosem, że od kilku dni ukrywają się przed oddziałem „własowców”. Zwrócili się do nas z prośbą abyśmy zgodzili się przyjąć ich do naszego baraku. Przy tym powiedzieli, że zgłaszali się już do baraków wszystkich narodowości, ale nikt nie wyraził zgody na przyjęcie ich. My zapytaliśmy ich, dlaczego przyszedli do nas, jak nikt nie chciał ich przyjąć. Odpowiedzieli, że uważali nas („Akowców”) za swoich wrogów. Zapytaliśmy, czy jeżeli uważają nas za wrogów, nie boją się, że wydamy ich „własowcom”. Jeden z oficerów w randze kapitana odpowiedział słabą polszczyzną (okazało się później, że jest polskiego pochodzenia), że zapewniał swoich towarzyszy o tym, że Polacy powstańcy „Akowcy” przyjmą ich i nie wydadzą „własowcom”. Po krótkiej naradzie wyraziliśmy zgodę na przyjęcie i ukrycie oficerów radzieckich w naszym obozie, na co oni z nieukrywaną radością dziękowali nam, ściskając nasze dłonie. Było to dla naszej grupy dość ryzykowne i niebezpieczne, choćby z uwagi na nasze poprzednie wybryki w obozie (wywieszenie flagi polskiej w obozie, napad na magazyn z paczkami Serbów). W tej sytuacji należało przede wszystkim zmienić umundurowanie. Nasza grupa była ubrana w mundury angielskie, które otrzymaliśmy jeszcze w obozie w Lamsdorfie. Wspomniałem już (podczas pobytu w obozie angielskim) o ukryciu dwóch poszukiwanych Anglików, którzy wrzucili „Blokfuhrera” do basenu przeciw pożarowego. Anglicy Ci w dalszym ciągu przebywali wśród nas. Anglikom tym zleciliśmy umundurowanie oficerów radzieckich. W tym celu udaliśmy się wcześniej rano do baraku angielskich, gdzie po prostu ukradliśmy śpiącym jeszcze jeńcom angielskim – sorty mundurowe (bluzy, pierożki). Nazajutrz rano nikt nie zauważył, że grupa nasza powiększyła się o trzech jeńców (nawet nie zauważył tego stary Austriak z „volksturm”, który raz dziennie zaglądał do naszego baraku).

Kilka dni później przyszli do nas jeszcze czterej Polacy z kampanii wrześniowej i też zostali u nas. Jeńcy radzieccy to oficerowie – lotnicy w stopniach oficerskich, wszyscy odznaczeni orderami z czerwoną gwiazdą.

Z jednym z nich („Sasza”, nazwiska nie pamiętam) zaprzyjaźniłem się (otrzymałem od niego adres i zaproszenie po wojnie). Życie w obozie toczyło się dalej. Codziennie przelatywały setki samolotów amerykańskich i angielskich. Pewnego ranka Niemcy otworzyli bramę do części obozu amerykańskiego. Tłumy jeńców z naszego obozu ruszyły na główną aleję obozu amerykańskiego (Amerykanów nie wypuszczano na główną aleję). Oczywiście poszliśmy i my Polacy. Stanęliśmy przy drutach i z przerażeniem patrzyliśmy na „dantejskie sceny”, jakie odbywały się na naszych oczach przy drutach. Przy naszej stronie stały tłumy jeńców wygłodzonych półnagich żebraków, a po drugiej stronie – setki jeńców ubranych, ogolonych, palących papierosy, tryskających zdrowiem. Jeńcy Ci rzucali w naszą stronę papierosy, chleb, konserwy, bieliznę. Trudno opisać, co się działo po naszej stronie, wrywano sobie z rąk przerzucane rzeczy, deptano, bito się – niesamowity tumult. Nasza grupa, nie różniąc się wyglądem od innych jeńców wydawała okrzyki i przekleństwa w rodzimym języku. Było dla nas wielkim zaskoczeniem, kiedy na nasze okrzyki z przeciwnej strony drutów odezwały się głosy wypowiedziane łamaną polszczyzną. „To wy jesteście Polacy?” odpowiedzieliśmy, że tak, jesteśmy żołnierzami - powstańcami Armii Krajowej z Warszawy. Popatrzyli na nas z niedowierzaniem. Krzyknęli „nie dajcie się, zaraz wracamy” i pobiegli do swoich baraków. Po kilku minutach zauważyliśmy kilkunastu Amerykanów biegnących w naszym kierunku, z załadowanymi na plecach workami. Kiedy zbliżyli się do nas zaczęli wyciągać z worków mundury, konserwy, papierosy i przerzucać na naszą stronę, ale zbliżający się tłum jeńców rzucił się na nas wrywając z rąk to co zdążyliśmy złapać. Amerykanie zorientowawszy się, że w ten sposób nie otrzymamy przeznaczonych dla nas rzeczy, wstrzymali przerzucanie. Jeden z Amerykanów przemówił do tłumy, że to, co przynieśli jest przeznaczone tylko dla Polaków ostrzegając, że jeśli będą nam wrywać to oni przestaną przerzucać. Pomogło to na tyle, że większą część przerzuconych rzeczy zdążyliśmy załadować w nasze koce. Dziękując ofiarodawcom ruszyliśmy do baraku, gdzie rozładowaliśmy nasz skarb, dzieląc się dokładnie wszystkim. Co to była za radość i ucztą. Ubrani w amerykańskie mundury i najedzeni, już spokojnie czekaliśmy na oswobodzenie. Koniec wojny zbliżał się milowymi krokami.

Oswobodzenie i powrót do Kraju

W nocy z 7 na 8 maja 1945r. barakami wstrząsnęły potężne wybuchy. Sądziliśmy, że strzela ciężka artyleria niemiecka, ustawiona wokół obozu. Kanonada ta po kilkunastu wybuchach ustała. Następnie zaległa cisza. Tej nocy już nie zasnęliśmy. Rano niebo było bezchmurne, zapowiadało się na pogodę. Wyjrzelśmy przez uchylone okiennice. Jak każdego rana pierwsze nasze spojrzenia skierowane były na wieże strażnicze. Tym razem na strażnicach nie było Niemców. Wybiegliśmy na główną aleję obozu, gdzie zastaliśmy grupy jeńców komentujących nocne wybuchy. Upłynęło kilka minut. W naszym kierunku biegło kilkunastu jeńców krzycząc, że przy głównej bramie nie ma Niemców. Mimo to nie byliśmy pewni, czy i tym razem Niemcy nie wrócą.

Od strony placu apelowego przybiegli jeńcy, ciesząc się i krzycząc, że ustawione kilka dni temu działa niemieckie zostały przez Niemców rozsadzone. Tym razem nie było już wątpliwości, że Niemcy nie wrócą. Oni to wycofując się wysadzili działa w powietrze, stąd te nocne wybuchy.

Czekaliśmy na oswobodzenie. Słońce było już wysoko, kiedy od strony głównej bramy ujrzeliśmy kilku galopujących jeźdźców (byli to Rosjanie). Jeźdźcy Ci przegalopowali wzdłuż alei, wymachując rękami i pozdrawiając tłumy jeńców. Następnie wrócili i nie zatrzymując się zginęli w tłumie kurzu za główną bramą.

Po kilkunastu minutach wjechała kolumna samochodów wojskowych. Na czele kolumny w łażiku jechało kilku starszych oficerów radzieckich. Kolumna ta zatrzymała się na środku obozu. Z łażika wysiadła grupa oficerów rozglądając się wokół. W tym momencie zauważyliśmy przepychających się w kierunku stojących oficerów trzech naszych znajomych oficerów – jeńców radzieckich. Po złożeniu meldunku i krótkiej rozmowie wsiedli wszyscy do łażika i ruszyli w kierunku placu apelowego, za nimi ruszyły tłumy jeńców. Kiedy plac apelowy wypełnił się jeńcami, przyniesiono stół i taboret, na który wszedł najstarszy rangą oficer i oświadczył, że zostaliśmy oswobodzeni przez Armię Czerwoną. Dodał, że do chwili likwidacji obozu, komendantem i jego zastępcami będą oficerowie radzieccy, tu wskazał na stojących obok trzech byłych jeńców. Następnie wsiedli do samochodu i odjechali. A więc nareszcie WOLNOŚĆ. W obozie zapanowała radość nie do opisania. Jeszcze tego dnia przyszli do naszego baraku Amerykanie polskiego pochodzenia, przynosząc paczki z żywnością i patefon z jedną płytą. Za papierosy Amerykanów przyniesiono od Serbów konwie z winem. Do obozu przybyło kilkanaście kobiet, m.in. Polki, które przebywały na robotach w Austrii. Zaczęła się zabawa, która trwała do rana. Pito wino, jedzono i tańczono przy dźwiękach jedynej płyty – tanga „Iakomparsita”. Jeszcze dzisiaj, po latach, kiedy słucham tej melodii, staje mi przed oczyma zabawa w obozie po oswobodzeniu. Jeszcze dzisiaj, pisząc te wspomnienia nie mogę się powstrzymać od śmiechu, widzę fragment tej zabawy. Widzę Amerykanina, wielkoluda, atletycznej budowy, który obwieszony dziewczynami jak świąteczna choinka tańczył to tango. Była to pierwsza zabawa na wolności, po latach koszmaru okupacji, powstania i równie koszmarnym pobycie w obozach. Następnego dnia postanowiliśmy zakosztować wolności. Grupa nasza udała się w kierunku miasteczka Krems, odległego o około 4km od obozu. Był piękny, słoneczny dzień. W odległości około 2km od obozu, po obu stronach drogi do miasta były piwnice – schrony, zamknięte masywnymi okutymi drzwiami. Zobaczyliśmy, że w niektórych z tych piwnic drzwi były otwarte, a wewnątrz dziesiątki wielkich beczek z winem. Idąc dalej zobaczyliśmy niesamowity widok. Z podziurawionych beczek wytryskiwał złocisty płyn, tworząc kałuże, w których leżało kilkunastu nieprzytomnych jeńców. Inni jeszcze chwiejący się na nogach przystawiali usta do tryskających z beczek strumieni, aby za chwilę podzielić los swoich towarzyszy, zanurzając się w spływającą w dół drogi kałużę ciemnego płynu. Przez całą drogę do miasta oglądaliśmy pijanych winem, zataczających się jeńców.

Po dotarciu do miasta, tłumy pijanych jeńców demolowało sklepy. Na ulicach miasta pojawiły się patrole uzbrojonych cywilów, które rozpędzały tłumy rabujące sklepy i magazyny. Przed zachodem słońca wróciliśmy do obozu przynosząc kilka baniek wina, podarowanego nam przez właściciela winiarni. Nazajutrz na teren obozu wjechały pierwsze samochody amerykańskie.

Zaczęła się ewakuacja jeńców, w pierwszej kolejności amerykańskich. W następnych dniach: angielskich, francuskich, belgijskich. Kilku naszych kolegów, korzystając z transportu samochodowego wyjechało z Amerykanami na zachód. Grupy jeńców niekorzystających z transportu samochodowego, opuszczały obóz kierując się w stronę miasta na dworzec kolejowy. Nasza grupa postanowiła odczekać kilka dni. W międzyczasie zgłosił się do nas jeden z oficerów radzieckich, były jeńiec, który w swoim czasie schronił się u nas przed oddziałem „własowców”. Oficer ten w dowód wdzięczności za schronienie, zaproponował nam pomoc w ewakuacji do Kraju wozami konnymi, wyjaśniając, że transport kolejowy w kierunku na wschód jest jeszcze nie sprawny. Ze względu na brak innych środków komunikacji, przyjęliśmy tę propozycję. Po otrzymaniu przepustek i czterech dwukonnych wozów oraz zaopatrzeniu się w żywność, pewnego dnia wyruszyliśmy do Kraju!

Granicę Austrii przekroczyliśmy po kilku dniach podróży, zatrzymując się tylko na jedną noc w zdemolowanym hotelu małego miasteczka, a następne noce spędzaliśmy na biwakach. Na terytorium Czechosłowacji zatrzymaliśmy się na pierwszy postój w wiosce, gdzie zostaliśmy przyjęci, co najmniej z rezerwą. W związku z tym skróciliśmy postój w niegościnniej wiosce i ruszyliśmy w dalszą drogę. Pogoda zaczęła się psuć. Przez cały prawie dzień padał rześisty deszcz. Zmoczeni do suchej nitki, zmuszeni byliśmy schronić się na noc do pustej stodoły, w jednej z mijanych wiosek. Nazajutrz, rano rozpaliliśmy ognisko, aby wysuszyć przemoknięte mundury, po czym ruszyliśmy dalej. Zarówno pasza dla koni jak i nasze zapasy żywności wyczerpywały się, trzeba, więc było zwolnić tempo podróży. Przy pięknej, słonecznej pogodzie, kolumna nasza posuwała się powoli. Poza powożącymi, którzy co pewien czas się zmieniali, pozostali drzemali. Od czasu do czasu mijały nas w przeciwnym kierunku kolumny samochodowe, załadowane sprzętem i żołnierzami radzieckimi. Na tej drodze wydarzył się nieprzyjemny incydent.

W pewnej chwili, ostatni z kolumny samochód nagle zatrzymał się. Wyskoczyło z niego kilku żołnierzy radzieckich, zbliżyli się pośpiesznie do oddalonego od naszej kolumny wozu, ściągając śpiącemu na tyle wozu koledze, buty i walizkę. Następnie szybko odjechali. Od tego incydentu musieliśmy zachować czujność i trzymać się w zwartej kolumnie. W miarę posuwania się w głąb Czechosłowacji, coraz częściej mijały nas kolumny z wojskiem. Zachowanie się żołnierzy w stosunku do nas było nieprzyjemne, dlatego też na postojach unikaliśmy spotkań z nimi. Ponadto zachowanie się żołnierzy było, co najmniej bez troskie, świadczące źle o ich kulturze. Na terenie Czechosłowacji drogi były wysadzone po obu stronach drzewami owocowymi, przeważnie wiśniami. Żołnierze na samochodach nie zatrzymując się, łamali gałęzie z niedojrzałymi jeszcze owocami. We wsiach i miasteczkach czeskich widzieliśmy spacerujących żołnierzy radzieckich z obnażonymi ramionami, na których umocowane były duże ilości zegarków. Kiedy dojechalśmy do miasta „Zlin” (miasto fabryczne) zatrzymaliśmy się na rynku. Natychmiast otoczyła nas duża grupa mężczyzn (Czechów). Ponieważ byliśmy w mundurach amerykańskich, wzbudziliśmy duże zainteresowanie. Kiedy powiedzieliśmy im, że jesteśmy Polakami, powstańcami z Warszawy, stosunek ich do nas radykalnie się zmienił. W międzyczasie zdążyli opowiedzieć nam o scenach jakie miały miejsce w tym mieście po wkroczeniu wojsk radzieckich. Żołnierze korzystając z „prawa wojny i zwycięzcy”, gwałcili na oczach mężczyzn ich żony i córki, ściągali biżuterię i inne kosztowności.

Po tym, co opowiedzieli Czesi, skojarzyliśmy sobie pewne fakty. Przez całą przebytą do tej pory drogę nie widzieliśmy na ulicach mijanych wsi i miast – kobiet, poza bardzo leciwymi staruszkami. Podobnie było w Austrii. Pamiętam, kiedy po oswobodzeniu obozu wyszliśmy z kolegami do miasteczka „Krems”, przechodząc przez dzielnicę willową, najmniej zniszczoną, zastaliśmy wszystkie wille zamknięte.

Do jednej z takich willi usiłowaliśmy się dostać, aby się czegoś napić albo zjeść. W czasie naszego kołatania, ujrzelśmy w oknie głowę sędziwej, wystraszonej staruszki, która dopiero po naszych okrzykach i gestach „trinken, essen”, po pewnym czasie trzęsąc się otworzyła nam drzwi. Uspokoiła się dopiero, gdy dowiedziała się, że jesteśmy Polakami z obozu jeńców. Zaprosiła nas do pokoju stołowego, a sama przepraszając nas, wyszła w głąb willi. Jakie było nasze zdziwienie kiedy po kilkunastu minutach ujrzelśmy staruszkę w towarzystwie dwóch młodych kobiet. Kobiety te z nieukrywaną nieufnością podeszły do nas i przywitały się podając drżące dłonie. Ucałowaliśmy polskim zwyczajem podane nam dłonie, (co było dla nich wielkim zaskoczeniem). Kobiety uśmiechnęły się do nas i spokojnie oddaliły się, aby za chwilę wrócić niosąc na tacy kanapki i napoje. Dopiero przy stole opowiedziały nam, co się działo po wkroczeniu do miasta wojsk radzieckich i dlaczego się ukrywały. Po godzinie opuściliśmy willę, żegnani przez kobiety z życzliwością. Wracam teraz do dalszych wydarzeń z naszej podróży.

Miasto „Zlin” opuściliśmy po dwugodzinnym postoju. Do naszej granicy było jeszcze około stu kilometrów. Zaplanowaliśmy jeszcze jeden postój przed naszą granicą. W jednym z miast, spotkaliśmy czeskich żołnierzy w mundurach. Zwróciliśmy się do nich z prośbą, aby zakwaterowali nas na noc w miejscowych koszarach. Niestety odmówili nam, nie podając powodu. Przy tym zachowywali się nieprzyjaźnie, wręcz wrogo. Spaliśmy, więc na wozach, pełniąc dyżury. Nazajutrz przed wschodem słońca udaliśmy się w dalszą drogę ku granicy polskiej (w kierunku polskiego Cieszyna). Im bliżej byliśmy granicy, tym życzliwszych ludzi spotykaliśmy po drodze. Jak się okazało byli to Czesi polskiego pochodzenia. Oni to wyjaśnili nieprzyjazne zachowanie się Czechów w stosunku do nas. Chodziło o aneksję Zaolzia przez Polskę w roku 1939 r. Jednocześnie ostrzegli nas, żeby w miarę zbliżania się do Olzy (przy granicy) zachować czujność. Twierdzili, że znajdują się tam duże oddziały wojsk czeskich, które mogą nam zabrać konie i wozy z całym naszym dobytkiem. Jak się niebawem okazało ostrzeżenia ich były słuszne. Kiedy dojeżdżaliśmy do rzeki Olzy na przestrzeni kilometra, zauważyliśmy duże zgrupowania wojsk czeskich. W pewnej chwili patrol żołnierzy czeskich usiłował nas zatrzymać, ale my pomni ostrzeżenia pędziliśmy z góry, popędzając konie. Zatrzymaliśmy się dopiero na moście, przed oficerami radzieckimi. Po okazaniu im przepustki, którą otrzymaliśmy w obozie, przepuścili nas. Po chwili byliśmy nareszcie w Polsce! Zatrzymaliśmy się, otoczyły nas grupy uzbrojonych cywilów, cywilów biało-czerwonymi opaskami na ramieniu. Od nich dowiedzieliśmy się, że granica nad Olzą jest zagrożona, gdyż Czesi roszczą sobie pretensje do Cieszyna. W tej sytuacji postanowiliśmy przyłączyć się do uzbrojonej grupy Polaków i pozostać. Po otrzymaniu karabinów i amunicji zajęliśmy stanowiska w okopach nad Olzą. Nad ranem drugiego dnia przybyły oddziały wojska polskiego, zajmując pozycje nad Olzą, a my udaliśmy się w dalszą drogę, kierując się na Kraków. Odległość od Cieszyna do Krakowa przejechaliśmy w ciągu czterech dni. Konie były już tak zmęczone, że jedną parę musieliśmy zostawić u chłopca w przydrożnej wiosce.

Z uwagi na zmęczenie koni musieliśmy zatrzymać się na przedmieściu Krakowa na kilka dni. Do Warszawy czekała nas jeszcze daleka droga. Tu, od miejscowej ludności dowiedzieliśmy się, że wszyscy jeńcy „Akowcy”, powracający z obozów, zatrzymani są przez służbę bezpieczeństwa i wysłani w niewiadomym kierunku. W tej sytuacji postanowiliśmy nie wjeżdżać do miasta główną arterią tylko ominąć go bocznymi drogami.

Było już ciemno, kiedy zatrzymaliśmy się na postój w przydrożnych zabudowaniach. Jak się później okazało były to budynki gospodarcze, należące do P.C.K. I tu również dowiedzieliśmy się od personelu, że dalsza nasza podróż w grupie i w mundurach, jest niebezpieczna. Powiedziano nam, że w całym mieście są „łapanki” żołnierzy AK wracających z obozów jenieckich z terenów Trzeciej Rzeszy. Pomyśleliśmy głośno: „to ma być wolna Polska, gdzie my jesteśmy?”. Dyrektor PCK, który nas odwiedził, również potwierdził nasze zagrożenie ze strony służby bezpieczeństwa. Zaprosił nas na kolację, podczas której zastanawialiśmy się, co robić dalej. Postanowiliśmy przerwać dalszą podróż do Warszawy w grupie i zrezygnować z podróży wozami. Pozostała kwestia, co zrobić z końmi i wozami. Dyrektor PCK zaproponował pozostawienie wozów i koni w PCK za symboliczną opłatą w postaci kilkudziesięciu dolarów oraz po jednym garniturze cywilnym dla każdego z nas. Propozycję Dyrektora przyjęliśmy z zadowoleniem. Dolary przydadzą się, bo byliśmy bez pieniędzy, a garnitury cywilne ułatwią nam bezpieczniejszą podróż do Warszawy. Jeszcze tej nocy przebraliśmy się w cywilne ubrania, pakując do worków i plecaków mundury i inne rzeczy otrzymane od Amerykanów w obozie. Nakarmiwszy nas, Dyrektor PCK zaprowadził nas do jednego z budynków – stajni, gdzie na strychu pełnym słomy – legliśmy zmęczeni, natychmiast zasypiając. Nazajutrz rano, po spożyciu śniadania, serdecznie pożegnaliśmy się z życzliwym nam Dyrektorem. Pojedynczo opuszczaliśmy gościnny P.C.K., udając się na dworzec kolejowy w Krakowie. Stojąc w ukryciu obserwowaliśmy zatłoczony ludźmi peron. Zauważyliśmy, że wśród tłumu ludzi krążyły po peronie patrole wojskowe. Patrole te zatrzymywały młodych ludzi (w mundurach i cywilów) legitymując ich, a niektórych odprowadzano do pomieszczeń na dworcu. Kiedy nasz pociąg wjechał na peron, w ostatniej chwili wskoczyliśmy do niego, mieszając się z pasażerami w załadowanym pociągu. Podróż do Warszawy odbyła się bezpiecznie. Po 40 dniach uciążliwej podróży z obozu dotarliśmy wreszcie do celu. Na wyburzonym dworcu w Warszawie pożegnaliśmy się i każdy poszedł w swoim kierunku. Ja oczywiście skierowałem się na ul. Marszałkowską 47, gdzie po kapitulacji zostawiłem swoją rodzinę.

Idąc ulicą Marszałkowską z przerażeniem patrzyłem na zburzone i wypalone kamienice. Po tym, co zobaczyłem po drodze nie miałem najmniejszych złudzeń, że moja kamienica ocalała. Z wielkim niepokojem myślałem o losie mojej rodziny. Kiedy stanąłem w miejscu gdzie stał mój dom, ogarnęło mnie przerażenie na myśl, że moja rodzina mogła zginąć pod tymi gruzami. Front kamienicy był zburzony od pierwszego piętra. Z wielką trudnością przeszedłem na podwórko przez bramę zawałoną gruzem. Pierwsze spojrzenie skierowałem na moje mieszkanie na parterze prawej oficyny. Było zawałone gruzem. Stałem jak zahipnotyzowany. Po kilku minutach wszedłem do bramy i na jej ścianach ujrzałem napisy lokatorów, którzy podawali swoje adresy dla bliskich. Próżno szukałem adresu mojej rodziny. Byłem zrezygnowany i zrozpaczony. Postanowiłem iść na ulicę Bracką, gdzie mieszkali rodzice żony. Szedłem zamyślony, nie zwracając uwagi na mijających mnie ludzi.

Nagle ktoś chwycił mnie za ramię. Przede mną stał Antek Czajkowski ps. „Długi”, kolega z konspiracji i Powstania. Serdecznie się przywitaliśmy. Po chwili Antek patrząc mi w oczy powiedział: „Stachu, twój brat Zygmunt nie żyje, zginął na Czerniakowie”. Nogi się pode mną ugięły, coś mnie ścisnęło za gardło. Antek chwycił mnie za ramię. Staliśmy chwilę milcząc, następnie on dodał, że Jurek Welman ps. „Wiara”, również zginął na Czerniakowie.

Idąc dalej nie odzywaliśmy się do siebie. W końcu Antek zapytał mnie, kiedy wróciłem do Warszawy, odpowiedziałem, że dzisiaj – był 25 czerwca 1945 roku. Zapytał o moją żonę i dzieci. Odpowiedziałem, że nic o nich nie wiem. Żegnając się ze mną powiedział: „ja pracuję w Redakcji Życia Warszawy, a mieszkam na ulicy Wiejskiej. Jeśli nie będziesz miał gdzie mieszkać to przyjdź do mnie. Odstąpię ci część mojego mieszkania, tylko trzeba załatać dziurę w dachu, a ty to potrafisz”. Podziękowałem i powlokłem się zrozpaczony na ulicę Bracką. Kiedy doszedłem do Pl. Trzech Krzyży przyspieszyłem kroku i za kilka minut stanąłem przed wypaloną i częściowo zburzoną kamienicą. Przez odgruzowaną bramę wszedłem na podwórko, gdzie w lewej oficynie mieszkali rodzice mojej żony. Oficyna była całkowicie zniszczona. Już miałem odejść, gdy usłyszałem kroki dochodzące z drugiego podwórka. Odwróciłem się i zobaczyłem zbliżającego się w moim kierunku starszego mężczyznę. Był to dozorca domu. Poznał mnie (często bywałem u teściów) i powiedział: „Pańscy teściowie mieszkają na Czerniakowie, w szkole”. Zapytałem o żonę i dzieci, odpowiedział, że nic nie wie czy mieszkają oni razem z teściami. Natychmiast udałem się na Czerniaków.

Wszedłem do szkoły, w jednym z pokoiów zastałem mojego teścia. Bardzo się ucieszył na mój widok. Jednocześnie zapytał o swoich dwóch synów, którzy wyszli razem ze mną do obozu. Przerywając teściowi zapytałem o swoją żonę i dzieci. Odpowiedział mi, że przebywają pod Miechowem, gdzie zostali wywiezieni po Powstaniu, dodając, że matka w dniu dzisiejszym pojechała tam, aby przywieźć ich do Warszawy. Ucieszyło mnie to i uspokoiło. Następnego dnia, pierwszym pociągiem (kierunek na Kraków) udałem się do Miechowa. Od tej miejscowości do wioski Cisia Wola, w której przebywała moja rodzina trzeba było przejść piechotą około 15 kilometrów. Był już wieczór, kiedy stanąłem w drzwiach małej izdebki (z glinianą podłogą), która zajmowała moja żona z dziećmi. Powrót mój z obozu i przyjazd do Cisiej Woli był wielką niespodzianką dla mojej rodziny. Po dwudniowym moim pobycie w wiosce, powróciliśmy wszyscy do Warszawy. Chwilowo zamieszkaliśmy w małym pomieszczeniu zajmowanym przez rodziców żony w budynku szkoły na ulicy Czerniakowskiej. Następnego dnia udałem się do mojego kolegi Antka Czajkowskiego, który zaproponował mi odstąpienie pokoju przy ulicy Wiejskiej (zajmował on tam wraz z żoną cztery pokoje z kuchnią). Pokój, w którym mieliśmy zamieszkać wymagał małego remontu. Natomiast naprawa dziury w dachu nad pokojem wymagała kilku dni pracy. Po uporaniu się z remontem oraz zakupieniu u dozorca łóżka i taboretu, mieszkanie było do zasiedlenia. Po wprowadzeniu się, wygospodarowałem jeszcze jeden pokój z łazienką. W ten sposób byliśmy w posiadaniu dwóch pokoi i łazienki. Kuchnię mieliśmy wspólnie z kolegą. Mieszkanie to wymagało kapitalnego remontu, ale od biedy można było mieszkać. Byliśmy szczęśliwi, mieliśmy rzecz najważniejszą – dach nad głową. Do całkowitego szczęścia potrzebna była praca (zarobki). Pewnego dnia, przechodząc Al. Ujazdowskimi zauważyłem przy bramie jednego z budynków szyld „Społeczne Przedsiębiorstwo Budowlane”.

Nie namyślając się wszedłem na trzecie piętro, gdzie mieściły się biura przedsiębiorstwa. Na ścianie korytarza wisiało ogłoszenie „Potrzebni od zaraz: inżynierowie, technicy, murarze i cieśle”. Wszedłem. Po chwili ze skierowaniem do Grupy Robót „Mokotów” przy ulicy Kieleckiej 30, wróciłem do domu. Żona ucieszyła się bardzo, byliśmy szczęśliwi. I tak w krótkim okresie naszego małżeństwa (od 1938 r.) trzykrotnie urządziliśmy swoje życie od początku.

Dzielnica Mokotów, podobnie jak inne dzielnice Warszawy były zniszczone w 90 procentach. Jako Kierownik Robót otrzymałem do remontu kapitalnego kilka budynków na ulicy Kieleckiej. W budynku przy ulicy Kieleckiej 38, częściowo spalonym i zburzonym, urządziłem Biuro Budowy. Roboty budowlane postępowały w dużym tempie, szczególnie budynku, w którym mieściło się biuro. Wraz z kolegami postanowiliśmy budynek ten wyremontować i zająć dla naszych rodzin. Jesienią, kiedy roboty były zaawansowane na tyle, że można było się już wprowadzać, wystąpiliśmy do inwestora – Biuro Odbudowy Stolicy (BOS) o przydzielenie nam wyremontowanych mieszkań. Niestety, BOS odmówił nam oświadczając, że lokale te są przydzielone dla ich pracowników. Uważaliśmy, że decyzja ta jest niesprawiedliwa i że my mamy pierwszeństwo do tych lokali. Kiedy zjawiła się komisja z B.O.S. mieszkania były już zajęte przez personel Kierownictwa Robót. Oczywiście spotkało się to ze sprzeciwem Komisji. Zanosilo się na eksmisję, ale robotnicy zatrudnieni w Kierownictwie poparli nas i B.O.S. zrezygnował z lokali w tym domu. My po otrzymaniu przydziału z Biura Kwaterunkowego na te lokale staliśmy się ich prawnymi lokatorami.

Zamieszkujemy w tym domu do chwili obecnej. Poprzedni lokal na ulicy Wiejskiej – zwolniliśmy. Byliśmy szczęśliwi, mieliśmy ładne mieszkanie i pracę na miejscu.

ROZDZIAŁ II

Przesłuchanie

Nadeszła wiosna 1946 roku.

Pewnego dnia po przyjściu z pracy, żona wręczyła mi pismo, które przed godziną otrzymała od żołnierza. Było to wezwanie do stawienia się w Informacji Wojskowej (Kontrwywiad) na ulicę Chałubińskiego (obecnie gmach WSW). Byłem zaskoczony tym wezwaniem, ale w wyznaczonym terminie stawilem się w Gmachu u dyżurnego oficera. Oficer ten odebrał wezwanie, następnie zatelefonował meldując się, że wezwany Sobiesiak zgłosił się. Po chwili odkładając słuchawkę telefonu, zwrócił się do mnie słowami: „proszę za mną”. Idąc labiryntem korytarzy myślałem intensywnie, – „po co oni mnie wezwali?”. Intuicyjnie wyczuwałem coś niedobrego. Aroganckie zachowanie prowadzącego mnie oficera, potwierdzało moje przecucie. Rozmyślenia przerwał mi nagle niesympatyczny głos oficera: „zatrzymajcie się”. Otworzył kluczem drzwi i kratę, wskazując kierunek, w którym miałem iść. Zobaczyłem przed sobą kilkanaście stopni w dół, a dalej pomieszczenie pogrążone w półmroku. Oficer powiedział do mnie: „tu poczekajcie, będziecie wezwani”. Następnie zamknął drzwi, kratę i oddalił się. Zszedłem po schodach i znalazłem się w pomieszczeniu. Zauważyłem siedzącego tu na ławce mężczyznę, nieco starszego ode mnie. Kiwnąłem głową na znak powitania, po czym usiadłem na drugiej ławie. Wyjąłem papierosy z kieszeni z zamiarem poczęstowania nieznanego mężczyzny i nawiązania z nim rozmowy. W tej chwili drzwi się otworzyły i oficer wezwał po nazwisku mego „towarzysza”. Ten wstał i pośpiesznie opuścił pomieszczenie zostawiając mnie samego. Nie pamiętam jak długo czekałem na swoją kolejkę wezwania. Pamiętam, że wypaliłem wszystkie papierosy, które kupiłem po drodze. Poczułem głód i potrzebę fizjologiczną. Wydaje mi się, że trwało to ładne kilka godzin. Chodziłem, siadałem i rozmyślałem, – „po co oni mnie tu wezwali?”. Nie mogłem sobie przypomnieć nic takiego, co by usprawiedliwiało moją tu obecność. W Konspiracji, Powstaniu, Obozie byłem w porządku, nie miałem nic na sumieniu. Zmęczony i zdenerwowany tymi myślami, usiadłem. Zauważyłem, że w rogach pomieszczenia leżały duże ilości „petów” papierosowych. Pomyślałem, ilu tu musiało być przede mną interesantów. Przez gęsto zakratowane okienka zobaczyłem, że na dworze robi się szaro. „Do kiedy oni będą mnie tu trzymać?” - pomyślałem.

Wreszcie usłyszałem zgrzyt klucza w zamku drzwi i kraty się otworzyły. Usłyszałem głos oficera- „proszę za mną”. Pomyślałem, że nareszcie dowiem się, o co im chodzi.

Weszliśmy na pierwsze piętro i zatrzymaliśmy się przed jedynymi z wielu drzwi. Przedtem jeszcze zgłosiłem oficerowi swoją potrzebę fizjologiczną, na co on z niechęcią zaprowadził mnie do WC. Następnie wróciliśmy pod określone drzwi, do których oficer zapukał i z wewnątrz pokoju dobiegł

głos: "wejść". Wszedłem do środka a oficer zamknął za mną drzwi. Stałem naprzeciwko siedzącego przy biurku oficera w randze majora. Major popatrzył na mnie, po czym wskazując na stojący w kącie taboret powiedział: „proszę siadać”. Major nie zwracając na mnie uwagi wziął do ręki leżącą obok na biurku teczkę, otworzył ją i przez długą chwilę czytał, przewracając kartki. Wreszcie wstał zza biurka i z założonymi do tyłu rękoma, spacerował po dość obszernym pokoju. W tym czasie ja obserwowałem go. Był to wysoki brunet o kędzierzawych włosach, widoczny z profilu nazbyt orli nos zdradzał jego semickie pochodzenie. Po kilku minutach milczenia zdecydowałem się zapytać, w jakiej sprawie zostałem wezwany. Jednak on uprzedził mnie i zapytał: „wasze nazwisko?”. Odpowiedziałem. Po jego pierwszych słowach nie miałem wątpliwości, że przesłuchuje mnie żyd. Rozpoczął zadawanie pytań: do jakiej organizacji należałem, kiedy wstąpiłem, kto był moim bezpośrednim dowódcą, w jakiej byłem formacji, zgrupowaniu, jaką pełniłem funkcję, mój stopień, pseudonim. Po mojej odpowiedzi, kto był moim dowódcą, podszedł do biurka, usiadł, popatrzył na rozłożone papiery. Po chwili patrząc na mnie zapytał: „kim był dla was kapitan ps. Zygmunt?”. Na jego poprzednie pytanie, kto był moim bezpośrednim dowódcą odpowiedziałem, że por. „Stojewicz” dowódca kompanii, który poległ w szturmie na „Małą Pastę”. (nie powiedziałem natomiast, że poza funkcją szefa kompanii byłem dowódcą grupy dywersyjnej). W dalszym ciągu przesłuchani, podniesionym głosem powiedział do mnie: „radzę wam mówić prawdę, widzicie, że wszystko wiemy o waszej działalności w konspiracji, żadne kłamstwo wam się nie uda”.

Pomyślałem sobie wtedy, że ktoś mnie sypnął, na pewno ktoś bliski z mojego otoczenia w konspiracji. Na jego pytanie, kim był dla mnie kpt. „Zygmunt” odpowiedziałem: „byłem dowódcą sześciuosobowej grupy dywersyjnej i bezpośrednim moim dowódcą był właśnie kpt. Zygmunt”. Na jego pytanie o nazwisko kpt. „Zygmunta” odpowiedziałem, że nazwiska nie znam, w konspiracji używano pseudonimów. Po chwili padły następne pytania. „Kiedy ostatni raz widzieliście się z kpt. Zygmuntem?” Odpowiedziałem bez namysłu, że nie widziałem kpt. Zygmunta po powrocie z obozu. W tym miejscu skłamałem. Widziałem kpt. Zygmunta na ulicy Marszałkowskiej w towarzystwie kobiety, kilka tygodni wcześniej. Nawet miałem szczerzy zamiar zaczepić go, ale w ostatniej chwili zrezygnowałem. Podczas przesłuchania pomyślałem, że miałem szczęście nie rozmawiając z nim, teraz bym się gęsto tłumaczył. Na pewno go szukają skoro pytają mnie o niego. Następnie oficer zapytał mnie o kontakty z N.Z.S. - „Narodowe Siły Zbrojne” wymieniając przy tym pseudonim i stopień pewnego człowieka: „kiedy ostatnio widzieliście się z nim?”. Tym pytaniem byłem zaskoczony. Kapitan, o którego pytał przychodził do mnie z por. Stojewiczem, moim dowódcą. Nie wiedziałem natomiast, że należał do N.S.Z.

Dopiero po chwili przypomniałem sobie, że w 1941 roku ten kapitan przyszedł do mnie na Marszałkowską w towarzystwie młodego człowieka i zaproponował wstąpienie razem z moimi kolegami do N.S.Z., oferując mi stopień na początek podporucznika. Zrezygnowałem z uwagi na to, że należałem już do Z.W.Z. Przesłuchującemu mnie oficerowi powiedziałem, że tego człowieka widziałem w 1941 r. i nawet nie wiedziałem, że był kapitanem. Po tych pytaniach major dał mi kilka arkuszy papieru i powiedział, że bym napisał dokładnie swój życiorys, kontakty z innymi organizacjami wojskowymi w okresie okupacji i dokładny opis mojej działalności w ZWZ-AK. Przy tym ostrzegł mnie

abym niczego nie zataił. Zaprowadził mnie do sąsiedniego pokoju, wskazał stolik, przy którym usiadłem i zacząłem pisać. Wychodząc powiedział spoglądając na zegarek, że daje mi dwie godziny czasu. Po napisaniu życiorysu byłem przekonany, że już da mi spokój i pójde nareszcie do domu (za oknem było już ciemno). Niestety, po przeczytaniu podał mi następne arkusze papieru i powiedział: „napiszcie jeszcze raz”, zatrzymując napisany już życiorys. Próbowałem oponować, ale on warknął na mnie: „bez dyskusji” wskazując pokój, w którym pisałem pierwszy życiorys. Spojrzałem na niego z nienawiścią, za co ten przekłety Żyd w polskim mundurze oficerskim znęca się nade mną. Nie byłem antysemitą, przed wojną wychowywałem się z Żydami, miałem kolegów Żydów, byli to jednak polscy Żydzi. Jego zachowanie w stosunku do mnie było upokarzające dla mnie jako żołnierza i Polaka patrioty. Dla niego moja pełna poświęceń walka z okupantem o niepodległą Polskę, była zbrodnią. Byłem potwornie zmęczony i zdenerwowany. Ale co miałem robić, zacisnąłem zęby i poszedłem pisać. Drugi z kolei życiorys pisałem w wielkim zdenerwowaniu. Kiedy skończyłem major zaczął porównywać oba napisane przeze mnie życiorysy, stawiając znaki zapytania na pierwszym z nich. Wreszcie powiedział: „oba życiorysy są niezgodne w treści”. Odpowiedziałem, że trudno wymagać napisania dwóch identycznych. Na to on odpowiedział: „muszą być identyczne” spoglądając przy tym na zegarek. Była już noc. Po chwili namysłu włożył oba życiorysy do teczki, zamykając ją w szufladzie biurka. Powiedział: „wasze zeznanie oraz życiorysy są niepełne. W Życiorysie celowo pominęliście waszą działalność w K.W.P. (Kierownictwo Walki Podziemnej), w ogóle nie wspomnieliście o kontaktach z N.S.Z.”. Odpowiedziałem, że nie znałem żadnego oficera z N.S.Z., jak również nie miałem żadnych kontaktów z tą organizacją, co już zeznałem. Byłem żołnierzem ZWZ-AK, szefem kompanii i dowódcą grupy dywersyjnej AK (tego nie ukryłem), poza tym żadnych kontaktów z innymi organizacjami nie miałem. Na to major krzyknął - „to się jeszcze okaże”, po czym nastąpiła cisza. Następnie wstał i zaczął przechadzać się po pokoju. Pomyślałem – „ważą się moje losy, albo mnie zatrzyma, albo zwolni”. Nagle zatrzymał się przede mną i powiedział: „Zapomnimy o waszej wrogiej dla Polski Ludowej działalności konspiracyjnej w AK pod jednym warunkiem, że zgodzicie się na pracę w Informacji Wojskowej. Takich ludzi jak wy jest nam potrzeba. Dostaniecie stopień oficerski. Co wy na to?”.

Byłem tak zaskoczony tą propozycją, że dopiero po dłuższej przerwie opowiedziałem: „Pan major przecenia moje umiejętności wywiadowcze, ja jestem technikiem budowlanym, mam swój zawód i pracę, którą lubię. Większe korzyści wniosę dla kraju w swoim wyuczonym zawodzie, niż jako pracownik Wywiadu Informacji.” Po tym on zapytał z wściekłością – „tak, czy nie?”. Odpowiedziałem – „nie”. Podniósł słuchawkę telefonu i cos powiedział (ze zdenerwowania nie dosłyszałem). Po chwili wszedł do pokoju oficer, który mnie tu wprowadził. Na koniec jeszcze powiedział do mnie: „gorzko pożałujecie”. Po kilku minutach znalazłem się na ulicy. Była już późna noc, kiedy dotarłem do domu. Byłem kompletnie wykończony. Tej nocy długo nie mogłem zasnąć. Rano, po koszmarnych snach, z ledwością zwlokłem się z łóżka, aby na godzinę 7.00 stawić się w pracy. W S.P.B. pracowałem tylko do jesieni 1946 roku. Pewnego dnia spotkałem znajomego inżyniera, który zaproponował mi lepiej płatną pracę w Przedsiębiorstwie Budownictwa Przemysłowego, przy budowie kompleksu gmachów dla PKPG (Państwowa Komisja Planowania Gospodarczego), na Pl. Trzech Krzyży. Propozycję tę przyjąłem z

uwagi na to, że praca przy remoncie budynku przestała być dla mnie ciekawa. Miałem ambicje żeby pracować w nowym budownictwie, budownictwie skomplikowanej konstrukcji. Chodziło mi również o to, żeby zdobyć jak najwięcej doświadczenia na dużej budowie. Budowa PKPG była w tym czasie największą budową w Kraju, na której zastosowano najnowocześniejszy sprzęt, jaki można było w tym okresie zdobyć. Ponadto i nie bez znaczenia miało dla mnie również dużo wyższe wynagrodzenie. Na tej budowie pracowałem do końca 1948 roku. O mojej „wizycie” w Informacji już zapomniałem, jak również nie pamiętałem o ostrzeżeniu i groźbie majora z Informacji. Pewnego dnia jeden z kolegów przyniósł na budowę egzemplarz „Życia Warszawy”. Było w nim ogłoszenie, że Naczelną Dyрекcja Domów Towarowych w Warszawie zatrudni inspektorów nadzoru w Wydziale Inwestycji, do nadzorowania budowy i odbudowy Domów Towarowych na terenie całego Kraju. Zgłosiliśmy się z kolegą na ulicę Grzybowską, gdzie w długim baraku mieściła się Dyрекcja Domów Towarowych. W Wydziale Personalnym poinformowano nas o warunkach pracy i płacy. Zaproponowane płace były znacznie wyższe niż w PBP, z pracą było nieco gorzej. Praca w terenie, diety, hotele, przejazdy koleją I klasy. Po krótkim namyśle wraz z kolegą zgodziliśmy się na tę pracę. Po dwóch tygodniach zgłosiliśmy się do pracy. Po załatwieniu formalności personalnych, otrzymaliśmy angaże i przydziały rejonów pracy. Ja otrzymałem teren województwa poznańskiego, Wrocław, Zielona Góra, Gorzów Wielkopolski. Pracę i wyjazdy w teren trzeba było sobie tak rozłożyć, żeby w piątek i sobotę być w Biurze Dyрекcji, celem załatwienia korespondencji, sprawdzenia rachunków i innych rac biurowych. W te dni spotykali się wszyscy inspektorzy ze wszystkich rejonów (było nas kilkunastu). Mieliśmy swój duży pokój, w którym każdy przy swoim biurku urzędował. Poznaliśmy się wszyscy dobrze, wszyscy byli bardzo równi, mieliśmy do siebie zaufanie. Dzieliliśmy się swoimi wrażeniami, przywiezionymi z terenu całej Polski. Opowiadano kawały polityczne.

Przy tym należy dodać, że był to okres „stalinowski”, trzeba było wystrzegać się prowokatorów i kapusiów. Pewnego piątku po przybyciu do biura, zostałem wezwany do Naczelnika Wydziału Personalnego. Przedtem koledzy mówili, że w Wydziale Personalnym pracują sami Żydzi, z Naczelnikiem na czele. Po mojej wizycie w Informacji straciłem „sympatię” dla tej narodowości w Polsce. Ponieważ prawie cały tydzień pracowałem w terenie, na co dzień nie spotykałem się z Naczelnikiem Personalnym. Kiedy wszedłem do gabinetu Naczelnika przypomniałem sobie co mówili o nim koledzy. Gdy wszedłem ujrzałem mężczyznę w średnim wieku, pochylonego nad biurkiem. „Pan Naczelnik mnie wzywał” – powiedziałem podając swoje nazwisko. Kiedy podniósł głowę znad biurka, z przykrością stwierdziłem, że koledzy mieli rację, był to typowy Żyd. Pomyślałem, że mam pecha. Pan Naczelnik zwrócił się do mnie: „Ponieważ macie największy rejon i najbardziej rozrzucone obiekty do nadzoru, przydzielam wam do pomocy tego młodego człowieka”. Tu wskazał na siedzącego w kącie pokoju młodego mężczyznę, którego wchodząc nie zauważyłem. Zastanowiłem się, dlaczego obdarza mnie takim przywilejem, skoro inni koledzy mają więcej rozrzuconych obiektów i żadnej pomocy nie dostali. Tymczasem młody człowiek podniósł się z krzesła i nastąpiło zapoznanie. Naczelnik polecił mi dać koledze coś do roboty. Po wyjściu z gabinetu Naczelnika, na korytarzu zapytałem mojego pomocnika, czy pracował w budownictwie i jakie ma wykształcenie. Odpowiedział, że w budownictwie nie pracował i że posiada niepełne średnie wykształcenie. Dodał, że pracował jako kancelista w biurze

(wymienił jakąś instytucję). Weszliśmy do pokoju inspektorów. Zapoznałem kolegów z moim pomocnikiem. Zauważyłem na twarzach kolegów zdziwienie, a następnie uśmiechy i żartobliwe wypowiedzi: „ale z ciebie szczęściarz, może pan Naczelnik jest twoim wujkiem, tak się troszczy o Ciebie żebyś się nie przepracował”. Przy tym śmiali się serdecznie. Tymczasem mój pomocnik zainstalował się przy moim biurku, stawiając stolik i krzesło. Usiadł i czekał na moje dyspozycje. Prawdę powiedziawszy to nie wiedziałem, co mam mu dać do roboty. W końcu otworzyłem szafę, zapoznałem go z jej zawartością i zleciłem mu na początek uporządkowanie dokumentacji. I tak szedł dzień – a była to sobota. W poniedziałek wyjeżdżałem w teren, ustaliłem, więc z pomocnikiem harmonogram prac do wykonania podczas mojej nieobecności. Mój pomocnik był to sympatyczny człowiek, w wieku 24 lat, mieszkający poza Warszawą. Ze zleconych mu prac wywiązywał się sumiennie. Nauczyłem go liczyć na arytмомetrze. Przeliczał obmiary w książce obmiarów i kosztorysy wykonawcze. Byłem z jego pomocy zadowolony a i on był zadowolony ze współpracy ze mną. Trwało to kilka miesięcy. Czasem wychodziliśmy z biura. Rozmawialiśmy nie tylko o pracy. Pewnego dnia, kiedy wyszliśmy z biura i rozmawialiśmy, zauważyłem, że kolega Edzio (tak miał na imię) nie reaguje na moje wypowiedzi na tematy polityczne. Popatrzyłem na niego, siedł obok mnie ze spuszczoną głową, zamyślony. Zapytałem więc, dlaczego jest nie w humorze, czy ma jakieś zmartwienie. Zatrzymał się, poważnie popatrzył na mnie, następnie rozejrzał się, jakby chciał sprawdzić czy ktoś nie idzie za nami.

Niepewnym głosem powiedział: „Panie inżynierze chcę panu wyznaczyć pewną ważną informację, ale pod pewnym warunkiem, że to co powiem zachowa pan w tajemnicy”. Odpowiedziałem: „Proszę niech pan mówi, a co do zachowania tajemnicy to może mi pan zaufać. Znajomość nasza trwa już kilka miesięcy i mam nadzieję, że poznał mnie pan na tyle, żeby mi zaufać”. Na to on powiedział: „Tak, poznałem pana, jest pan bardzo porządnym człowiekiem, polubiłem pana i dlatego zdecydowałem się powiedzieć to panu”. Zauważyłem na jego twarzy zdenerwowanie, tak jakby się jeszcze wahał. „Proszę niech pan mówi” – ponaglałem, bo byłem ciekaw usłyszeć tę jego wielką tajemnicę. Spojrzał mi prosto w oczy i jednym tchem, tak jakby chciał pozbyć się czegoś, co go gnębi, powiedział: „jestem funkcjonariuszem Urzędu Bezpieczeństwa”. Zaskoczyło mnie. Po chwili powiedziałem: „co pan mówi, pan żartuje”. On na to z powagą: „mówię poważnie i powiem to, co dla pana najważniejsze, jestem tu przysyłany, żeby pana obserwować i donosić do Urzędu Bezpieczeństwa”. Zadrżałem. Po chwili zebrałem się w garść i nieco uspokojony zapytałem: „i co ma pan zamiar ze mną zrobić?”. Odpowiedział: „nic, byłbym najgorszym skurwysynem, żeby panu zrobić krzywdę. Do Urzędu Bezpieczeństwa dostałem się pod przymusem”. I tu opowiedział mi swoją tragedię: „będąc członkiem PSL kilka miesięcy temu zostałem wysłany z kolegą do województwa szczecińskiego z ulotkami, namawiającymi okolicznych chłopów do wstępowania do PSL. Mieliśmy pecha, miejscowe UB aresztowało nas. Po odsiedzeniu kilku dni w szczecińskim więzieniu zostaliśmy pod konwojem przewiezieni do Warszawy i tu zamknięci w Pałacu Mostowskich. Po kilku dniach pobytu w więzieniu zostaliśmy wezwani na przesłuchanie, podczas którego dostaliśmy straszne „łanie” i przez kilka dni leżeliśmy w celi zmasakrowani. Po kilku dniach wezwano nas na drugie z kolei przesłuchanie, na którym grożąc powtórным, gorszym „łaniem” zaproponowali nam pracę w UB. Nie mieliśmy wyjścia, zgodziliśmy się i w ten sposób zostaliśmy

pracownikami „bezpieki”. Po krótkim przeszkoleniu i instrukcjach, zostałem skierowany do Dyrekcji Domów Towarowych z poleceniem obserwowania i składania raz na miesiąc meldunku do UB. I to wszystko”. – zakończył swoje opowiadanie biedny Edzio, nie patrząc mi w oczy. Dodał jeszcze – „teraz z kolei mój los jest w pańskim ręku”. Odpowiedziałem, klepiąc go po ramieniu: „Edziu, bądź spokojny, doceniam twoje wyznanie i byłby najgorszym skurwysynem (powtórzyłem jego słowa) gdybym powiedział twoim rozkazodawcom o tym wyznaniu”. Kiedy uspokoił się nieco powiedział: „Panie Stanisławie, błagam niech Pan jak najprędzej zwolni się z tego przedsiębiorstwa. Jest Pan inżynierem budowlanym, znajdzie pan inną pracę, a ja nie będę miał Pana na sumieniu”. Kiedy się rozstawaliśmy no pożegnanie pocieszył mnie mówiąc: „niech pan zapamięta, że w nowym miejscu pracy będzie pan miał nowego opiekuna”. Obiecałem mu, że w poniedziałek złożę wypowiedzenie z tej pracy (był ostatni dzień miesiąca). Pożegnaliśmy się jak dwaj przyjaciele i każdy odszedł w swoją stronę ze swoimi myślami.

Po przyjeździe do domu przemyślałem całą sprawę na spokojnie. Jednak przeklęty Żyd z Informacji dotrzymał słowa. Od tego dnia zaczęła się gehenna w moim życiu. Zgodnie z przyrzeczeniem danym Panu Edziowi postanowiłem następnego dnia złożyć wypowiedzenie pracy podając jako przyczynę zły stan zdrowia. Rano, po przyjeździe do pracy złożyłem podanie w Wydziale Personalnym. Niedługo czekałem na reakcję Naczelnika. Około południa przyszła do naszego pokoju urzędniczka i zwracając się do mnie oznajmiła, że jestem proszony do Naczelnika. Po wejściu do gabinetu zauważyłem, że na biurku leży moje podanie. Nie podnosząc głowy znad biurka zapytał, dlaczego chcę się zwolnić. Odpowiedziałem, że czuję się bardzo źle i staram się o wyjazd na dłuższy czas do sanatorium, celem podreperowania zdrowia. Spojrzał na mnie badawczo. Po nie przespanej nocy i ostatnich wydarzeniach, nie wyglądałem zdrowo. Dla Naczelnika moje motywy zwolnienia oraz mój wygląd nie były przekonujące, bo powiedział krótko: „Nie mogę was zwolnić, proszę iść do pracy”. Bez słowa wyszedłem. Stwierdziłem, że Naczelnik na pewno wie o moim opiekunie z UB i łatwo mi nie przyjdzie zwolnienie z pracy. Było to w sobotę. W poniedziałek miałem planowany wyjazd w teren. Po tej rozmowie postanowiłem nie jechać w teren tylko pójść w poniedziałek do lekarza rejonowego po zwolnienie lekarskie.

Noc poprzedzająca poniedziałek była dla mnie bezsenna, ze zdenerwowania. Rano poszedłem do lekarza rejonowego (był to siedemdziesięcioletni staruszek dr Bacia). Na jego pytanie, co mi dolega odpowiedziałem, że mam pracę bardzo uciążliwą i szkodliwą dla mojego nadszarpniętego w obozie zdrowia. Ponadto dodałem, że prawie cały tydzień jestem w podróży, mam zawroty i bóle głowy. W tym dniu naprawę czułem się fatalnie. Lekarz dokładnie mnie zbadał, następnie usiadł przy biurku i długo pisał w mojej karcie choroby. Patrzyłem na niego i w duchu modliłem się. Była to moja jedyna i ostatnia szansa na zwolnienie z pracy. Wypisał recepty na leki i o dziwo wziął do ręki bloczek z drukami okresowego zwolnienia z pracy. Po wypisaniu, zwrócił się do mnie i powiedział: „Masz tu młody człowieku recepty na leki i zwolnienie lekarskie na okres kilku dni, z zaleceniem zmiany charakteru pracy. Po zużyciu leków proszę się do mnie zgłosić”. Podziękowałem, a kiedy już odchodziłem powiedział do mnie, – „jeżeli nie będzie lepiej po lekach, to pomyślimy o sanatorium”.

Jeszcze raz podziękowałem i uradowany wyszedłem z gabinetu lekarza. Jeszcze tego dnia żona zawiozła moje zwolnienie do pracy. Po kilku dniach zgodnie z zaleceniem zgłosiłem się ponownie do lekarza na badanie. Tym razem ja poprosiłem doktora o jeszcze kilka dni zwolnienia, na co on wyraził zgodę. Osobiście zaniósłem zwolnienie do biura, gdzie dowiedziałem się od kolegów o tym, że mój rejon pracy został podzielony między współpracowników. Koledzy już wiedzieli o moim wystąpieniu z pracy, dziwili się, dlaczego tak nagle. Odpowiedziałem im, że źle się czuję i że ta praca mi nie odpowiada. Po wyjściu z pokoju inspektorów spotkałem na korytarzu Kierownika Wydziału Inwestycyjnego mgr inż. Krotkiewicza, z którym znałem się dobrze poza miejscem pracy, byliśmy sąsiadami z ulicy Kieleckiej (bardzo porządny człowiek). Kiedy mnie zobaczył, ucieszył się i zaprosił do swojego gabinetu.

Spytał: „co się z Panem dzieje?”. Odpowiedziałem, że zdrowie mi szwankuje. Na to on powiedział: „może panu nie odpowiadają wyjazdy w teren, mógłby pan pracować na miejscu w Biurze Kalkulacji”. Odmówiłem, „po chorobie pójdę z powrotem na budowę i proszę pana bardzo o poparcie mojego podania o zwolnienie”. Powiedział: „trudno, jeśli pan nie chce tu pracować to nie będę stawiał panu przeszkód”. Podziękowałem i wyszedłem. Po zakończeniu zwolnienia lekarskiego zgłosiłem się do Wydziału Personalnego, gdzie czekało już na mnie zwolnienie z pracy. Pożegnałem się z kolegami. Na korytarzu czekał na mnie pan Edzio (mój pomocnik) uradowany z mojego odejścia z pracy. Powiedział do mnie: „bardzo się cieszę z pańskiego zwolnienia, dlatego, że teraz i mnie stąd zabiorą. Niech pan pamięta, że w innym miejscu pracy będzie miał pan opiekuna z UB. Życzę panu szczęścia i mam nadzieję, że spotkamy się, ale w innych czasach i okolicznościach”. „Miejmy nadzieję”- odpowiedziałem, żegnając się z panem Edziem. I tak w krótkim czasie zostałem bez pracy. Ponieważ nie miałem popędu spieścić się do domu, postanowiłem iść piechotą. Na Pl. Zbawiciela przy ulicy Nowowiejskiej stał długi barak biurowy, nad którym był zawieszony szyld: Dyrekcja Budowy Osiedli Robotniczych (BOR). Na ścianie, przy drzwiach wisiało ogłoszenie: „Potrzebni od zaraz inżynierowie, technicy, murarze, cieśle, i inni fachowcy budowlani”. Wszedłem do środka baraku. Biurze Personalnym, siedzącej przy biurku starszej pani podałem cel swego przybycia. Pani ta skierowała mnie do Dyrektora Przedsiębiorstwa. Jakie było moje zdziwienie gdy w siedzącym za biurkiem mężczyźnie poznałem swojego towarzysza pracy w brygadzie z okresu okupacji, przy odbudowie PZU na Placu Kopernika. Poznał mnie i zapytał, co mnie sprowadza. Odpowiedziałem, że szukam pracy, wręczając mu dyplom technika i zaświadczenie z pracy. Na to on powiedział: „Świetnie, jesteś przyjeź. W Dziale Personalnym załatwisz formalności, a jutro zgłosisz się na budowę Osiedla Mirów. A teraz siadaj i opowiadaj jak przeżyłeś koszmar okupacji”.

Inż. Czesław Strzelecki był Dyrektorem nowo powołanego Przedsiębiorstwa Budowlanego do budowy osiedli robotniczych. W okresie okupacji (1940-1941) pracowaliśmy razem przy odbudowie gmachu PZU w przedsiębiorstwie SP. Czesław Strzelecki był jednym z czołowych konspiratorów w organizacji lewicowej na budowie. Tak jak mnie, jemu również udało się uniknąć aresztowania. Po tamtym wydarzeniu nasze drogi rozeszły się, dopiero teraz po kilku latach spotkaliśmy się znowu. Inż. Strzelecki opowiedział mi, że po tamtej „wpadce” przeszedł do partyzantki i wstąpił w szeregi Armii Ludowej aż do chwili oswobodzenia przez Armię Radziecką. Ja z kolei opowiedziałem w skrócie o

swoich dotychczasowych przeżyciach. Po załatwieniu formalności personalnych, z nowym zaangażem w kieszeni wróciłem do domu.

Nazajutrz zgłosiłem się na ulicę Elektoralną, gdzie w wypalonym pawilonie szpitala Św. Ducha mieściło się Biuro Budowy Osiedla Mirów. Kierownikiem budowy był pan Stanisław Gontarczyk, dużo starszy ode mnie technik. W dniu mojego zatrudnienia, stan zaawansowania budowy Osiedla był bardzo mały. Wybudowano zaledwie jeden blok w stanie surowym przy ulicy Elektoralnej-Orlej. Większa część małej załogi była zatrudniona przy rozbiórce zburzonych domów. Po moim przyjeździe podzieliliśmy się funkcjami z kolegą Gontarczykiem. Ja objąłem całe wykonawstwo a on sprawy administracyjno - biurowe. Tempo robót było bardzo małe, w związku z tym opóźnienia w harmonogramie były bardzo duże. Należało natychmiast przystąpić do werbunku ludzi na budowę, co nie było sprawą łatwą, gdyż w tym czasie w Warszawie było bardzo duże zapotrzebowanie na robotników i fachowców budowlanych. Rozpoczynano duże budowy na terenie Warszawy: Osiedla Młynów i Muranów, MDM, odbudowa Starego i Nowego Miasta, a także ruszyło budownictwo przemysłowe. W tej sytuacji nie można było liczyć na robotników z Warszawy. Postanowiłem pojechać w swoje rodzinne strony – do Pomiechówka. Tu udało mi się zwerbować kilkunastu kolegów i znajomych, co w bardzo dużym stopniu zasiłowało moją załogę. Po pewnym czasie zaczęli zgłaszać się robotnicy z okolic Pomiechówka. Robota na budowie Osiedla ruszyła pełną parą. Kiedy załoga liczyła już kilkuset pracowników, na odgruzowanych terenach przystąpiono do wykopów pod bloki mieszkalne. Nadszedł czas, aby przeorganizować całą załogę. W tym celu powstały pierwsze brygady specjalistyczne: murarzy, betoniarzy, cieśli, zbrojarzy, w późniejszym czasie: tynkarzy, dekarzy, blacharzy, malarzy itd. Po wykonaniu wykopów, brygada cieśli przystępowała do deskowania fundamentów, następnie pracę wykonywała brygada betoniarzy, a po wykonaniu betonów, wchodziła brygada murarzy. W miarę wykonywania fundamentów, pod następne bloki wchodziły następne brygady murarzy i tak powstał system „potoku”. W brygadach murarskich powstały pierwsze „trójki murarskie”, które zadebiutowały właśnie na Osiedlu Mirów. Murarze tacy jak: Markow, Religia, Porębski, Ambroziak, Mazurek i inni przeszli do historii w budownictwie okręgu warszawskiego. Wszystkie brygady pracowały systemem akordowym, na zlecenie. Powstała również murarska brygada młodzieżowa. W tym czasie Kierownictwo Budowy zostało przemianowane na Kierownictwo Grupy Robót Budowlanych Osiedla Mirów. Ja zostałem Kierownikiem, a kolega Gontarczyk moim zastępcą. Bloki rosły jak przysłowiowe „grzyby po deszczu”. Padały rekordy układania cegieł. Zarobki były bardzo wysokie (dzięki dobrej organizacji) toteż zgłaszali się do nas fachowcy z innych budów na terenie Warszawy. Przyjmowałem tych najlepszych. Pewnego dnia, niespodziewanie przyjechał na budowę Osiedla – Minister Budownictwa inż. Marian Spychalski, w towarzystwie reporterów, dziennikarzy i ekip filmowych. W całej prasie ukazały się artykuły i zdjęcia. Zaczęły przyjeżdżać na naszą budowę delegacje „budowlanych” z całego Kraju. Budowa Osiedla Mirów stała się najlepiej zorganizowaną budową w całym „Warszawskim Zagłębiu Budowlanym”. Prasa warszawska pisała „wzorcowa budowa”, wymieniając przy tym moje nazwisko jako Kierownika Budowy tego Osiedla.

W 1949 roku „Życie Warszawy” ogłosiło konkurs na jak najszybszą budowę bloku mieszkalnego w stanie surowym, o określonej kubaturze (tzw. szybkościowa budowa).

Postanowiłem zgłosić nasz udział w tym konkursie. Po wykonaniu wykopu pod fundamenty w oznaczonym przez organizatorów terminie, sporządzono harmonogram budowy, który został wystawiony na tablicy przed budowanym blokiem, aby przechodnie mogli śledzić postęp robót, następnie przystąpiono do budowy. Budynek zlokalizowany był przy ulicy Elektoralnej, róg ulicy Marchlewskiego. Budynek wykonano zgodnie z harmonogramem w ciągu 17 dni. Ja osobiście kierowałem budową. Nad postępem i jakością wykonywanych robót czuwała wyznaczona przez organizatorów konkursu - Komisja. Po zakończeniu budowy, Komisja uznając moją budowę za najszybciej wykonaną, a także mając na uwadze względy techniczne i jakość wykonania, przyznała nam I nagrodę wraz z dyplomem, a dla brygady proporzec i drogocenne upominki. Treść Dyplomu: „I Nagroda we współzawodnictwie o proporzec „Życia Warszawy” i tytuł Szybkościowej Brygady Pierwszej Jakości otrzymuje – Ob. Inż. Sobiesiak Stanisław, Kierownik Budowy”, podpisano: „Sąd Konkursowy”. Nadszedł rok 1950. W miarę zwiększania się zakresu robót, powiększała się również i jego załoga. Stan jej osiągnął około 1000 ludzi. Roboty instalacyjne: elektryczne i sanitarne wykonywały przedsiębiorstwa branżowe, jako podwykonawcy. Przed zimą musiały być wykończone nasze roboty dla wykonania robót wewnętrznych. Przystąpiono do budowy szkoły, przedszkoli i żłobków. Budowa Osiedla Mirów obejmowała bardzo rozległy teren, w granicach ulic: od zachodu – Żelazna, od wschodu – Orła, od południa – Hala Mirowska, od północy – Leszno i Ogrodowa. Na całym tym rozległym terenie, prowadzone były roboty bez zakłóceń. Niezależnie od ustalonych harmonogramem terminów, narzucono skrócone terminy, szczególnie dotyczące obiektów socjalnych takich jak: szkoła, przedszkole, żłobki, dom kultury, szalety. Od wschodu przy ulicy Elektoralnej, kilka bloków było już wykończonych. Brakowało tylko podłączeń energii cieplnej z Ciepłowni przy ulicy Ogrodowej. Należało tylko wykonać betonowy kanał o długości około 1 km, zainstalować rury, zaizolować i nakryć płytami betonowymi. Wykonanie tego kanału przedłużało się z uwagi na przeszkody, jakie stały na trasie budowy. Przeszkodami tymi były stare budynki, które według planu pozostawały. Z tego to powodu termin podłączenia bloków był poważnie zagrożony. Ponieważ nagle przyszła groźna zima, ustalono w Dyrekcji BOR, że ukończenie kanału nastąpi wczesną wiosną.

Pewnego dnia zostałem wezwany do Generalnego Dyrektora PKPG (Państwowa Komisja Planowania Gospodarczego), ob. Bąbińskiego. Po przybyciu na posiedzenie byłem zdziwiony, kiedy w gabinecie zastałem całą Dyrekcję ZOR (Zakłady Osiedli Robotniczych) z Dyrektorem ZOR na czele. Nikt z przybyłych nie wiedział, w jakim celu zostaliśmy wezwani. Zdziwienie moje było tym większe, że nie zauważyłem żadnego przedstawiciela z mojej Dyrekcji (BOR), na tak wysokim szczeblu posiedzenia. Na salę weszło trzech mężczyzn. Pierwszy z nich zajął miejsce przy wielkim biurku, pozostali usiedli obok niego. Domyśliłem się, że mężczyzna przy biurku był Dyrektorem PKPG, pan Bąbiński. Był to mężczyzna o antypatycznej twarzy ponuraka.

Pozostali dwaj sprawiali wrażenie oprawców z „bezpieki”. Patrząc na zebranych nieprzyjawnym wzrokiem mężczyzna zza biurka odezwał się: „Wezwałem was towarzysze, aby dowiedzieć się o przyczynach opóźnienia w oddawaniu bloków do zamieszkania. Na osiedlu Mirów wybudowano dużo bloków, które za wyjątkiem trzech czy czterech nie nadają się do zakwaterowania. Może odpowie mi Kierownik Budowy Osiedla Mirów”. Wstałem, więc i powiedziałem krótko: „brak materiałów do

wykańczania bloków”. Wymieniłem przy tym materiały wykończeniowe, jak posadzki, materiały do białego montażu – wanien, zlewów, umywalek i armatury. Dyrektor przerywając mi powiedział podniesionym głosem: „Jak ja byłem Kierownikiem Budowy w Związku Radzieckim to braki materiałowe załatwiałem w ten sposób, że sprzedawałem mydło i inne towary i za uzyskane pieniądze kupowałem potrzebne materiały”. Po tych słowach dyrektora uśmiechnąłem się. Nie wiedziałem czy mówił serio, czy żartował, ale ujrawszy jego poważną minę przestałem się uśmiechać. Spojrzałem po obecnych. Niektórzy z nich uśmiechali się z politowaniem, młodzi śmiali się głośno, pozostali siedzieli z opuszczonymi głowami. Po kilku sekundach jeden z siedzących obok Dyrektora, błyskawicznym ruchem chwycił metalową suszkę, rąbnął nią w biurko i wrzasnął: „cisza!”. Nastąpiła konsternacja wśród obecnych, wszyscy nagle spowaźniali, wytworzyła się nieprzyjemna atmosfera. Przerywając ciszę, Dyrektor Bąbiński zwrócił się do mnie z pytaniem, za ile dni zostanie podłączone centralne ogrzewanie do trzech wykończonych bloków na Mirowie. Nie odpowiadając wprost, usiłowałem przedstawić trudności, na jakie natrafiliśmy przy budowie kanału. Dyrektor nie dał mi dokończyć, nagle zerwał się z fotela i uderzając pięściami w biurko wrzasnął: „Ja was nie pytam o trudności, pytam w ciągu ilu dni podłączycie ogrzewanie do bloków”. Nie byłem przygotowany do tej odpowiedzi. Patrzyłem na rozwścieczoną twarz Dyrektora i patrzących na mnie z nieukrywaną nienawiścią dwóch „ubeków”, myślałem intensywnie, jaki podać termin. Czułem na sobie oczy wszystkich obecnych na sali. W końcu strzeliłem – 30 dni. Dyrektor wrzasnął- „daję wam 15 dni”, po czym wpisał na kalendarzu datę podłączenia centralnego ogrzewania. Dalszą dyskusję na ten temat uznałem za zbędną, usiadłem więc na krześle zdenerwowany. Dyrektor jeszcze odezwał się w ten sposób – „czekam na meldunek o podłączeniu bloków do c.o. podając datę i dodał, że konferencja jest skończona. Po tych słowach wszyscy obecni zerwali się z ulgą z miejsc i pospiesznie opuścili salę. Po opuszczeniu gmachu PKPG, udałem się na budowę, rozmyślając o przebiegu dziwnej i nieprzyjemnej konferencji. Dlaczego na konferencję na tak wysokim szczeblu nie zaproszono nikogo z mojej Dyrekcji BOR, w jakim celu wezwano Dyrekcję ZOR inwestora? Po przyjeździe do biura podzieliłem się wrażeniami z odbytej konferencji z moim zastępcą. Obaj doszliśmy do wniosku, że wykonanie podłączenia trzech bloków do c.o. w ciągu 15 dni jest niemożliwe, przy braku odpowiednio ciężkiego sprzętu. Ponieważ dzień pracy już dawno się skończył, udaliśmy się do domów. W domu, na spokojnie, jeszcze raz przeanalizowałem możliwości wykonania tych robót w narzuconym terminie.

Stawka była wielka – chodziło o moją wolność. Nie miałem złudzeń, że byłem szykanowany. Tego dnia, nie kładąc się spać, opracowałem plan działania. Rano wezwałem wszystkich kierowników oddziałów, w tym również kierownika robót instalacji sanitarnych – na naradę. Zapoznałem zebranych o wyjątkowym działaniu, które musimy wykonać w ciągu 15 dni. Całość wykopu podzieliłem na odcinki, przekazując odpowiedzialność na każdego z kierowników za wykonanie swojego odcinka wykopu wraz z wybetonowaniem dna. Na wymurowanie ścian wykopu nie było już czasu. Tak wykonany rurociąg ułożony w surowym wykopie miał być na zimę zasypany trocinami i nakryty papą i deskami odpadowymi. Kierownictwo Robót Instalacyjnych zobowiązało się sukcesywnie układać rurociąg w tak przygotowanym wykopie. Po wytyczeniu trasy rurociągu kierownicy odcinków przystąpili jeszcze tego dnia do wykopów, mobilizując wszystkich robotników z brygad kopaczy rozbiórkowych i betoniarzy. W

tym samym dniu przybył Dyrektor Naczelny BOR inż. Strzelecki. Na moje wymówki, że nie delegował nikogo z Dyrekcji na konferencję do PKPG odpowiedział, że nic nie wiedział o niej, że dzisiaj się dowiedział i dlatego przyjechał, aby dowiedzieć się, co było tematem rozmów podczas konferencji. Po zapoznaniu się z wydarzeniami, Dyrektor postanowił przyjść mi z pomocą, ściągając z budowy Osiedla Muranów, wszystkie sprężarki pneumatyczne do rozbujaania betonów i zmarzniętej ziemi. Praca trwała dzień i noc, na zmiany. W dzień poprzedzający narzucony termin, ciepło zostało podłączone do bloków. W czasie wykonywania robót każdego dnia przyjeżdżali na budowę nieznani osobnicy, obserwując tempo robót. Byli to na pewno obserwatorzy dyr. Bąbińskiego. Cała ta sprawa była jednym z nieudanych zamachów na moją wolność. Była zima 1950 roku. Roboty budowlane skoncentrowano w budynkach zamkniętych. Jedynie na budowie szkoły kontynuowano roboty ziemne pod fundamenty oraz betonowanie ław (mimo mrozu). W wykopie ustawiono „koksowniki” i palono w nich, używając odpady drewna do podgrzewania wody.

Pewnego mroźnego dnia na budowę Osiedla Mirów wjechała kawalkada samochodów (czarne limuzyny). Wśród wysiadających rozpoznałem dyr. Bąbińskiego i jego dwóch „uzbeckich goryli” oraz dyrektorów z Zakładu Osiedli Robotniczych i Biura Projektów. Zdziwiłem się, że całe towarzystwo ruszyło w kierunku wykopu pod fundamenty szkoły, mimo że stało już kilkanaście bloków, w których wykonywano roboty wykończeniowe. W między czasie zawiadomiono dyr. Strzeleckiego o tej „wizycie”, prosząc go, aby natychmiast przybył na Mirów. Ja tymczasem udałem się na budowę szkoły. Kiedy zbliżałem się do wykopu zauważyłem, że dyr. Bąbiński dyskutuje z kierownikiem budowy szkoły. Zorientowałem się, że dyskusja ta nie była przyjemna dla kierownika budowy. Kiedy więc zobaczył, że nadchodzę, wskazał na mnie mówiąc – „idzie kierownik budowy Osiedla”. Dyrektor Bąbiński zwracając się do mnie zapytał z nieukrywaną złością, dlaczego w wykopie pali się ogniska? Odpowiedziałem spokojnie, (mimo, że na sam jego widok zdenerwowałem się), że jest 15 stopni mrozu i pracujący robotnicy muszą od czasu do czasu ogrzać ręce. Na to on, wskazując na robotników w wykopie powiedział: „oni palą materiał”. Odpowiedziałem na to, że nie jest już to materiał budowlany, są to odpady – drewno opałowe potrzebne m.in. do podgrzewania wody przy betonowaniu ław. Podczas tej rozmowy, robotnicy pracujący w wykopie przerwali pracę. Nie wiedząc, z kim rozmawiam, krzyczeli z wykopu: „Chodź pan tu, porób pan przez cały dzień na tym mrozie”. Używali przy tym nie wybrednych słów pod adresem Dyrektora. Powstała nieprzyjemna sytuacja. Ktoś z otoczenia Dyrektora powiedział: „Chodźmy stąd panie dyrektorze”, a zwracając się do mnie: „prowadźcie do waszego biura”. Ruszyłem przodem, a za mną całe „towarzystwo”. Kiedy wchodziłem do mojego gabinetu, w sekretariacie siedział już dyr. Strzelecki. Dyr. Bąbiński wchodząc wściekły do mojego gabinetu, nie zwrócił nawet uwagi na siedzącego mojego dyrektora. Gabinet mój był mały, toteż z ledwością pomieścili się najważniejsi z otoczenia dyr. Bąbińskiego. Ja ostatni zająłem miejsce za swoim biurkiem. Na ścianach mojego gabinetu wisiały plansze Osiedla Mirów i harmonogramy robót. Czekałem na pytania. Dyr. Bąbiński patrząc na ściany zapytał: „czy roboty na Osiedlu postępują zgodnie z tymi harmonogramami?”. Odpowiedziałem: „tak”, dodając, że na niektórych blokach (tu wskazałem, na których) roboty wyprzedzają harmonogramy, m.in. według harmonogramu rozpoczęcie budowy szkoły planowano na marzec 1951 roku. Przy tym wskazywałem poszczególne obiekty na planie Osiedla,

porównując zaawansowanie z harmonogramem postępu robót. Trwało to kilkanaście minut. Kiedy skończyłem, usiadłem i czekałem na dalsze pytania. Zapytano mnie, jaki jest stan załogi, na co odpowiedziałem nie zaglądając w raporty. Padły następne pytania: „ile jest brygad, jakie specjalności?”. Zauważyłem zdziwienie na twarzach obecnych. Po krótkiej przerwie padło pytanie, które zaszokowało wszystkich obecnych, oprócz mnie. Zapytano o nazwiska brygadzystów. Było to pytanie prowokacyjne. Wszyscy, za wyjątkiem dyr. Bąbińskiego i jego dwóch „ubeków” patrzyli na mnie z nieukrywanym podziwem i współczuciem. Nie patrząc na niego wymieniłem nazwiska brygadzystów. Po chwili dodałem: „co pan chce jeszcze wiedzieć?” W tym momencie siedzący w sekretariacie dyr. Strzelecki nie mogąc już wytrzymać rąbnął kulą w podłogę usiłując wstać z krzesła (dyr. Strzelecki chodził o kuli, stracił, bowiem nogę w Powstaniu). Zapanowała cisza, zza otwartych drzwi usłyszałem głos sekretarki: „panie dyrektorze, niech się pan uspokoi, proszę tam nie wchodzić”. W tym momencie dyrektor Bąbiński gwałtownie podniósł się i bez słowa wyszedł z mojego gabinetu. Przechodząc przez sekretariat popatrzył z nienawiścią na siedzącego dyrektora Strzeleckiego. Za nim wszyscy opuścili biuro. Nie wyszedłem za nimi jak przystało na gospodarza, pozostałem w gabinecie kompletnie wyczerpany nerwowo. Po chwili wszedł do mnie dyrektor Strzelecki. Powiedział do mnie: „ale masz zdrowe nerwy, on wyraźnie ciebie prowokował, o co mu chodziło?”. Ja wiedziałem, może i Strzelecki wiedział, ale nic na ten temat nie powiedział. Wychodząc powiedział tylko: „to kawał skurwysyna, nie przejmuj się, trzymaj się”. Było to drugie i ostatnie moje spotkanie z tym „stalinowcem”. Po tym spotkaniu nie miałem już najmniejszych wątpliwości, że „ubowcy” chcą mnie wykończyć.

Byłem przekonany, że to nie koniec prowokacji i szykanom, o czym niebawem miałem się przekonać. Od dłuższego czasu zauważyłem, że jestem obserwowany w biurze i na budowie oraz koło mojego domu. Każdego dnia w biurze spacerował po korytarzu jakiś osobnik, którego nikt nie znał. Pewnego dnia podszedł do mnie jeden z prywatnych wozaków zatrudnionych na budowie i powiedział: „panie dyrektorze, chce panu powiedzieć coś ciekawego, ma pan „aniola stróża”, proszę się mieć na baczności”. Zapytałem, skąd wie i kto nim jest. Wymienił nazwisko jednego z pracowników zatrudnionych przy odgruzowaniu i kontroli wywożonego gruzu (poza pełnioną funkcję kontrolera był on członkiem Rady Zakładowej). Dalej wozak opowiedział mi, że osobnik ten po pijanemu powiedział mu w zaufaniu, że należy do „ochrony” na Muranowie (na dowód, czego wyciągnął z kieszeni pistolet). Ponadto powiedział, że poza pełnioną funkcją na budowie ma za zadanie obserwowanie dyr. Sobiesiaka i donoszenie do komórki UB na Muranowie. Po tym ostrzeżeniu postanowiłem obserwować zachowanie tego człowieka. Ponieważ był członkiem Rady Zakładowej, która swoją siedzibę miała w budynku biurowym, miał mnie, więc „na muszce” zarówno w biurze jak i na budowie. Pewnego dnia jak „grom z jasnego nieba” przyszła wiadomość o aresztowaniu dyrektora Strzeleckiego. Skojarzyłem sobie to wydarzenie z aresztowaniem kilka dni wcześniej Wiesława Gomółki i gen. Mariana Spychalskiego – ówczesnego Ministra Budownictwa (inż. Czesław Strzelecki był komunistą i byłym żołnierzem Armii Ludowej, bliskim towarzyszem gen. Spychalskiego). W kilka dni po tym wydarzeniu nastąpiła w Zjednoczeniu reorganizacja na budowach. Dotyczyło ono i mojej budowy, a mianowicie: Osiedle Nowowiejskie, dom dla Dzielnicowego Komitetu Partii przy ulicy Świerczewskiego (dotąd jako

samodzielne Kierownictwo Grupy Robót) połączono z Kierownictwem Budowy Osiedla Mirów tworząc Oddział I, a ja otrzymałem nowy angaż i stanowisko Dyrektora Oddziału. Jako Dyrektor, poza wyższym wynagrodzeniem otrzymałem do dyspozycji służbowy samochód wraz z kierowcą. Kilka tygodni po „wizycie” dyr. Bąbińskiego otrzymałem ze Zjednoczenia pismo dotyczące zmiany harmonogramu budowy szkoły, przyspieszające przekazanie obiektu o 10 miesięcy. Był grudzień 1950 roku. Według nowego harmonogramu, narzuconego przez Dyрекcję Zjednoczenia, oddanie szkoły wyznaczono na wrzesień 1951 roku. Nie pomogły moje sprzeciwy o nierealności terminu wykonania i oddania do użytku w okresie 10 miesięcy szkoły o kubaturze 20.000 m³. W Zjednoczeniu odpowiadano mi, że jest to polecenie PKPG. Zrozumiałem, że był to dalszy ciąg szantażu ze strony dyr. Bąbińskiego w stosunku do mnie. Pomyślałem, że jest to dla mnie ostatnia próba i szansa uratowania mojej wolności przynajmniej na jeden rok. Zdawałem sobie sprawę, że nie wykonanie w wyznaczonym terminie budowy szkoły, oznaczało dla mnie pożegnanie się z wolnością. Postanowiłem, więc bronić swojej wolności za wszelką cenę. Objąłem dodatkowo kierownictwo budowy szkoły. Szykanom niestety nie było końca. Pewnego dnia na budowie podszedł do mnie nieznany mi mężczyzna i zapytał czy jestem dyrektorem budowy Osiedla. Potwierdziłem.

Zapytał, czy nazywam się Sobiesiak. Gdy potwierdziłem, powiedział: „proszę, niech pan pozwoli za mną”. Zapytałem, o co chodzi. Nie odpowiadając, doprowadził mnie do stojącego na ulicy samochodu, w którym poza kierowcą siedział jeszcze na tylnym siedzeniu młody mężczyzna. Otworzył drzwi samochodu i wskazał na miejsce obok siedzącego mężczyzny. Sam usiadł przy kierowcy. Kiedy zatrzasnęły się za mną drzwi samochodu, zapytałem dokąd mnie wiozą. I tym razem nie otrzymałem odpowiedzi. Pomyślałem, że widocznie jestem aresztowany, stało się, nareszcie odpocznę. Kiedy samochód zatrzymał się na ulicy Koszykowej przed gmachem Ministerstwa Bezpieczeństwa, nie miałem już najmniejszych wątpliwości, że jestem aresztowany. Po wyjściu z samochodu towarzyszący mi dwaj mężczyźni wprowadzili mnie na portiernię, gdzie oddano mój dowód osobisty dyżurującemu oficerowi, a następnie poprowadzono mnie schodami do podziemia gmachu. Przechodząc korytarzem podziemia zobaczyłem po obu jego stronach szereg żelaznych drzwi z masywnymi zamkami. Domyślałem się, że były to cele. Po drodze minęliśmy spacerujących korytarzem dwóch ponurych „ubowców” tzw. „klawiszy”. Byłem przekonany, że za chwilę zatrzymamy się, przed którymiś drzwiami i znajdę się w celi. Jednak tak się nie stało. Przeszliśmy jeszcze kilkanaście metrów i zatrzymaliśmy się przed kratą, którą otworzył przed nami strażnik UB, a my weszliśmy schodami na parter i następnie na piętro.

Jeden z prowadzących mnie oddalił się, a ja w towarzystwie już jednego „ubeka” zostałem wprowadzony do pokoju. Po moim wejściu do tego pokoju, prowadzący mnie „ubowiec” zamknął za mną drzwi na klucz, nie mówiąc ani słowa oddalił się, a ja zostałem sam w pokoju. Był to nieduży pokój z jednym okratowanym oknem. W pokoju tym stało biurko i dwa krzesła. Jedno krzesło stało za biurkiem, a drugie w rogu pokoju. Domyślałem się, że to krzesło w kącie przeznaczone jest dla mnie. Podszedłem do okna i ujrzałem przejeżdżające ulicą samochody. Zmęczony wrażeniami usiadłem na krześle, zapaliłem papierosa i czekałem, co będzie dalej. Spojrzałem na zegarek, była godzina 12.00. Miałem nadzieję, że niebawem ktoś przyjdzie i dowiem się, o co chodzi. Mijały godziny,

wypaliłem wszystkie papierosy, jakie posiadałem, w pokoju zapanowała ciemność. Zapaliłem zapalniczkę by sprawdzić po raz któryś godzinę, była 23.00. Pomyślałem: „chyba nie będę tu nocować, wreszcie musi ktoś przyjść, abym przynajmniej mógł załatwić potrzeby fizjologiczne oraz zaspokoić pragnienie (na jedzenie nie miałem ochoty)”. Rozmyślenia moje przerwały dochodzące z korytarza odgłosy kroków, które zatrzymały się przed drzwiami pokoju, w którym się znajdowałem. Po chwili usłyszałem zgrzyt otwieranego w drzwiach zamka. Na tle oświetlonego korytarza zobaczyłem sylwetkę mężczyzny, który nie zamykając drzwi zapalił światło w pokoju, a następnie usiadł przy biurku, nie zwracając na mnie uwagi. Wyciągnął z kieszeni pistolet i położył go na biurku, następnie z szuflady wyjął teczkę, którą otworzył i czytając przewracał zapisane kartki papieru. Siedziałem w rogu pokoju z głową opartą o ścianę i z przymkniętymi powiekami obserwowałem siedzącego naprzeciw mnie „ubowca”. W dalszym ciągu nie zwracał na mnie uwagi, czytając zapisane kartki papieru.

Zaobserwowałem, że był to mężczyzna w wieku około 40 lat, tęgiej budowy, niskiego wzrostu, o pospolitej, nieprzyjemnej twarzy. Odniosłem wrażenie, że czeka abym odezwał się do niego. Ja postanowiłem milczeć. Czekałem, żeby on pierwszy zaczął mówić. Patrzyłem na leżący na biurku pistolet i zastanawiałem się, w jakim celu go tam położył, czyżby dla zastraszenia mnie? Byłem już potwornie zmęczony i wyczerpany zarówno fizycznie jak i psychicznie. Czekałem, kiedy wreszcie skończy czytanie i przewracanie kartek. On wyraźnie nie śpieszył się. Powoli odwracał przeczytane arkusze i wracał do poprzednich i ponownie czytał. Zaczęło mnie to denerwować, ale coś mi mówiło: „siedź cicho, widocznie to jest ich metoda prowokowania swoich ofiar”. Spojrzałem na zegarek, była już godzina 23.30. Pragnienie (zaschło mi w gardle) i inne potrzeby zaczęły się coraz bardziej upominać o swoje prawa. Byłem już u kresu wytrzymałości. W tym momencie „ubowiec” spojrział na zegarek, teczkę włożył do szuflady biurka i zamknął ją na klucz. Leżący na biurku pistolet schował do kieszeni, wstał i wskazał ruchem ręki drzwi. Wstałem z krzesła i na zdrętwiałych i sztywnych nogach wyszedłem z pokoju na korytarz. Następnie poprowadził mnie schodami w dół. Kiedy znaleźliśmy się w korytarzu podziemia z celami pomyślałem sobie: „albo mnie teraz zamknie w celi albo wyprowadzi na portiernię”. Po kilku minutach znaleźliśmy się w portierni, gdzie dyżurny oficer, bez słowa wręczył mi mój dowód osobisty i otworzył drzwi na ulicę. Po wyjściu na ulicę Koszykową odwróciłem się, aby sprawdzić czy nikt za mną nie idzie. Na ulicy było pusto. Pod pierwszą latarnią zatrzymałem się i jak pijak wychodzący z knajpy, opróżniłem pękający z przepełnienia pęcherz. Powlokłem się ulicą Mokotowską do ulicy Marszałkowskiej, gdzie wsiadłem w tramwaj jadący w kierunku Mokotowa. O godzinie 12.00 w nocy byłem w domu. Żona z niecierpliwością czekała na mnie. Opowiedziałem jej, co mnie spotkało w dniu dzisiejszym. Natychmiast zmęczony zasnąłem, ale koszmarne sny (cela a w niej brodaci, wynędniali więźniowie) budziły mnie. Nad ranem zasnąłem na chwilę, obudził mnie klakson samochodu służbowego, dając znak, że czas jechać do pracy.

W biurze czekali już na mnie koledzy, komentując moje nagłe zniknięcie z budowy. Jeden z majstrów widział jak w towarzystwie nieznanego mężczyzny wsiadałem do czarnej Wołgi. Na budowie rozeszła się wiadomość, że zostałem aresztowany. Opowiedziałem im bajeczkę, że byłem na naradzie w Ministerstwie (nie podając, w jakim). Jak się później okazało wiadomość o moim domniemanym

aresztowaniu dotarła do Zjednoczenia. Moje nagłe zniknięcie z budowy kojarzono z niedawnym aresztowaniem Dyrektora Naczelnego inż. Strzeleckiego, z którym łączyły mnie koleżeńskie stosunki. Jak codziennie tak i dzisiaj wyszedłem na obchód budowy. Gdzie się pokazałem, tam robotnicy przerywali pracę, pozdrawiając mnie z nieukrywaną radością i współczuciem. Byłem lubiany, nazywano mnie „ojcem”. Byłem powiernikiem osobistych kłopotów i zmartwień tej wspaniałej, pracowitej, pełnej poświęceń załogi. Wiedzieli o tym również moi „opiekunowie” z UB. Im to się nie podobało.

Z uwagi na moją konspiracyjną działalność w okresie okupacji uważano, że człowiek o takiej przeszłości nie może przewodzić i kierować tak liczną grupą robotników. Dlatego starali się zniszczyć mnie psychicznie, na razie stosując metodę szykan. Byłem im jeszcze potrzebny. Nie miałem już najmniejszych wątpliwości, że jest to już kwestia krótkiego czasu. Szczególnie ostatnia moja „wizyta” w Urzędzie Bezpieczeństwa, utwierdziła mnie w tym przekonaniu. Na budowie, w biurze, po pracy pod oknami domu, wszędzie wyczuwałem obecność agentów UB. Byłem psychicznie wykończony, postanowiłem, więc zwolnić się z pracy. Złożyłem podanie o zwolnienie mnie z zajmowanego stanowiska, z powodu złego stanu zdrowia. W związku z moim podaniem, po paru dniach zostałem wezwany do Naczelnego Inżyniera Zjednoczenia na rozmowę. Oświadczył mi on bez ogródek, że nie może mnie zwolnić. Moją decyzję uzasadniłem dodatkowo tym, że budowa Osiedla jest już tak zaawansowana, że mój zastępca może z powodzeniem kontynuować pracę. Na to Naczelny Inżynier powiedział mi, że to nie zależy od niego. „Pan jest moim bezpośrednim zwierzchnikiem” – powiedziałem, na co on mi powtórzył, że zwolnienie mnie, nie należy do niego. Odpowiedziałem po namyśle: „ja wiem od kogo zależy” i wyszedłem. Pewnego dnia będąc na budowie zastałem. Robotnicy przyprowadzili mnie do biura, wezwano samochód i kierowca odwiózł mnie do domu. Jeszcze tego dnia żona wezwała lekarza do domu. Po zbadaniu mnie lekarz orzekł, że jestem kompletnie wyczerpany fizycznie, a przede wszystkim psychicznie. Dał mi kilka dni zwolnienia i skierowanie do Poradni Zdrowia Psychicznego na ulicę Chocimską. Po kilku dniach zgłosiłem się do tej Poradni. Po zbadaniu zakwalifikowano mnie na leczenie, z zaleceniem przerwania pracy na czas leczenia. Po zastanowieniu się oświadczałem lekarzowi, że zgłoszę się za kilka dni, muszę, bowiem przekazać budowę następcy. Gdy już wychodziłem z gabinetu lekarz dodał - „proszę nie zwlekać, pańskie zdrowie wymaga natychmiastowego leczenia”. „Zgłoszę się na pewno panie doktorze” - odpowiedziałem i opuściłem przychodnię.

Ponieważ zwolnienie lekarskie skończyło się, nazajutrz stawiałem się do pracy. Nikomu nie zwierzałem się, że mam skierowanie do Przychodni Zdrowia Psychicznego. Jak zwykle wyszedłem na obchód budowy. Z niepokojem stwierdziłem, że podczas mojej nieobecności roboty na budowie szkoły niewiele się posunęły. Do terminu oddania pozostało zaledwie kilka tygodni. Postanowiłem, więc, że osobiście dopilnuję, aby termin oddania szkoły został dotrzymany, a do Przychodni zgłoszę się dopiero po oddaniu szkoły. W tej sytuacji niedotrzymanie narzuconego terminu oddania szkoły, mogło być uznane przez moich prześladowców jako sabotaż. Od tego dnia praca na budowie szkoły trwała 24 godziny na dobę, przy zwiększonej załodze. Ze względu na tak napięty termin, ja przez te dwa tygodnie jeździłem do domu tylko na obiad. Śniadania i kolacje spożywałem w stołówce, którą

specjalnie zorganizowałem dla załogi na okres budowy szkoły. Była sobota, ostatni dzień pracy, bo na poniedziałek wyznaczono Komisję przekazania szkoły do użytku. Roboty w zasadzie były zakończone. Pozostało tylko ułożenie kilkunastu metrów kwadratowych posadzki, w korytarzu, przy głównym wejściu do budynku szkoły. Roboty posadzkarskie wykonywała Spółdzielnia Pracy „Posadzkarz”. Prace te mieli wykonać po godzinach, gdy wszyscy opuszczą gmach szkoły. Opuściłem szkołę ostatni, będąc pewny, że w dniu dzisiejszym posadzkarze zakończą swoje roboty. Wstąpiłem jeszcze do biura, po czym zszedłem do samochodu z zamiarem powrotu do domu. Gdy wsiadałem już do samochodu usłyszałem wołanie dozorczy, który oświadczył mi, że posadzkarze przed chwilą zeszli z roboty i poszli do domu. Pomyślałem: „to dranie, co ja teraz zrobię? Bez wykończenia robót posadzkowych Komisja nie przyjmie mi budynku”. Spojrzałem na zegarek, była godzina 14.30 (sobota). Zwróciłem się do kierowcy, żebyśmy szybko jechali na Nowy Świat do Spółdzielni „Posadzkarz”, może zastaniemy kogoś z Zarządu. Miałem szczęście, w biurze Spółdzielni zastałem cały Zarząd z prezesem na czele (odbywało się posiedzenie Zarządu). Kiedy im powiedziałem, że posadzkarze zeszli z budowy i nie dokończyli robót, byli bardzo zdziwieni. Zwróciłem się do Prezesa Spółdzielni – „Pan wie, że w poniedziałek rano jest komisyjne przekazanie szkoły”. Odpowiedział: „Wiem, ale nie mogę nic pomóc, posadzkarze mieszkają poza Warszawą i nie da rady ich ściągnąć dzisiaj na budowę”. Na to ja powiedziałem: „Panie Prezesie, mnie nie obchodzi, kto robi tę robotę, to jest pańska sprawa. Robota ta musi być wykonana jeszcze dzisiaj lub w niedzielę”. Prezes zapytał: „W jaki sposób?”. Odpowiedziałem: „Panowie, wy to zrobicie, jeżeli nie możecie ściągnąć swoich ludzi”. „Pan żartuje Dyrektorze”, powiedział. Odpowiedziałem: „Ja nie żartuję, tu chodzi o wielką stawkę. Proszę, samochód czeka, narzędzia są na budowie. Jeżeli tej roboty mi nie zrobicie to złożę meldunek na waszą Spółdzielnię tam gdzie trzeba, a na pieniądze za wykonanie roboty nie możecie liczyć”. Po tych słowach Prezes, zwracając się do pozostałych członków Zarządu powiedział: „Panowie, musimy zrobić tę robotę”. Po chwili Prezes i dwóch członków Zarządu jechali ze mną na budowę. Po przyjeździe na miejsce, prezesi wzięli się za robotę klnąc swoich pracowników, a ja posłałem kierowcę po butelkę wódki i kielbasę. Po czterech godzinach pracy, roboty były zakończone. Rozlałem wódkę, kierowca pokroił kielbasę. Po wypiciu i zaspokojeniu głodu moi „posadzkarze-prezesi” rozchmurzyli się. Prezes powiedział: „ale masz tupet panie dyrektorze, nigdy bym nie przypuszczał, że po tylu latach prezesury będę jeszcze układał posadzkę”. „Nigdy nie wiadomo, co człowieka czeka panie prezesie”, odpowiedziałem, dziękując za ten czyn. Następnie zawiozłem ich do Spółdzielni na Nowy Świat. Po przekazaniu szkoły złożyłem podanie o urlop wypoczynkowy. Niechętnie, ale mi go udzielono. Korzystając z urlopu postanowiliśmy z żoną pojechać na kilka dni nad morze (do Sopotu), aby trochę odpocząć, a przede wszystkim oderwać się od swoich prześladowców „ubeków”. W Sopocie zatrzymaliśmy się u koleżanki żony. Postanowiłem w Gdyni odwiedzić mojego kolegę z okresu konspiracji – Witka Orzechowskiego „Kolkę”, który w tym czasie zajmował ważne stanowisko w Porcie Gdańskim. Z „Kolką” nie widzieliśmy się od czasu Powstania.

W drodze powrotnej do Warszawy wstąpiliśmy, więc do Gdyni pod wiadomy mi adres kolegi. „Kolki” w domu nie było, ale jego żona zaprosiła nas do mieszkania oświadczając, że mąż wróci z pracy o

godzinie 15.00. Ponieważ pociąg do Warszawy odjeżdżał o godzinie 17 tej postanowiliśmy poczekać. Kiedy „Kolka” wrócił z pracy, serdecznie przywitaliśmy się i powspominaliśmy o czasach konspiracji. Godzinę przed odjazdem pociągu pożegnaliśmy się z żoną „Kolki” i w jego towarzystwie poszliśmy na dworzec. Tam wypiliśmy jeszcze na kawę w restauracji dworcowej, po czym pożegnaliśmy się i wyruszyliśmy do Warszawy. Po powrocie zdecydowałem się zgłosić do Przychodni Zdrowia Psychicznego na leczenie, zgodnie z zaleceniem lekarzy.

W międzyczasie dowiedziałem się, że została mi przyznana złota odznaka „Odbudowy Stolicy”, oraz dyplom „Przewodnik Pracy”. Po urlopie otrzymałem zwolnienie lekarskie na czas leczenia w Przychodni. Upłynęło kilka tygodni od spotkania z moim kolegą w Gdyni.

Pewnego dnia na ulicy Marszałkowskiej zobaczyłem idącego naprzeciw mnie „Kolkę”. Kiedy zbliżyliśmy się do siebie, „Kolka” zauważył mnie, nagle zawrócił i szybkim krokiem oddalił się ode mnie, mieszając się z tłumem przechodniów. Byłem zdziwiony jego zachowaniem, długo zastanawiałem się, dlaczego nie chciał się ze mną spotkać. Sprawę wyjaśnił mi listownie, (list został mi przekazany przez jego siostrę). Wyjaśnił mi, że po naszym spotkaniu w Gdyni został on wezwany do Miejskiego Urzędu Bezpieczeństwa, gdzie przez kilka godzin był przesłuchiwany. Pytano skąd mnie zna, co nas łączy, w jakim celu przyjechałem do Gdyni itp. Po kilku dniach po przesłuchaniu został zwolniony z pracy, bez podania powodu.

Był to jeszcze jeden dowód szantażu, stosowanego przez „bezpiekę” w stosunku do mojej osoby. Postanowiłem nie wracać już na „Mirów”. Leczenie w Przychodni przedłużyło się do dwóch miesięcy. Następnie otrzymałem skierowanie na miesiąc pobytu w Sanatorium w Kudowie Zdroju. Po upływie trzech miesięcy nieobecności w pracy, otrzymałem pismo ze Zjednoczenia, że zostałem zwolniony z pracy, zgodnie z obowiązującymi przepisami. Nareszcie byłem wolny, miałem również nadzieję, że dadzą mi spokój. Niestety myliłem się. Gdy skończyło się zwolnienie lekarskie, rozpocząłem szukanie pracy. Złożyłem podanie do pewnej instytucji, gdzie zostałem przyjęty. Kiedy na drugi dzień zgłosiłem się do pracy, odpowiedziano mi bez podania powodu, że nie mogą mnie zatrudnić. W kilku innych przedsiębiorstwach również przyjmowano mnie, a w następnym dniu odmawiano zatrudnienia. Nie miałem wątpliwości, że „bezpieka” chce mnie zniszczyć. Byłem zrozpaczony. Nie mogłem długo pozostawać bez pracy. Miałem na utrzymaniu żonę i troje dzieci. Zdecydowałem się podjąć pracę jako pracownik fizyczny, nie ujawniając wykształcenia oraz stanowisk zajmowanych w poprzednich miejscach. Odwiodła mnie od tego niespodziewana wizyta inż. Praczuka.

Z inż. Pracukiem pracowaliśmy jeszcze w Dyrekcji Domów Towarowych, a następnie w Zjednoczeniu BOR (gdzie był na stanowisku inspektora).

Ostatnio został powołany przez KW PZPR na stanowisko Dyrektora Naczelnego Zjednoczenia Budownictwa Miejskiego KAM w Warszawie. Przyjęcie tego stanowiska uzależniał od doboru personelu inżynierskiego według własnego uznania, na co KW PZPR wyraziło zgodę. Mnie zaproponował stanowisko Dyrektora Zarządu Budowlanego Odbudowy Starego i Nowego Miasta. Opowiedziałem o szyskanach, jakich doznałem przy moich staraniach o pracę. Inż. Praczuk odpowiedział mi, że sprawę zaangażowania mnie do pracy bierze na siebie. Nazajutrz zgłosiłem się do Działu Kadr Zjednoczenia, celem załatwienia spraw związanych z moim zaangażowaniem. Gdy wypełniłem kwestionariusz i

napisałem życiorys, Naczelnik Kadr oświadczył mi, żebym zgłosił się do pracy za dwa dni. Inż. Praczuk w tym czasie przebywał służbowo poza Warszawą. Nie było dla mnie zaskoczeniem, kiedy po stawieniu się do pracy w wyznaczonym terminie, Naczelnik Kadr oświadczył mi, że nie mogę być przyjęty, tak jak w poprzednich staraniach, bez podania powodu. Wróciłem do domu z postanowieniem zatrudnienia się jako pracownik fizyczny na budowie. Dwa dni później, wychodząc rano z domu spotkałem wchodzącego do mojego mieszkania dyr. Praczkę, który po powrocie, z podróży służbowej dowiedział się, że nie zostałem przyjęty do pracy. Dyrektor oświadczył mi, że sprawa jest już załatwiona. Wsiedliśmy do samochodu i pojechaliśmy na Nowe Miasto, gdzie jeszcze tego dnia rozpocząłem pracę na stanowisku Dyrektora Zarządu Budowlanego Odbudowy Starego i Nowego Miasta (tzw. Trakt Starej Warszawy).

Był styczeń 1952. po zapoznaniu się ze stanem budowy natychmiast przystąpiłem do reorganizacji budowy. Stwierdziłem wielki bałagan na budowie. Poza rozbiórką uszkodzonych murów kamieniczek i wywózką gruzu przez dziesiątki wozaków, nic nie działo się na budowie. Całą załogę (około 1000 robotników) przeorganizowałem w odcinki i brygady według zawodów. Opracowałem harmonogramy robót na poszczególne odcinki i budynki. Kierownicy odcinków byli odpowiedzialni za postęp robót zgodnie z harmonogramem. Już po trzech tygodniach dał się zauważyć wyraźny postęp w robotach. Zaczęły zgłaszać się do mnie całe brygady z poprzedniej budowy „Mirów”, co spowodowało protest nowego dyrektora Zjednoczenia BOR w Komitecie Warszawskim PZPR. W miarę przygotowania frontu robót, na wszystkich odcinkach, brygady przystępowały do robót. Na 1 maja, w 90 % budynki na obu Zarządach były nakryte dachami. 1 maja odbyła się Akademia, podczas której Dyrektor wręczył mi dyplom i kwiaty jako dowód uznania dla moich osiągnięć przy odbudowie Starego i Nowego Miasta, a orkiestra odegrała na moją cześć „Kwiaty Polskie”. Przodujące brygady otrzymały nagrody pieniężne. Na Rynku Starego Miasta odbył się festyn, który trwał do późnego wieczora.

Nadszedł dzień 9 maja. Jak każdego dnia wychodziłem ostatni z biura. Sekretarka szykowała się już do wyjścia, gdy zadzwonił telefon. Sekretarka podniosła słuchawkę, popatrzyłem na zegarek, było już 40 minut po zakończeniu pracy. Zastanawiałem się, kto może o tej porze dzwonić.

Po chwili sekretarka weszła do mojego gabinetu i oznajmiła mi, że Naczelnik Kadr prosił, abym wstąpił do Biura Zjednoczenia przy ulicy Podwale. Sekretarka za chwile wyszła do domu, a ja po zamknięciu biura i oddaniu kluczy dozorczy udałem się do biura Zjednoczenia. Idąc zastanawiałem się, co może chcieć ode mnie Naczelnik Kadr o tej porze. Kiedy znalazłem się na Pl. Zamkowym zauważyłem stojący przed barakiem biurowym samochód i motocykl. Przechodząc przez długi korytarz baraku zauważyłem, że w pokojach już nikogo nie było. Wszedłem do pokoju Działu Kadr. Za biurkiem stała Naczelnik – Pani Staszewska. Popatrzyła na mnie ocierając chusteczką łzy. Zapytałem, co się stało, dlaczego płacze? Nie odpowiadając wskazała ręką na pokój, w którym urzędował Kierownik Ochrony (Komórka UB). Wszedłem do pokoju, za biurkiem siedział nieznany mi mężczyzna. Siedzący przy biurku zapytał: „Czy pan Dyrektor Sobiesiak?”. Gdy potwierdziłem powiedział: „Jest pan aresztowany”. Wyjął z kieszeni papier i wręczając mi go powiedział: „oto nakaz aresztowania”. Nie czytając oddałem papier. W tym czasie drugi mężczyzna stał przy drzwiach trzymając rękę na klamce, wreszcie

powiedział: „idziemy” i ruszyliśmy korytarzem (ja szedłem w środku). Po wyjściu z baraku pierwszy z prowadzących mnie mężczyzn stał już przy otwartych drzwiach samochodu. Kiedy wsiadłem do samochodu drugi z mężczyzn usiadł przy mnie na tylnym siedzeniu, zatrzaskując drzwi. Samochód ruszył z miejsca, a stojący na ulicy „ubek” wsiadł na motocykl i podążył za nami.

Stało się, co miało się stać. Tego momentu oczekiwałem od 1946 roku. Nie zdążyłem się jeszcze zorientować, gdzie mnie wiozą, gdy samochód zatrzymał się przed bramą Pałacu Mostowskich od strony ulicy Nowolipie. Samochód wjechał na dziedziniec Pałacu, po chwili znalazłem się w gmachu. Podczas gdy wchodziliśmy po schodach na piętro, mineliśmy prowadzonego przez funkcjonariusza UB, zakrwawionego młodego człowieka. Po chwili znalazłem się w pokoju, w którym stojący za barierą „ubek” zażądał ode mnie wyłożenia wszystkiego, co posiadałem przy sobie tzn. dowód osobisty, całą zawartość portfela, zegarek. Siedzący przy biurku „ubek” spisywał wszystkie przedmioty na arkuszu papieru a następnie układał je w papierowej torbie. Po tych czynnościach, odbierający moje rzeczy „ubek” powiedział: „pod siódemkę”. Sprowadzono mnie do podziemia, gdzie na długim korytarzu, po prawej stronie znajdowały się cele, oznaczone numerami. „Ubek” wprowadził mnie do obszernego pokoju, o zakratowanych oknach, gdzie czekał już na mnie półnagi „drab”, który kazał mi się rozebrać. Rozbierając się układałem swoje części garderoby na ławie stojącej pod ścianą (jedyne meble w tym pomieszczeniu). Gdy rozebrałem się już do naga „ubek” przetrząsnął każdą część garderoby oraz wyciągnął pasek ze spodni i sznurowadła z butów. Następnie kazał mi się ubrać i wyprowadził mnie na korytarz, gdzie zatrzymaliśmy się przed celą oznaczoną nad drzwiami cyfrą „7”. Wielkim kluczem otworzył żelazne drzwi i pchnął mnie do środka celi. Usłyszałem za sobą zgrzyt klucza w zamku.

Rozdział III

Pobyty w więzieniach P.R.L.

Stałem kilka chwil w mroku celi. Kiedy wzrok mój oswoił się z ciemnością, ujrzałem sylwetki stojących ludzi. Strumień światła wdzierający się przez gęsto zakratowane okienko pod stropem, był tak nikły, że w pierwszej chwili nie mogłem dojrzeć twarzy więźniów. Stałem tak przez kilkanaście sekund nie wiedząc, co dalej robić. Jeden z więźniów podszedł do mnie, wziął mnie za ramię i powiedział: „kolego, proszę się nie denerwować”, po czym posadził mnie na ułożonych pod ścianą siennikach. Po pewnym czasie wzrok mój oswoił się z mrokiem panującym w celi na tyle, że mogłem rozpoznać twarze więźniów. To nie były twarze normalnych ludzi. Były to twarze „jaskiniowców”, brodaczy o różnych kolorach owłosienia. Byli to ludzie młodzi, w wieku 20 – 30 lat. Było ich 14 – stu. W celi było tłoczno, wymiary celi: 2 X 4 m. Pod ścianami ułożone sienniki, wypełnione słomą tartą w sieczkę. Na siennikach siedzieli niektórzy więźniowie, pozostali spacerowali wąskim przejściem pomiędzy siennikami. W rogu była zainstalowana miska klozetowa. W celi było bardzo duszno, powietrze przypominało szale uliczny. Więźniowie rozebrani byli do pasa (byli bez koszul).

Obserwację swoją nagle przerwałem, zazgrzytał, bowiem klucz w zamku. Więźniowie zerwali się z sienników i stanęli nieruchomo twarzami do otwierających się drzwi. W drzwiach ukazał się „klawisz”, warknął: „dla nowego” i rzucił do celi koc dla mnie. Podniosłem koc z podłogi, złożyłem go w kostkę i położyłem na koce współtowarzyszy, ułożone w kącie celi. Zbliżał się wieczór, a więc i pora kolacji, na którą z niecierpliwością czekali wygłodzeni więźniowie. Po chwili drzwi otworzyły się i ujrzałem stojące przed nami naczynie z kawą i koszyk z pokrojonymi na pajdki chlebem razowym. „Celowy” zabrał chleb z koszyka i ułożył na sienniku, a naczynie z kawą wciągnął do celi. Po zamknięciu drzwi przez „klawisza”, każdy z więźniów zabrał swoją pajdkę chleba. Po spożyciu tej „kolacji” jedni więźniowie spacerowali, inni siedząc na siennikach rozmawiali szeptem między sobą. Kiedy tak siedziałem załamany jeden z więźniów przysiadł się do mnie i zapytał kiedy zostałem aresztowany. Nie pytał mnie, co było powodem aresztowania, widocznie dla niego było to oczywiste. Jak się później dowiedziałem cela nr 7 była dla więźniów politycznych. Ten, który przysiadł się do mnie zapoznał mnie z przepisami obowiązującymi w celi. Dowiedziałem się, że siedzą tu wyłącznie więźniowie polityczni: byli „akowcy”, oraz z nowej organizacji akowskiej „Nowa Armia Krajowa”, „Wolność i Niezawisłość” i „Szturmówka Chłopska”. Mój rozmówca mówił, że tylko celowy był w partyzantce w lasach lubelskich pod dowództwem kpt., ps. „Orlik” i że już od kilku miesięcy siedzą w śledztwie.

Zapytałem, dlaczego więźniowie są tacy zarośnięci. Odpowiedział mi, że od kilku miesięcy to znaczy od chwili aresztowania, nie byli strzyżeni, goleni ani kąpani. Ponadto powiedział, że od chwili aresztowania nie byli na spacerze, poza nocnymi „spacerami” na górę na przesłuchanie. W celi zrobiło się ciemno. Zapalono małą żarówkę, wiszącą pod sufitem na wysokości około 4m. Za kilka minut usłyszeliśmy od strony korytarza kopanie w drzwi i głos „klawisza”: „cisza – spać!”. Zaczęto

rozkładać do spania sienniki na podłodze. Pod głowę układano złożone w kostkę marynarki, spodnie, buty, i nakrywano się kocami. Po chwili przechodzący korytarzem „klawisz” zgasił z zewnątrz światło w celi. Do spania układano się w ten sposób, że więźniowie, którzy spodziewali się nocnego przesłuchania układali się bliżej drzwi, aby nie deptać śpiących kolegów, przy wyjściu na korytarz. Ponieważ ja byłem „nowy” i spodziewałem się, że mnie wezmą na przesłuchanie, położyłem się tuż przy drzwiach. W celi było tak ciasno, że leżeliśmy na bokach (długość celi ok. 4m, szerokość: 2m). Tej nocy nie zasnąłem. Było już po północy, kiedy w celi zapaliło się światło, następnie klawisz otworzył drzwi i przyciszonym głosem wywołał po nazwisku leżącego obok mnie więźnia, „na górę”- powiedział. Więzień pospiesznie wciągnął spodnie, wsunął na nogi buty i wyskoczył na korytarz, zakładając po drodze marynarkę. Po wyjściu więźnia „klawisz” zamknął drzwi i zgasił światło. Ja nadal nie mogłem zasnąć. Natomiast moi towarzysze mimo obudzenia, natychmiast zasypiali chrapiąc, niektórzy trapieni koszmarnymi snami wykrzykiwali we śnie. Po około dwóch godzinach mój sąsiad wrócił do celi z przesłuchania. Należy dodać, że przesłuchania odbywały się tylko w nocy, po północy. O 5.00 rano, dyżurny „klawisz” kopaniem w drzwi oznajmił pobudkę. Po kilku minutach otwierał drzwi i przyjmował raport o stanie więźniów w celi. Przyniesiono śniadanie: chleb i kawę. Po śniadaniu zaczęło się „kiblowanie”, które trwało około godziny. Następnie spacer po celi. Na obiad przynoszono wiadro z zupą, którą rozlewano do metalowych misek. Każdy z więźniów otrzymywał pół litra rzadkiej zupy z ziemniakami lub z zieloną kapustą. Po obiedzie „klawisz” otwierał celę i nie wchodząc podawał głównię z zapalanej tektury, od której jeden z więźniów przypalał papierosa. Pozostali więźniowie przypalali papierosy od pierwszego (w celi nie wolno było mieć zapalek). W ten sposób podawano do celi ogień trzy razy dziennie. Dla palaczy było to za mało, więc krzesano ogień przy pomocy popiołu z wypalonych papierosów i waty.

Całodzienne wyżywienie składało się z trzech pajdek chleba, kawy i zupy (na śniadanie kawa i chleb, na obiad zupa, na kolację kawa i chleb). Było to głodowe wyżywienie. Aresztowani przebywający już dłuższy czas w więzieniu otrzymywali paczki z domu, którymi dzielili się z kolegami. W tym koszmarze upływały noce i dni. Pewnego dnia zostałem wezwany na przesłuchanie. „Klawisz” otworzył drzwi i wywołał moje nazwisko. Wszyscy byli zdziwieni, że wzywają mnie na przesłuchanie w dzień. „Ubek” zaprowadził mnie na górę. Wprowadzono mnie do pokoju, gdzie siedzący za biurkiem mężczyzna wskazał mi ręką stojący w rogu pokoju taboret.

„Siadajcie” – powiedział. Upłynęło kilka minut, po czym zaczął zadawać pytania: „Byliście dyrektorem budowy Osiedla Mirów?”. Gdy potwierdziłem powiedział: „A czy wiecie, że jesteście odpowiedzialni za wypadek, jaki miał miejsce na budowie prowadzonej przez was?”. Na to ja odpowiedziałem: „Jak sobie przypominam to w okresie, kiedy byłem dyrektorem na Osiedlu Mirów, na budowie nie było żadnego wypadku”. Na to śledczy: „Na budowie szkoły dokonano sabotażu i wy jesteście za to odpowiedzialni”. Zapytałem, „Jakiego sabotażu i kiedy?”. Odpowiedział: „Na sali gimnastycznej wybudowanej szkoły, za waszą wiedzą została umocowana płyta betonowa, która po 4 miesiącach oderwała się i spadła. Całe szczęście, że w tym czasie nie było dzieci na sali gimnastycznej. Wyście wiedzieli, że ta płyta kiedyś spadnie, to była wasza robota”. Odpowiedziałem: „Proszę mi udowodnić,

że to moja robota”. „My to wam udowodnimy” – powiedział. Powiedziałem mu, że byłem dyrektorem budowy całego Osiedla (kilkudziesięciu bloków), nie tylko szkoły. Przedstawiłem jaka była organizacja budowy Osiedla: cała budowa była podzielona na odcinki, na których byli kierownicy z uprawnieniami. Kierownik odcinka miał majstrów, a majstrowie brygadzystów. Nad całością budowy był nadzór inwestorski oraz nadzór autorski z Biura Projektów. Oba nadzory miały za zadanie kontrolowanie robót, zgodnie z zatwierdzoną dokumentacją. Jak więc przy takiej organizacji budowy, mógł ktoś dokonać sabotażu? Musiałbym być w zмовie z wszystkimi wyżej wymienionymi, a także z robotnikami, którzy płytę tę zamocowali. Dodałem jeszcze, że jeśli chodzi o mój udział w tej sprawie, to uważam to za wielkie nieporozumienie.

Po tej mojej wypowiedzi, mężczyzna prowadzący przesłuchanie wezwał „klawisza” czekającego na korytarzu i powiedział: „odprowadzić”. Po kilku minutach znalazłem się w celi. Długo myślałem o tym przesłuchaniu. Zastanawiałem się jak mogła oderwać się płyta z supremy, zawieszona i przyspawana na drucie o średnicy 4 mm, do wystających prętów z żelbetonowego stropu. Dlaczego jedna płyta na całym stropie sali gimnastycznej musiała się urwać? Dlaczego czepiają się mnie o tę płytę i zarzucają mi sabotaż, omijając wszystkich bezpośrednio zatrudnionych bądź odpowiedzialnych za wykonawstwo? Tym bardziej, że roboty wykończeniowe w sali gimnastycznej wykonywane były po moim odejściu z Mirowa, o czym zapomniałem powiedzieć na przesłuchaniu. Doszedłem do wniosku, że był to dalszy ciąg serii szantażu za moją działalność w A.K. Usiłuję za wszelką cenę wmówić we mnie „sabotaż”, aby usankcjonować moje aresztowanie i skazanie, bez przeprowadzania dokładnego śledztwa w tej sprawie. Po kilku dniach ponownie zostałem wezwany „na górę”. W pokoju, na biurku prowadzącego śledztwo zobaczyłem rozłożone rysunki i plany. Prowadzący śledztwo zwrócił się do mnie: „Zapewne domyślacie się, że są to rysunki i plany szkoły, a dokładnie sali gimnastycznej na Mirowie”. Potwierdziłem, na co on powiedział: „Pokażcie nam, według którego rysunku był wykonany strop nad salą gimnastyczną”. Bez trudu znalazłem rysunek roboczy stropu, wręczając go prowadzącemu dochodzenie. „Możecie odejść”- powiedział.

Odchodząc już zatrzymałem się na chwilę i szybko powiedziałem („klawisz” już mnie ponaglał) zwracając się do prowadzącego dochodzenie: „Oświadczam panu, że w tym czasie, kiedy były wykonywane roboty wykończeniowe na sali gimnastycznej, ja już nie pracowałem na Mirowie. Proszę sprawdzić”. Po tym oświadczeniu wyszedłem z pokoju i zostałem odprowadzony do celi. Mijały dni, tygodnie i miesiące – nie wezwano mnie na przesłuchanie. W między czasie do celi przybył młody człowiek (ok. 19 lat), który powiedział, że został aresztowany za znieważenie portretu Józefa Stalina w miejscu publicznym, poprzez rozbicie na nim flakonu z czerwonym tuszem (portret ten wisiał na ścianie świetlicy). Dojście jeszcze jednego aresztowanego do małej celi spowodowało, że zabrakło miejsca do spania dla nowego więźnia (było nas już szesnastu). Z uwagi na wymiary celi, wypadało na jednego śpiącego więźnia około 30 cm. W związku z tym ustalono, że tymczasem, co 16 dzień jeden więzień będzie spał siedząc na sedesie. Przyszło lato, w celi było potwornie duszno. Okienko umieszczone na wysokości 4 m, częściowo zasłonięte, w minimalnym stopniu wentylowało celę. Szczególnie dawało się to we znaki przy „kiblowaniu”. Nie było, czym oddychać. Ponadto miliony pcheł, pluskiew i innych insektów wysysały z naszych ciał krew. Żądania nasze o dezynfekcję celi

pozostawały bez skutku. Dopiero kopanie i walenie w drzwi celi odniosło skutek. Pewnego dnia dyżurny „klawisz” na polecenie Naczelnika wpompował pompką przez dziurkę od klucza do celi wiadro „azotoksu”. Trudno opisać, co się działo w celi. Padliśmy na posadzkę dusząc się, łzy zalewały twarze, łapiąc powietrze dochodzące spod drzwi od korytarza. Tego i następnego dnia nie przyjęliśmy posiłku, leżąc pokotem na podłodze po zatruciu „azotoksem”. Oczywiście dezynfekcja nie odniosła żadnego skutku na insekty, ale osiągnęła cel dotyczący przekonania nas o nie upominanie się o dezynfekcję celi. Od tego tragicznego wydarzenia upłynęło kilka tygodni. Pewnego popołudnia w otwartych drzwiach celi zobaczyliśmy stojącą na korytarzu grupę mężczyzn (cywilów), w tym jedna starsza kobieta. Naczelnik więzienia towarzyszący tej grupie zwrócił się do nas z pytaniem, jakie mamy prośby dodając, że jest to Komisja z Generalnej Prokuratury. Stojący najbliżej drzwi więzień powiedział o milionach insektów (zdejmując z siebie zakrwawioną koszulę), o tym, że od chwili aresztowania nie byliśmy myci, o braku powietrza w małej celi. Nie dokończył, bo Komisja bez słowa oddaliła się, a „klawisz” zatrasnął drzwi celi. Upłynęło kilka dni od wizyty Komisji, gdy nagle oznajmiono nam żebyśmy rozebrali się do naga a ubrania zostawili w celi. Po wyjściu na korytarz ustawiliśmy się w dwuszeregu, po czym „klawisz” dał komendę: „za mną marsz”. Po przejściu kilkunastu metrów korytarzem, mijając cele, zatrzymaliśmy się przed drzwiami, które „klawisz” otworzył. Jakie było nasze zdziwienie kiedy znaleźliśmy się w pomieszczeniu z prysznicami w suficie. Nareszcie po kilku, a niektórzy po kilkunastu miesiącach, mogliśmy się umyć. Po kąpieli, która nie trwała długo, bo zaledwie kilka minut, wyprowadzono nas. Byliśmy zdziwieni, kiedy idąc korytarzem minęliśmy naszą celę nr 7 i przeszliśmy dalej korytarzem. Po chwili zatrzymaliśmy się pod drzwiami celi, do której weszliśmy.

Strażnik bez słowa zatrasnął drzwi, zostawiając nas w mrocznej celi, oczywiście bez ubrań. Zawszone i zapluskowane nasze ubrania zostały w celi nr 7. Po oswojeniu się z mrokiem celi z zadowoleniem stwierdziliśmy, że nasza nowa cela jest nieco większa od poprzedniej. Na podłodze pod ścianą leżały sienniki i koce. W oczekiwaniu na ubrania, (co trwało do czterech godzin), czas oczekiwania wypełnialiśmy grą w „dupnika”, bijąc dłońmi w przed chwilą umyte, wypięte pośladki graczy. Byliśmy tak zaobserwowani grą, że nie usłyszeliśmy otwarcia drzwi celi oraz strażnika, który nie zdradzając swojej obecności w celi, przyglądał się naszej grze, uśmiechając się. Był to jedyny uśmiech, jaki zauważyliśmy na kamiennej twarzy strażnika UB, od początku. Strażnik przyniósł w worku nasze zdezynfekowane ubrania. Dzień ten był dla nas wielkim wydarzeniem. Po tej kąpieli mogliśmy nareszcie wygodnie położyć się do snu, bez insektów, które przez tyle miesięcy wysysały naszą krew. Nazajutrz, po obiedzie przywieziono paczki od rodzin, z domów. Jakie było moje zdziwienie, kiedy strażnik wyczytujący z listy nazwiska więźniów otrzymujących paczki, wymienił i moje nazwisko. Był to dla mnie wielki dzień. Po dziewięciu miesiącach od mego aresztowania żona dowiedziała się nareszcie o moim miejscu pobytu. Do tego czasu w U.B. nie przyjmowano od żony przynoszonych każdego miesiąca paczek. Odpowiadano, że „taki” nie figuruje na liście więźniów i żona zrozpaczona wracała do domu, nie wiedząc, co się ze mną dzieje od tylu miesięcy. Po otrzymaniu paczki poczułem się bezpieczniej. Był kontakt z rodziną. W prawdzie nie można było pisać listów do domu i otrzymywać ich z domu, ale były już możliwości przekazywania wiadomości z domu w paczce, a do domu – w brudnej bieliźnie, którą można było wysłać do prania w domu, przy odbiorze paczki.

W celi życie toczyło się dalej, od śniadania do obiadu i do kolacji. Długie zimowe wieczory, a następnie niespokojne noce przerywane zgrzytem otwieranych drzwi przez ponurych strażników wywołujących więźniów na przesłuchania. I tak mijały dni, tygodnie i miesiące. Jediną „rozrywką” były rozmowy z więźniami z sąsiednich cel. Rozmowy te odbywały się przy pomocy pukania alfabetem „morsa” w ścianę, grzejniki, lub przez miskę klozetową. Przez okres mojego pobytu w U.B. więźniów przybywało. Nikogo nie wezwano na rozprawę sądową. Wyroki zapadały w U.B. na ostatnich przesłuchaniach, co potwierdzili sami funkcjonariusze. Z wiarygodnych źródeł dowiedzieliśmy się, że wyroki śmierci wykonywane były w koszarach na ulicy 11 Listopada na Pradze. Jeden z więźniów w celi (celowy), były funkcjonariusz UB, a przedtem partyzant „Orlika”, w przystępie szczerości opowiedział nam jak to się odbywało. Więźniowie, którzy zostali skazani na karę śmierci (bez rozprawy sądowej), nie wiedząc o wyroku byli wywożeni na ulicę 11 Listopada i tam wykonywano egzekucję w ten sposób: dla pozorów dawano wiadra w celu przyniesienia węgla do ogrzania w celach, pod eskortą st. sierżanta straży więziennej, który po wprowadzeniu do bunkra, strzelał z pistoletu w tył głowy. Według relacji celowego, w U.B. kwalifikowano więźniów politycznych na dwie grupy.

Do pierwszej należeli członkowie organizacji niepodległościowych z okresu okupacji takich jak: Armii Krajowej, Narodowych Sił Zbrojnych. Jeżeli chodzi o więźniów AK, i NSZ wyroki śmierci wykonywano na byłych żołnierzach działających w okresie okupacji w specjalnych oddziałach dywersyjnych takich jak: „Kedyw” Komendy Głównej AK, „Kedyw” Okręgu Warszawskiego AK, Kierownictwo Walki Cywilnej Kierownictwo Walki Konspiracyjnej, Kierownictwo Walki Podziemnej oraz na innych członkach AK i NSZ działających po wyzwoleniu w oddziałach partyzanckich, jak również członków tych organizacji oskarżonych o działalność sabotażową: Nowa Armia Krajowa, Wolność i Niezawisłość, Szturmówka Chłopska i inne. Do drugiej grupy kwalifikowano więźniów podejrzanych o działalność dywersyjną taką jak „pyskówki” i inną działalność zabronioną przez władze PRL. Tych po kilku miesiącach przeważnie zwalniano. Opowiadanie „celowego” wywołało wielkie i przygnębiające wrażenie na więźniach, których działalność polityczna kwalifikowała się do pierwszej grupy. Mniej odporni załamywali się psychicznie, odmawiali posiłków, inni stali się agresywni w stosunku do strażników, a jeszcze inni siedzieli na siennikach z opuszczonymi głowami i całymi godzinami nie odzywali się do siebie. W celi powiało grozą śmierci. W nocy więźniowie trapieni koszmarnymi snami zrywali się z krzykiem z posłań. Pozostali, mniej zagrożeni budzeni krzykami współtowarzyszy – przeklinali. Dyżurujący na korytarzu strażnik reagował na te krzyki kopaniem w drzwi celi. Po kilku dniach nieco się uspokoiło, szok minął. Więźniowie stali się apatyczni. Tylko jeden z więźniów, który opowiedział nam tę makabryczną historię, przez cały czas zachowywał się normalnie. On to powiedział nam kilka miesięcy wcześniej jak dostał się do więzienia UB: był w oddziale partyzanckim kpt. „Orlika” (oddział ten działał w lasach lubelskich). Po likwidacji oddziału, w obawie przed aresztowaniem zgłosił się do U.B. gdzie pracował kilka miesięcy w Pałacu Mostowskich, aż do momentu, kiedy dowiedziano się, że był w oddziale „Orlika”. Ponieważ fakt ten zataił w swoim życiorysie, został aresztowany i w ten sposób znalazł się w celi nr 7.Z uwagi na to, że znał teren oraz swoim zachowaniem koleżeńskim zyskał zaufanie więźniów, został wybrany „celowym”. Było to na kilka miesięcy przed moim aresztowaniem. Był to człowiek w wieku 23-25 lat,

wesoły i koleżeński. On to przy pomocy alfabetu „morsa” porozumiewał się z sąsiednimi celami. Po pewnym czasie, kiedy ja znalazłem się w celi, on kilkakrotnie usiłował nawiązać ze mną rozmowę, pytając, za co zostałem aresztowany i o inne szczegóły mojego życiorysu. Instynktownie wyczuwałem, że ten młody człowiek nie jest tym, za kogo się podawał i to jego opowiadanie o partyzantce w „bandzie”, jak on to nazwał nie wydawało mi się prawdziwe. Miałem pewne doświadczenie z okresu konspiracji oraz z pracy, kiedy moi współpracownicy okazali się agentami UB, postanowiłem, więc unikać rozmów na temat mojej przeszłości z kimkolwiek w celi, a tym bardziej z byłym pracownikiem UB. Więźniowie wiedzieli, że byłem dyrektorem Przedsiębiorstwa Budowlanego, odbudowywałem Stare Miasto i że zostałem aresztowany na budowie. Nikt z więźniów o nic więcej nie pytał, poza „celowym”, który chciał wiedzieć jeszcze więcej.

To natrętne indagowanie wzbudziło we mnie podejrzenie. Postanowiłem obserwować jego zachowanie wobec innych przybyłych do celi więźniów. Pewnego dnia wprowadzono do celi mężczyznę starszego ode mnie, w wieku około 40 lat. Po zamknięciu celi przez strażnika, nowy więzień stał przez chwilę zanim oswoił się z mrokiem, który panował w celi. Ponieważ stałem najbliżej drzwi, podszedłem do niego, wziąłem za ramię i poprowadziłem w głąb celi. Usiedliśmy w kącie na siennikach. Więźniowie spacerowali po wolnym skrawku podłogi celi, pozostali siedzieli tak jak my na siennikach. Po kilku minutach strażnik wrzucił koc i miskę dla „nowego”, które on podniósł, koc złożył w kostkę i położył pod ścianą na sienniku. Spoglądając po celi zapytał: „Jak panowie tu śpicie w tej małej celi, przecież to pojedynek!?”. Odpowiedziałem: „Jakoś się śpi, trochę ciasno”. Nowy uśmiechnął się smutno, oprął głowę o ścianę i zamknął oczy. Spojrzałem na jego ręce skrzyżowane na kolanach. Na przegubach rąk zauważyłem sine wgniecenia, ślady po kajdankach. Zrobiło mi się go żal. „Musisz być niebezpieczny dla Władzy Ludowej” – pomyślałem. Musiał być bardzo zmęczony, bo zaraz zasnął. Widać było na jego twarzy (zapadnięte oczy, wystające kości policzkowe), że przebył długą, uciążliwą podróż. Koledzy w milczeniu oglądali ślady po kajdankach na jego przegubach rąk. Po pewnym czasie strażnik otworzył drzwi celi podając „kolację”. Obudziłem siedzącego obok mnie mężczyznę. Wstał chwiejąc się na nogach. Stanęliśmy w kolejce po chleb i kawę. Po kolacji „nowy” kolega obserwował współwięźniów w celi. Zapytał: „Dlaczego jesteście tak bardzo zarośnięci?”. Odpowiedziałem, że więźniów w tej celi nie strzygą, nie golą, a kąpią raz na kilka miesięcy. „Rozumiem”, odpowiedział. „Czy pan jest celowym?” – zapytał, a ja odpowiedziałem – „nie”. Z kolei ja zapytałem, czy wyglądam na celowego? Odpowiedział: „Nie, ale wydaje mi się, że jest pan w tym gronie najstarszy wiekiem”. „Tak” – odpowiedziałem, „ale stażem w tej celi jestem młody”. Zapytał: „Jak długo pan tu przebywa?”. Odpowiedziałem, że 9 miesięcy. Spytał, który z więźniów jest „celowym”. Powiedziałem, że ten z rudą brodą. Przez chwilę patrzył na „celowego” i w końcu powiedział, że ten człowiek nie podoba mu się. Zapytałem, dlaczego. Odpowiedział: „Znam się na ludziach”. Nadeszła godzina „kiblowania” i nasza rozmowa została przerwana. Po godzinie głos „klawisza” z korytarza zapowiedział przygotowanie się do snu. Rozłożyliśmy senniki i za chwilę leżeliśmy na posłaniu. Zgodnie ze zwyczajem w celi, nasz nowy kolega zajął miejsce przy drzwiach. Istniało prawdopodobieństwo, że pójdzie on na górę na przesłuchanie. Mnie trapiła bezsenność. Było już dobrze po północy, kiedy w celi zapaliła się żarówka. Po chwili rozległ się zgrzyt klucza w zamku drzwi i głos „klawisza” oznajmił: „Róžański, na górę”.

Popatrzyłem jak nasz nowy kolega, ponaglany przez strażnika zwlókł się z barłogu, a następnie światło w celi zgasło. Tym razem nie słyszałem już, kiedy kolega Różański wrócił do celi. Z nowym więźniem zaprzyjaźniliśmy się, obaj byliśmy dużo starsi od pozostałych więźniów. Ponadto łączyła nas przynależność w okresie okupacji do ZWZ AK Kedywu w Warszawie. Różański zwierzył mi się, że przed wojną był oficerem Wojska Polskiego i Kontrwywiadu w II Oddziale a w okresie okupacji oficerem „Kedywu”. Brał udział w Powstaniu Warszawskim. Po wyzwoleniu wyjechał wraz z rodziną do Legnicy, gdzie w 1951 r. został aresztowany. Następnie po półtorarocznym pobycie w miejscowym więzieniu UB został przetransportowany do UB w Warszawie. Z kolegą Różańskim podzieliłem się o swoim podejrzeniu o podwójnej roli „celowego”, jaką według mojej oceny pełnił w naszej celi. Uważałem go za więźnia politycznego oraz agenta „bezpieki” (kapusty). Kolega Różański potwierdził moje podejrzenia. Postanowiliśmy, więc obaj obserwować zachowanie się „celowego”. Podejrzenie nasze umocniło się, kiedy pewnej nocy „celowy” został wezwany na „górze” i nie wrócił do celi. Wrócił dopiero na trzeci dzień. Padały pytania towarzyszy z celi: „Co się stało, że tak długo nie było go w celi, czy był na przesłuchaniu tyle dni?” Odpowiedział: „Byłem w karczerze”. Dla potwierdzenia tego faktu zdjął marynarkę, która była zamoczona, a buty zabrudzone błotem. „Nowa bajka celowego”, powiedzieliśmy sobie. Kolega Różański stwierdził, że „celowy” na pewno otrzymał zadanie do wykonania w terenie. Po tym fakcie, jeżeli wypadek celowego się powtórzy, nosiliśmy się z zamiarem ostrzec pozostałych więźniów i podzielić się naszymi podejrzeniami. Długo nie czekaliśmy. Po kilku dniach nasz „celowy” wezwany na rzekome przesłuchanie, nie wrócił na noc do celi. Po powrocie opowiedział tą samą „bajkę”. My z kolegą Różańskim nie mieliśmy już wątpliwości, że nasz „celowy” jest na usługach U.B. Obserwowaliśmy naszych współwięźniów jak reagowali na te eskapady. Stosunek ich do „celowego” nie zmienił się, niektórzy nawet okazali współczucie dla niego z powodu przebywania w „karczerze”. Eskapady te powtarzały się od czasu do czasu. Z jednej z nich wrócił, oświadczając nam z uśmiechem, że w gmachu U.B. widział st. sierżanta straży więziennej, który wykonuje wyroki śmierci na więźniach politycznych, w bunkrze na ulicy 11 Listopada. Wiadomość tą przyjęliśmy jako kolejne zastraszanie więźniów czekających na wyroki. Postanowiliśmy zmienić swój pierwotny zamiar podzielenia się z więźniami o podejrzeniach, jakie wzbudzały zachowanie się „celowego”. Spowodowała to obawa, że poza „celowym” mogli być i inni, którzy za cenę ratowania życia mogli być na usługach U.B. Mieliśmy na to dowody zarówno w konspiracji jak i po wojnie w Polsce Ludowej. Mijał 9 miesiąc od mojego aresztowania i od ostatniego przesłuchania, na którym usiłowano wmówić we mnie sabotaż, w związku z oberwaniem się płyty na sali gimnastycznej w szkole na Mirowie (od tego przesłuchania upłynęło 3 miesiące).

Pewnej nocy zostałem wezwany „na górę”. Gdy wszedłem do pokoju, siedzący za biurkiem wskazał mi krzesło stojące przy biurku. Usiadłem zdziwiony. Na poprzednich przesłuchaniach siadałem na taborecie w kącie pokoju, ze skierowanym strumieniem oślepiającego światła z lampy stojącej na biurku przesłuchującego. Śledczy popatrzył na mnie, podniósł się zza biurka, otworzył drzwi wychodzące na korytarz, wychylił się na zewnątrz, wrócił, usiadł za biurkiem i po chwili odezwał się do mnie: „Źle pan wygląda, czy pan się źle czuje, jest pan chory? Od ostatniego przesłuchania bardzo się pan zmienił”.

Nie czekając na moją odpowiedź mówił dalej: „ja też źle się czuję, byłem w sanatorium, jestem chory na płuca, to są ostatnie dni mojej pracy w Urzędzie”. Patrzyłem na niego ze współczuciem i jednocześnie myślałem, po co on mi o tym mówi i do czego zmierza? Jeszcze raz podszedł do drzwi, wychylił się zwracając głowę w lewo i prawo, tak jakby sprawdzał czy ktoś nie podsłuchuje z korytarza. W całym gmachu panowała cisza. Kiedy usiadł ponownie za biurkiem, na zegarku znajdującym się na jego ręce zauważyłem, że jest godzina 1.30 w nocy. Śledczy nachylił się w moim kierunku i przyciszonym głosem powiedział: „Wezwałem pana nie na przesłuchanie”. Śledztwo w sprawie wypadku na sali gimnastycznej jest zakończone i nie ma ono nic wspólnego z pańskim aresztowaniem. Jest pan oskarżony o działalność konspiracyjną w AK w czasie okupacji. Śledztwo przeciw panu trwa od 1946 roku. Opinia Partii o nacjonalistycznych poglądach pana, kwalifikuje pana jako wroga Polski Ludowej, a wrogowie są likwidowani jak panu wiadomo. Czekają na pana losy tysięcy pańskich kolegów z AK, którzy już nie żyją”. Zapytałem, dlaczego mi to mówi. Odpowiedział: „Wezwałem pana po to, żeby to powiedzieć, proszę mi wierzyć, że czynię to z przykrością, mówię to, dlatego, żeby pan o tym wiedział, bo szkoda mi pana. Niech się pan ratuje. Moje dni są policzone, jestem nieuleczalnie chory”. Po tych słowach dostał ataku kaszlu, na jego czole zauważyłem spływające krople potu. Po chwili wstał, podał mi rękę i powiedział „proszę nie dzielić się tym z kolegami z celi”. Wyszedł na korytarz i wezwał strażnika, któremu kazał mnie odprowadzić. Po kilku minutach znalazłem się w celi. Tej nocy już nie zasnąłem. Byłem kompletnie załamany. Stwierdziłem, że „celowy” mówił prawdę o wykonywaniu wyroków na „akowcach” w bunkrze na 11 listopada. Na pobudkę wstałem chwiejąc się na nogach. Po apelu usiadłem w kącie celi, poczułem się źle, ból w piersiach i kołatanie serca. Myśl, że mogę tu umrzeć przerażała mnie. Koledzy otoczyli mnie pytając, co mi jest. Odpowiedziałem, że to serce. Kiedy otworzyły się drzwi celi a strażnik oznajmił przyniesienie śniadania, „celowy” powiedział strażnikowi, że w celi jest chory. Strażnik odpowiedział, że lekarz będzie po południu. Poproszono strażnika, żeby przyniósł coś na serce, strażnik przyniósł lek, który zażyłem. Poczułem się trochę lepiej. Rozłożono sennik, na którym położyłem się. Po południu strażnik zaprowadził mnie do lekarza więziennego. Po przyjęciu leku poczułem się trochę lepiej, ale przez kilka dni leżałem. Szykany przez długie lata, aresztowania, przesłuchania i pobyt w więzieniu UB w nieludzkich warunkach (bez świeżego powietrza, bez światła dziennego, przebywanie od 10 miesięcy w zatłoczonej i zarobaczonej celi, bez mycia) spowodowały poważny uszczerbek na moim zdrowiu i tak już nadszarpniętym przeżyciami w okresie okupacji w obozach jenieckich. Wszystko to musiało doprowadzić do takiego stanu, w jakim się znalazłem. Była to pierwsza i ostatnia wizyta u lekarza więziennego. Gdy już zażyłem leki, lekarz odmówił mi powtórzenia zarówno leków jak i wizyty. Stan mojego zdrowia z dnia na dzień pogarszał się. Po kilku dniach (po kolacji) wezwano mnie na „górze”. Byłem tak słaby, że strażnik musiał mi pomóc wejść na II piętro, gdyż o własnych siłach nie byłem w stanie nawet stać.

Byłem bardzo zdziwiony, kiedy strażnik minął mój pokój, do którego wprowadzano mnie na poprzednie przesłuchania. Zdziwienie moje spotęgowało się, kiedy znalazłem się w dużym pokoju, wysłanym dywanem. Stałem oparty o ścianę. W głębi pokoju za dużym biurkiem zastawionym telefonami, siedział starszy mężczyzna w wieku około 50 lat, brunet o semickim wyglądzie. Obok biurka siedziało dwóch mężczyzn o tym samym semickim wyglądzie. Przez kilkanaście sekund

przyglądali mi się, mówiąc coś do siebie przyciszonym głosem. Po chwili siedzący za biurkiem mężczyzna powiedział do stojącego za mną strażnika „proszę wyprowadzić”. Kiedy znalazłem się w celi, koledzy jeszcze nie spali i ze zadziwieniem zapytali dlaczego tak krótko. Odpowiedziałem, że byłem w innym pokoju i tu opisałem pokój i znajdujących się w nim mężczyzn. Na to „celowy”, który uważnie przysłuchiwał się mojemu opowiadaniu (znając dokładnie pomieszczenia w gmachu oraz władze Urzędu) powiedział: „Był pan w gabinecie Komendanta Wojewódzkiego Bezpieczeństwa a mężczyzną, który siedział za biurkiem był sam Szef Urzędu płk. Paszowski, pozostali to pewnie jego dwaj zastępcy” (tu wymienił nazwiska, których nie zapamiętałem). Jak powiedzieli koledzy, żaden z nich do tej pory nie doznał tego „zaszczytu” co ja. Koledzy różnie komentowali moją „wizytę” u Szefa U.B. Jedni mówili, że na pewno zostanę zwolniony, inni żartując mówili, że zostanę wywieziony na ulicę 11 Listopada na leczenie. „Celowy” znając zwyczaje w U.B. powiedział, że na pewno odbył się „sąd” i w ciągu tych kilku minut mojego tam pobytu zapadł na mnie wyrok, to nie znaczy, że będzie to wyrok śmierci, może być zwolnienie do domu. Ja pamiętając o mojej ostatniej rozmowie ze śledczym i jego ostrzeżeniu, byłem przekonany, że zbliża się koniec mojego pobytu w tej celi. Wśród współwięźniów zapanowała atmosfera strachu i współczucia dla mnie. Ja czułem się coraz gorzej. Do dolegliwości sercowych dołączyły się dolegliwości żołądkowe powodujące wysoką temperaturę. Od kilku dni nie przyjmowałem posiłków, tylko piłem zlewaną przez kolegów do mojej miski kawę. Wołanie współwięźniów o lekarza, strażnicy zbywali milczeniem. Pewnego rana, gdy strażnik otworzył drzwi celi przy podawaniu śniadania, koledzy blokując drzwi gwałtownie wyciągnęli mnie wraz z siennikiem na korytarz. Zbiegli się wszyscy „klawisze”, wezwano Naczelnika U.B. Po pół godzinie wyniesiono mnie na sienniku na dziedziniec, gdzie stał samochód z odkrytą skrzynią, na którą wrzucono mnie wraz z siennikiem. Siedzący na skrzyni strażnik na moje zapytanie gdzie mnie wiozą odpowiedział, że do szpitala. Po kilku minutach samochód zatrzymał się przed bramą więzienia na ulicy Gęsiej. Podczas jazdy leżąc w skrzyni samochodu zobaczyłem po 10 miesiącach błękit zimowego nieba. Mroźne i świeże powietrze orzeźwiło mnie na, tyle, że poczułem się lepiej. Gdy zajechaliśmy na miejsce, towarzyszący mi strażnik wraz z kierowcą znieśli mnie z samochodu a następnie zaprowadzili do budynku administracji więzienia. Tam posadzono mnie i po chwili wyszła z biura kobieta - strażnik, która zapytała mnie czy będę mógł iść. Odpowiedziałem, że postaram się, ale przedtem poprosiłem o wodę. Nadal miałem temperaturę.

Kobieta przyniosła mi kubek wody, którą wypilem, posiedziałem jeszcze chwilę i powiedziałem, że możemy iść. Kobieta wzięła mnie pod ramię i powoli poprowadziła w kierunku bloku piętrowego z zakratowanymi oknami. Na korytarzu więzienia (okazało się, że nie był to szpital jak mi powiedziano) przekazała mnie strażnikowi, oddając moje papiery. Na korytarzu strażnik kazał mi poczekać a sam wszedł do pomieszczenia na drzwiach, którego odczytałem napis „Naczelnik Więzienia”. Po chwili strażnik wyszedł, wzięł mnie pod ramię, otworzył jedno z żelaznych drzwi na korytarzu i lekko pchnął mnie do celi, zatraskując za mną drzwi. Znalazłem się w bardzo dużej celi. Gdy drzwi otworzyły się, więźniowie siedzący na betonowej posadzce zerwali się stając na baczność. Ja stałem kilkanaście sekund, opierając się plecami o drzwi. Stojący przede mną więźniowie patrzyli na mnie ze zdziwieniem. Po chwili podszedł do mnie mężczyzna oświadczając, że jest „celowym”. Wziął ode mnie mój

„węzełek” i zapytał skąd przybywam. Odpowiedziałem, że z „bezpieki” z Pałacu Mostowskich. Następnie wziął mnie pod ramię i poprowadził w kierunku dwóch łóżek, które były w celi ustawione jedno na drugim. Pomagając mi kazał mi się położyć na dolnym łóżku. Gdy leżałem, więźniowie otoczyli łóżko kołem i z nieukrywanym współczuciem patrzyli na mnie, co spowodowało prawdopodobnie mój wygląd (broda nieogolona od 10 miesięcy, nie przyjmowanie posiłków od kilku dni). Leżąc obserwowałem celę i więźniów. Jedni „spacerowali” środkiem dużej celi, od drzwi do zakratowanego okna wysoko umieszczonego inni siedzieli na betonowej posadzce pod ścianami. W jeden części celi stał wielki murowany piec z czerwonej cegły. Po środku tej części celi stał długi stół z desek nieheblowanych, a obok dwie długie ławy z desek. Na ścianie wisiała szafka z półkami, na których były ułożone jedna na drugiej, miski metalowe. W celi było dość widno – dwa małe okienka okratowane, w oknach nie było szyb. Dzięki temu powietrze w celi było znośne. Tylko podczas „kiblowania”, które odbywało się dwa razy dziennie (po śniadaniu i obiedzie), a które trwało kilka godzin (około stu więźniów w jednej celi) powietrze mimo otwartych okien było nie do zniesienia. Samo „kiblowanie” odbywało się w ten sposób, że więźniowie ustawiali się w kolejce ze spuszczoneymi spodniami tak by natychmiast po załatwieniu się jednego więźnia, drugi siadał na „kibel”. Czas „kiblowania” był ograniczony do kilku minut. Jeżeli, któryś z więźniów przekraczał ustalony czas, to „celowy” ściągał go z „kibla” i siadał następny. Były wypadki, że nowo przybyli więźniowie nieprzyzwyczajeni do wyznaczonego czasu, usiłowali wcześniej korzystać z „kibla”. W tych przypadkach celowy nieubłagany, z całą stanowczością egzekwował wyznaczony czas. Więźniowie, którzy nie wytrzymywali straszeni byli biciem deską, którą „celowy” okładał niezdyscyplinowanego więźnia, stawiając go przy tym pod ścianą na głowie. Po zakończeniu „kiblowania” - „kibel” wystawiano na korytarz. Z korytarza więźniowie (tzw. Kalifaktorzy) zabierali „kibel” do ubikacji więziennej, gdzie go myli i wnosili z powrotem do celi. Po kilku dniach poczułem się nieco lepiej, nie leżałem już tylko siedziałem na łóżku. Czułem, że temperatura obniżyła się.

Celowy czynił starania żeby mnie zabrano na Izbę Chorych, ale lekarz nie zgadzał się przed upływem okresu kwarantanny, która zgodnie z regulaminem więziennym miała trwać do 4 tygodni. Do tego czasu nie wolno było wychodzić z celi, nawet do lekarza. W celi robiło się coraz ciśniej. Codziennie przybywało dwóch do czterech aresztowanych „przestępców” z miasta. Tych nowoprzybyłych nazywano „amerykanami”, bo przeważnie przychodzili do więzienia z paczkami żywnościowymi, które celowy w połowie rekwirował dla siebie i swego zastępcy. Warto poświęcić kilka zdań dla opisu osoby „celowego”. Był to mężczyzna około 35-letni, atletycznej budowy, niski, krępy, rudy, z ostrzyżoną na jeża głową, o oczach pantery. Nie widziałem w swoim życiu takich oczu, były jasnobrązowe. Swoim wzrokiem terrorizował całą celę. Nigdy nie uśmiechał się. W stosunku do współwięźniów był bezwzględny. Więźniowie między sobą rozmawiali szeptem. Nieposłuszeństwo krnąbrnych więźniów egzekwował biciem deską, którą przechowywał w łóżku pod siennikiem. Nikt z więźniów nie ośmielił się sprzeciwić jego poleceniom. Nawet „klawisze” czuli przed nim respekt i bali się go. Przybył z ciężkiego więzienia we Wronkach, gdzie odsiadywał wyrok za zabójstwo swojej teściowej. Skazany był na 25 lat więzienia, za dobre sprawowanie zdjęto mu kilka lat. Do więzienia na „Gęsiówkę” przybył na kilka miesięcy przed zwolnieniem. Po kilkunastu latach pobytu w więzieniu,

człowiek ten zatracił całkowicie ludzkie cechy, stał się zwierzęciem w ludzkiej postaci. Poza swoim zastępcą (odsiadującym kilkuletni wyrok), człowiek ten nie rozmawiał z żadnym więźniem, poza przekleństwami. Cella była podzielona na trzy „sektory”. W pierwszym stały dwa łóżka piętrowe przeznaczone dla celowego i jego zastępcy, stół i ława. W drugim sektorze gnieździł się więźniowie, w dzień stojąc lub siedząc a w nocy śpiąc na betonowej posadzce. Trzeci sektor to wąskie przejście od drzwi celi do okna, zwane „trasą WZ”, po której w wolnych chwilach (między posiłkami i apelem) spacerowali więźniowie trójkami, na zmianę. Przy stole na ławach nikt poza celowym i jego zastępcą nie miał prawa siadać. Posiłki spożywali więźniowie siedząc na betonowej posadzce lub stojąc. Kiedy ja poczułem się lepiej, opuściłem pryczę zastępcy celowego i zająłem miejsce w pierwszym sektorze, razem z innymi więźniami. Byłem bardzo zdziwiony, kiedy celowy zwrócił się do mnie abym zajął miejsce przy stole. Od tego czasu spożywałem posiłki przy stole oraz mogłem siadać przy stole, kiedy tylko chciałem. Miejsce do spania celowy wyznaczył mi tam gdzie i on i jego zastępcą, przy piecu, w którym pomimo dużego mrozu nigdy nie paliło się. W ten sposób stałem się członkiem „elity” celi. Czasami godzinami grywałem z zastępcą celowego w warcaby, wykonane z razowego chleba. Celowy leżąc na pryczy przypatrywał się naszej grze. Upłynęło około trzech tygodni od mojego przybycia do celi, kiedy celowy zwrócił się do mnie, proponując mi spacer po celi. Spacerującym więźniom rozkazał zaprzestać spaceru. Ponieważ ja byłem jeszcze słaby i dłuższe chodzenie sprawiało mi trudności, celowy wziął mnie pod ramię, pomagając mi w ten sposób chodzić. Spacerowały te powtarzały się codziennie. Zauważyłem, że zaszła zmiana w psychice i zachowaniu celowego, był dla mnie bardzo uczynny.

Rozmawiał ze mną o swojej przyszłości po wyjściu na wolność. Spacerując zapewniał mnie, że jak wyjdzie na wolność zacznie nowe życie. Ja z kolei przyrzekłem mu, że jak wyjdę na wolność zaopiekuję się nim i pomogę mu w nowym życiu, angażując go na budowie. Na co on klękając przede mną przysięgał, że stanie się innym człowiekiem. Pewnego dnia, gdy wrócił do celi (miał prawo wychodzić na Oddział, strzygł i golił więźniów i klawiszy) powiedział mi, że lekarz przyrzekł mu, że za kilka dni pójdę na Izbę Chorych. I tak jak powiedział celowy, po kilku dniach znalazłem się na Izbie Chorych. Celowy codziennie odwiedzał mnie. Izba Chorych znajdowała się w suterenie budynku więziennego. Była to nieduża salka, z piętrowymi pryczami. Nie różniła się wiele od normalnej celi, a nawet oświetlenie światłem dziennym było gorsze. Małe okienka, zakratowane tuż nad powierzchnią. W minimalnym stopniu przepuszczało na salę światłoienne, co tworzyło na sali półmrok. Było nas 12-stu chorych więźniów, wszyscy leżący. Znajdujący się na sali mały, żelazny piecyk w minimalnym stopniu ogrzewał salę. Po grubych ścianach (pomalowanych na olejno w kolorze zielonym) spływały strużki wilgoci. Raz dziennie dyżurny lekarz (więzień) o specjalności ginekolog, zaglądał do nas i czasami przynosił jakieś pastylki, dla wszystkich chorych jednakowe. Obok naszej sali znajdował się gabinet dentystyczny. Warunki pobytu na Izbie Chorych (pomimo pewnych „mankamentów”) w porównaniu z poprzednią celą (kwarantanną) były dla mnie luksusowe, wręcz sanatoryjne. Spanie na łóżku, bez opieki, powietrze mimo wilgoci czyste. Pewnego dnia celowy (mój „przyjaciel”) przyszedł pożegnać się ze mną. Wychodził na wolność. Dał mi adres i prosił, że jak stąd wyjdę żebym go odwiedził. Niestety po kilku dniach dotarła do więzienia wiadomość, że nasz celowy został

zamordowany przed Hotelem „Polonia”. Była to prawdopodobnie zemsta byłych więźniów za doznane upokorzenia i znęcanie się nad nimi. Pewnego dnia lekarz – więzień, wizytując chorych powiedział mi, że do lekarza więziennego przyszło pismo z Prokuratury o wydanie opinii o moim stanie zdrowia. Dodał jeszcze, że na pewno zostanę zwolniony z uwagi na mój stan zdrowia. Od tego czasu upłynęło kilkanaście dni, a ja w dalszym ciągu leżałem na Izbie Chorych. W międzyczasie liczba chorych zmniejszyła się do dwóch. Zostałem ja i drugi więzień w starszym wieku. Po kilku dniach zostałem sam. Wreszcie przyszła kolej i na mnie. Przesłano mnie na Oddział, do celi na I piętrze. W tej celi siedzieli więźniowie o wyrokach, oczekujący na transport do innych więzień na terenie Kraju. Byli to więźniowie recydywiści, przeważnie zawodowi złodzieje o kilkuletnich wyrokach. W porównaniu z celą na parterze, w celi tej warunki były znośne. Każdy więzień miał swoją prycę, więźniowie byli wyprowadzani codziennie na pół godziny na spacer. Ponieważ ja w dalszym ciągu czułem się źle, nie wychodziłem z celi na spacer. Pewnego dnia strażnik otworzył celę i wywołał moje nazwisko oraz powiedział: „Wychodzić”. Kiedy wyszedłem na korytarz, drugi strażnik z pepeszą poprowadził mnie w kierunku wartowni przy bramie więzienia. Tu na ławce siedział więzień w wieku około 65 lat.

Strażnik wyjął z kieszeni kajdanki i nałożył na moją a następnie na drugą rękę więźnia i tak złączeni opuściliśmy bramę więzienia. Strażnik zdjął z ramienia „pepeszę” i wskazał kierunek, w którym mamy iść uprzedzając nas, że w przypadku ucieczki będzie strzelać. Szliśmy ulicą Gęsią w kierunku zachodnim, środkiem ulicy. Ponieważ ja byłem chory, szliśmy bardzo powoli. Strażnik od czasu do czasu ponaglał nas, popychając „pepeszą”. Na ulicy Gęsiej tylko prawa strona w kierunku zachodnim, była zabudowana (ocalała podczas likwidacji Getta). Były to zabudowania należące do więzienia. Po lewej stronie (poza kościołem) wychodziły z gruzów nowe bloki – przyszłe osiedle Muranów. Teren ten był odgrodzony wysokim ogrodzeniem. Przy jednym z bloków zauważyłem grupę ludzi, którzy na nasz widok stanęli, odwracając się w naszą stronę. W grupie tej poznałem kierownika budowy, z Muranowa (kolega), który również mnie poznał i krzyknął: „Trzymaj się stary”. Przeszliśmy jeszcze kilkaset metrów i zatrzymaliśmy się przed bramą, przy której stał strażnik więzienny. Po wejściu zorientowałem się, że jesteśmy na terenie szpitala więziennego. Przechodząc wzdłuż budynku zauważyłem więźniów wyglądających z zakratowanych okien szpitala. Po chwili znaleźliśmy się w poczekalni z zakratowanymi oknami. Strażnik zdjął mi kajdanki, a mój towarzysz ze zwisającymi kajdankami na ręce, usiadł na ławce. Po kilku minutach strażnik w białym kitlu wprowadził mnie do gabinetu lekarskiego, a następnie do małej poczekalni, gdzie sanitariusz kazał mi rozebrać się do pasa i czekać. Na drzwiach, przed którymi siedziałem zauważyłem napis „Rentgen”. Pomyślałem, że chcą mi prześwietlić płuca, widocznie podejrzewają mnie o gruźlicę. Nie myliłem się, po chwili znalazłem się w pomieszczeniu zaciemnionym i stanąłem prze aparatem. Po prześwietleniu kazano mi się ubrać i ponownie znalazłem się w poczekalni, gdzie siedział mój „towarzysz” i strażnik, który nas przyprowadził. Strażnik założył mi na rękę moją część kajdan, po czym siedliśmy obaj na ławie. Czekaliśmy kilkadziesiąt minut. Następnie sanitariusz wręczył strażnikowi dużą kopertę. Domyślałem się, że jest to wynik mojego prześwietlenia i badań. Po chwili opuściliśmy teren szpitala i udaliśmy się w drogę powrotną do więzienia. Upłynęło kilka tygodni od mojej wizyty w szpitalu. W celi więźniowie

po rozprawach sądowych byli wywożeni do innych więzień, a na ich miejsce przychodzili nowi. Nadeszło przedwiośnie, poczułem się lepiej, zacząłem wychodzić na spacer. Przedwiosenne powietrze i słońce przywracały mi siły. Pewnego dnia jak „piorun z jasnego nieba” spadła na nas wiadomość, która rozeszła się po celach. „Stalin nie żyje!”. Wiadomość tę przyjęli więźniowie z wielką radością i okrzykami „hurra”. Naczelnik więzienia i strażnicy byli wściekli. Biegali po korytarzu i celach, wrzeszcząc uciszali wiwatujących więźniów. Jeszcze tego dnia kilku strażników wtargnęło do naszej celi, demolując ją. Pod pozorem szukania ostrych narzędzi, wyrzucali z senników słomę, co spowodowało niesamowity kurz, który uniemożliwiał oddychanie. Ostatni z opuszczających celę strażnik z wściekłością kopnął pełny „kibel”, wylewając całą jego zawartość na podłogę. Patrzyliśmy na to przez chwilę jak zahipnotyzowani.

Po chwili stek przekleństw i wyzwisk wyrzuciło z siebie kilkunastu więźniów pod adresem strażników. Smród z wylanego „kibla” i kurz z wyrzuconej słomy, spowodowały takie zagęszczenie powietrza celi, że nie było, czym oddychać. Nieduże okno zakratowane i zasłonięte blachą w nikłym stopniu niwelowało panujący w celi „fetor”. Kiedy kurz z rozprutych sienników zaczął opadać, zobaczyliśmy zakurzone i brudne swoje twarze. Widok ten spowodował histeryczny śmiech więźniów, a kiedy po kilku minutach kurz osiadł, oczy wszystkich zwróciły się ponownie na przewrócony „kibel”. Znowu posypały się przekleństwa na „klawiszy”, a do sprzątania nikt z więźniów nie kwapił się. Dopiero celowy (stary kryminalista), który do tej pory przodował w przekleństwach przypominał sobie, że jest odpowiedzialny za porządek w celi, powiedział „panowie dość śmiechu, trzeba wziąć się za sprzątanie celi, klawisze tego za nas nie zrobią”. Następnie wyznaczył do uprzątnięcia celi kilku najmłodszych więźniów, a pozostali zgarnęli rozrzuconą słomę i napychali senniki. Na końcu trzeba było zmyć posadzkę. Więźniowie przynieśli cały „kibel” wody, rozlali ją na celę, po czym ścigali wodę i bród zniszczonymi kocami. Po kolacji celowy, już spokojny powiedział: „Byłem w wielu więzieniach, ale takiego „kipiszu” nie widziałem, był super”. Po tym wydarzeniu w celi nic szczególnego się nie działo. Od mojego aresztowania upłynęło 11 miesięcy. Z domu nie miałem żadnej wiadomości (nie było widzeń, ani listów). Pewnego popołudnia zostałem wywołany na korytarz, gdzie czekał na mnie „klawisz”, który zaprowadził mnie do budynku Zarządu Więzienia. W pokoju, do którego mnie wprowadził zobaczyłem siedzącego za stołem nieznanego mi mężczyznę – cywila, który po odprawieniu strażnika powiedział mi, że jest z Urzędu Bezpieczeństwa z Pałacu Mostowskich. Wyjął z teczek arkusz papieru i powiedział: „śledztwo jest już zakończone”. Podsunął mi arkusz, podał pióro i wskazał palcem gdzie mam podpisać. Wziąłem papier do ręki z zamiarem przeczytania, ale on zaprotestował zabierając mi arkusz powiedział: „co wam da czytanie?”. Rzeczywiście, pomyślałem, co mi to da. „Podpisujcie, bo mi się spieszy” – powiedział. Wziąłem pióro i bez czytania podpisałem. „Ubek” włożył papier do teczek, wezwał strażnika i powiedział: „Odprowadzić do celi”. Po przyjsciu do celi (było już po apelu) położyłem się na łóżku i długo myślałem: „co było w tym protokole, dlaczego nie dano mi go do przeczytania przed podpisaniem, co będzie dalej, może mnie zwolnią?”. Po kilku dniach wezwano mnie ponownie do Zarządu Więzienia. Bardzo się zdziwiłem, kiedy w pokoju przeznaczonym do widzeń zobaczyłem mecenasa Śliwińskiego, który był moim sąsiadem i dobrym znajomym. Po przywitaniu się ze mną powiedział, że moja żona zleciła mu moją obronę na procesie,

który ma się odbyć za dwa dni w Sądzie Wojewódzkim w Warszawie. Powiedział mi, że jestem oskarżony o brak nadzoru na budowie Osiedla Mirów, jako Dyrektor Oddziału – Zarządu Budowlanego. Byłem zaskoczony i zdziwiony jego oświadczeniem. Zapytałem o żonę i dzieci. Odpowiedział, że żona pracuje a dzieci są zdrowe.

W dalszej rozmowie, mecenas Śliwiński powiedział, że sprawa jest zagmatwana. „Przeglądałem akta pańskiej sprawy i doszedłem do wniosku, że nie będę mógł podjąć się pańskiej obrony”. Zapytałem - „dlaczego?”. Na to on mi powiedział: „Sprawa ma aspekt polityczny. Opinia U.B. o pańskiej działalności w A.K. podczas okupacji jest dla pana poważnym oskarżeniem. Poza tym jest opinia Partii PZPR, że jest pan wrogiem Polski Ludowej, obcy klasowo, nacjonalista. Chyba zdaje pan sobie sprawę, że taka opinia w obecnych czasach równa się karze śmierci. Dziwię się, że pan jeszcze żyje z taką opinią”. Odpowiedziałem: „Panie mecenasie skoro żyję to nie jest jeszcze tak źle”. Opowiedziałem w streszczeniu o swoich perturbacjach w Polsce Ludowej po powrocie z obozu jenieckiego. Mecenas z uwagą wysłuchał i powiedział: „Panie Stanisławie, podejmuję się obrony, ale nie gwarantuję pomyślnego dla pana zakończenia sprawy”. Odpowiedziałem: „Mecenasie, ja również nie jestem takim optymistą, ale proszę spróbować”. „Dobrze”- powiedział, po chwili dodał: „Jeżeli się pan zgodzi to wezmę do pomocy mojego przyjaciela, znanego adwokata - Nowakowskiego”. „Zgadza się”- odpowiedziałem. Ponieważ widzenie z adwokatem przedłużało się, stojący na korytarzu strażnik już dwukrotnie zaglądał do pokoju, pokazując na zegarek, że czas widzenia został przekroczony. Mecenas podniósł się z ławy, popatrzył na mnie z nieukrywanym współczuciem, powiedział: „bardzo źle pan wygląda, niech pan się trzyma, do zobaczenia w sądzie”. Poprosiłem jeszcze o pozdrowienie mojej żony i dzieci, następnie on wyszedł. Strażnik odprowadził mnie do celi. Było już późno, więźniowie spali. Położyłem się na pryczy i długo rozmyślałem o tym, co mi powiedział adwokat. Opinia Partii, że jestem wrogiem Polski Ludowej, obcy klasowo, nacjonalista! Skoro byłem wrogiem to, dlaczego powierzono mi dwukrotnie stanowisko dyrektora. Takie stanowiska były zatwierdzane wyłącznie przez Komitet Warszawski Partii. Widocznie Partia darzyła mnie zaufaniem, skoro otrzymywałem dyplomy uznania, Złotą Odznakę Odbudowy Stolicy, Przewodnika Pracy i inne dowody uznania za moją pracę. Ale dla reżimu stalinowskiego i dla „bezpieki” nie miało to widocznie znaczenia. Przypomniałem sobie jak po aresztowaniu, podczas przesłuchania w U.B., kiedy zarzucono mi sabotaż na budowie szkoły, powoływałem się na opinię Partii, a ta Partia swoją opinię wydała na mnie już w tym czasie wyrok. O ironio, jaki ja byłem naiwny. Teraz dopiero zrozumiałem, że opinia ta była wydana na polecenie U.B. Partia w tym okresie nie miała żadnego autorytetu. Oskarżenie Informacji i U.B. dotyczące mojej działalności konspiracyjnej A.K. i wydana opinia Partii wystarczyły w moim przypadku na likwidację w okresie stalinowskim. Adwokat Śliwiński nie przesadzał, dziwiąc się, że jeszcze żyję. Przypominałem sobie ostatnią rozmowę z „ubekiem”, że czeka mnie taki sam los jak tysiący moich towarzyszy z AK. A moja wizyta u szefa UB i jego pomocników była dla mnie sądem, gdzie na pewno zapadł wyrok. Miałem szczęście w nieszczęściu. Moja długa choroba w więzieniach pokrzyżowała plany zlikwidowania mnie. Prawdopodobnie w tym czasie ciężko chorych wrogów nie uśmiercano. Uważano, że choroba sama mnie wykończy.

Świadczył o tym stosunek lekarza w U.B., który odmówił mi pomocy lekarskiej. Zamiast do szpitala więziennego zawieziono mnie, ciężko chorego do więzienia, gdzie w warunkach urągających godności ludzkiej, przetrzymywano mnie kilka tygodni bez żadnej pomocy. W więzieniu na skutek prośby celowego-psychopaty, którego wszyscy się bali (z lekarzem więziennym na czele), przyjęli mnie na Izbę Chorych, ale tylko do czasu, kiedy w więzieniu przebywał celowy. Po jego odejściu natychmiast wypisano mnie z Izby Chorych, przesyłając do zatłoczonej celi. Ale ja wbrew swoim prześladowcom jeszcze żyłem i czułem się coraz lepiej. Teraz za dwa dni miała się rozegrać ostatnia runda w Sądzie, decydująca o moich dalszych losach. Po rozmowie z adwokatem zaświtała mi nadzieja, że w Sądzie sprawa mojej odpowiedzialności za brak nadzoru zostanie wyjaśniona, po przedłożeniu zaświadczeń lekarskich i zwolnień związanych z pobytem w sanatorium, oraz zaświadczenia z leczenia w Głównej Poradni Zdrowia Psychicznego. Dowody te stwierdzały jednoznacznie moją nieobecność w pracy. Po trzymiesięcznej nieobecności zostałem zwolniony z pracy. Następnie zostałem zatrudniony w innym przedsiębiorstwie przy odbudowie Starego Nowego Miasta, również na stanowisku Dyrektora Zarządu Budowlanego, gdzie pracowałem kilka miesięcy, do chwili aresztowania. O aferze na Muranowie dowiedziałem się po powrocie z sanatorium. Od tego czasu upłynęło 18 miesięcy. Ponadto w okresie mojego 12-miesięcznego pobytu w więzieniu nie byłem przesłuchiwany na okoliczność oskarżenia mnie o brak nadzoru na Osiedlu Mirów. Było dla mnie jasne, że sprawa w Sądzie, która miała się odbyć za dwa dni, bez dostarczenia mi aktu oskarżenia oraz dołączenia do procesu innych oskarżonych, miała na celu usankcjonowanie mojego pobytu w U.B. i w więzieniu przez 13 miesięcy. I taka okazja się nadarzyła. Nie miałem najmniejszych wątpliwości, że zostanę skazany, taka była wola U.B. Trudno było tylko przewidzieć na ile lat. Pocięczałem się tym, że za brak nadzoru (gdyby zostało mi udowodnione) nikt jeszcze w Polsce Ludowej nie został skazany na karę śmierci. Zgodnie z zapowiedzią mojego adwokata, w dniu wyznaczonym na rozprawę strażnik wywołał mnie z celi i zaprowadził do magazynu, gdzie wydano mi ubranie więzienne. Do tej pory byłem ubrany w swoje ubranie cywilne, co oznaczało, że dotąd byłem więźniem politycznym podległym U.B., czasowo wywiezionym na „leczenie” do więzienia na „Gęsiówkę”. Oznaczało to również, że w każdej chwili mogę wrócić do U.B., jeżeli stan mojego zdrowia ulegnie poprawie. Stan mojego zdrowia nie polepszał się, a raczej pogarszał, co prawdopodobnie potwierdziły wyniki badania w szpitalu. W tej sytuacji U.B. zrezygnował z dalszego przesłuchiwania i śledztwa, przygotowując nowe oskarżenie o brak nadzoru i kierując moją sprawę do Sądu Wojewódzkiego (załączając spreparowane oskarżenia i spreparowaną na życzenie U.B. opinię).

Nadszedł dzień rozprawy sądowej. Rano po śniadaniu zostałem wywołany na korytarz, gdzie fryzjer ostrzygł mnie na „łysą pałę” i ogolił. Strażnik założył mi kajdanki i zaprowadził przed bramę więzienia, gdzie już stał samochód „suka”.

W samochodzie było już kilku więźniów i jeden strażnik z „pepeszą”. Drugi strażnik wszedł za mną, zatrzasnął drzwi po czym samochód ruszył ulicą Gęsią. Po kilku minutach samochód zatrzymał się, strażnik otworzył drzwi. Przez otwarte drzwi zobaczyłem grupę więźniów, którzy popychani przez strażników znaleźli się w „Suce”. W samochodzie zrobiło się tak ciasno, że nie można było się ruszyć. Zapytałem szeptem przyciśniętego do mnie i oddychającego prosto w moje ucho więźnia – „skąd

jedziecie?”. Odpowiedział „z obozu na Gęsiówce”. Zdziwiłem się, bo o takim obozie po wyzwoleniu nie słyszałem. Wiedziałem, że w czasie okupacji był na „Gęsiówce” obóz przejściowy dla Żydów, a następnie dla jeńców radzieckich, ale że w tym obozie przybywają Polacy to nie wiedziałem. Po kilku minutach samochód zatrzymał się, strażnik otworzył drzwi i krzyknął: „Wysiadać!”. Po wyjściu z samochodu stwierdziłem, że jesteśmy na tyłach gmachu Sądu, od strony ulicy Ogrodowej. Na dziedzińcu Sądu czekała grupa milicjantów, którzy wyczytywali nazwiska więźniów i wprowadzali do gmachu Sądu. Trwało to kilkanaście minut. Stałem i czekałem, kiedy zostanie wywołane moje nazwisko, nagle poczułem, że ktoś dotknął moje ramię. Obejrzałem się, za mną stał więzień, którego w pierwszej chwili nie poznałem (wszyscy byli w szarych bluzach i czapkach więziennych, wyglądaliśmy jednakowo). Powiedział do mnie: „Jak się masz Stachu? Co ty tu robisz? Słyszałem, że siedziałeś w Urzędzie Bezpieczeństwa Pałacu Mostowskich”. Dopiero po głosie poznałem, był to mój kolega po fachu, inżynier A.F. Dowiedziałem się od niego, że odsiaduje wyrok na „Gęsiówce” za brak nadzoru przy budowie Osiedla Młynów, gdzie był Dyrektorem Zarządu. Wiedziałem o tym, że był aresztowany i osądzony kilka lat przede mną. Ponieważ strażnik ponaglał go, zdążył tylko powiedzieć, że jest w obozie pracy „niewolniczej” na Gęsiówce, jest Głównym Inspektorem Nadzoru w obozie. „Jeżeli trafisz do obozu to szukaj mnie, mam dla ciebie dobrą robotę, trzymaj się Stachu” – zawołał, oddalając się w stronę gmachu Sądu. Po odejściu kolegi pomyślałem: „Jeszcze tylko nie byłem w obozie pracy przymusowej w Polsce Ludowej”. Wyczytane przez milicjanta moje nazwisko, przerwało moje rozmyślenia. Po kilku minutach znalazłem się w Sądzie. Milicjant wprowadził mnie do pokoju z zakratowanym oknem, zamykając za mną drzwi na klucz. W pokoju byłem sam. Upłynęło około pół godziny, kiedy milicjant otworzył drzwi i powiedział: „Wychodzić”.

Na salę sądową zostałem wprowadzony bocznym wejściem. Po zajęciu miejsca na ławach oskarżonych (z towarzyszącym mi obok milicjantem) rozejrzałem się po dużej sali. Sala była już całkowicie wypełniona ludźmi. Na pierwszej ławie dla publiczności zobaczyłem moją żonę, która dawała mi niezrozumiałe dla mnie znaki, przy tym smutnie, ze łzami w oczach uśmiechała się do mnie. Na dalszych ławach siedzieli: mój ojciec, bracia, koledzy z pracy, znajomi. Na ławach oskarżonych po drugiej stronie zobaczyłem dwóch moich byłych kierowników i wielu innych oskarżonych, których znałem tylko z widzenia np. Dyrektora Oddziału z Muranowa inż. K. Po chwili na salę weszło kilku adwokatów w togach, którzy zajęli miejsca w ławach obrońców. Woźny zapowiedział „sąd idzie, proszę wstać”.

Za sędzią, (którego rozpoznałem po zwisającym mu na piersi „godle państwowym”) weszło kilku mężczyzn, wśród nich prokurator. Po zajęciu miejsc, sędzia przystąpił do odczytania listy oskarżonych oraz aktów oskarżenia. Trwało to około czterech godzin. Następnie sędzia zapowiedział, że dalszy ciąg rozprawy odbędzie się w dniu jutrzejszym, podając godzinę. Publiczność opuściła salę rozpraw, a oskarżonych wyprowadzono na dziedziniec, gdzie czekały samochody „Suki”, ze strażnikami więziennymi. Po powrocie do więzienia mogłem spokojnie przemyśleć wydarzenia minionego dnia, a szczególnie akt oskarżenia odczytany przez Sędziego. Z aktu oskarżenia dowiedziałem się, że cała „afeta” miała miejsce na budowie Osiedla Muranów. Ekipa mierników-geodetów, która służbowo podlegała Dyrektorowi Oddziału Budowy Osiedla Muranów, dokonywała pomiarów hałd gruzu na

wszystkich Osiedlach podległych Dyrekcji Budowy Osiedli Robotniczych tj. na Muranowie, Młynowie i Mirowie. Ekipa ta sporządzała dokumentację z pomiarów. Na podstawie tej dokumentacji Kierownicy poszczególnych Osiedli zlecali wywózkę (na podstawie przetargów) – wozakom i prywatnym przewoźnikom. Kierownicy z personelem pomocniczym kontrolowali wywózkę, zgodnie z dokumentacją sporządzoną przez ekipę mierników i podpisywali wystawione przez przedsiębiorców rachunki. Ponadto inspektorzy nadzoru inwestorskiego jeszcze raz sprawdzali i podpisywali wystawione rachunki. Formalnie było wszystko w porządku. Na czym więc polegało przestępstwo? Otóż kierownicy weszli w układy z wozakami i miernikami, którzy zawyżali obmiary gruzu, a za nadwyżkę kierownicy brali pieniądze od przewoźników i dzielili się z miernikami. Takie było oskarżenie, odczytane przez Sędziego. Na ławie oskarżonych zasiedli:

1. Dyrektor Oddziału Muranowa, któremu podlegała ekipa geodetów,
2. Główny Inżynier Geodeta oraz dwóch jego pomocników,
3. Czterech Kierowników „odgruzówki”, w tym dwóch z Mirowa,
4. Czterech wozaków – przedsiębiorców,
5. Dwóch Inspektorów Nadzoru Inwestorskiego (z wolnej stopy),
6. Ja, jako były Dyrektor Zarządu Budowy Osiedla Mirów – za brak nadzoru (dołączony do procesu z powodów wyżej podanych).

Razem na ławie oskarżonych zasiadło 15 osób. Z uwagi na dużą ilość oskarżonych, był to proces tzw. „pokazowy”. Każdy oskarżony miał obrońcę. Ponadto Sąd powołał kilku biegłych sądowych. W pierwszym dniu rozprawy, na wniosek obrońcy oskarżonego Dyrektora Oddziału z Muranowa, powołany został biegły psychiatra z Przychodni Zdrowia Psychicznego w Warszawie. Nazajutrz po śniadaniu, jak było zapowiedziane, zawieziono mnie do Sądu na drugi dzień rozprawy. Przed rozpoczęciem rozprawy wezwano Dyrektora K. na zaplecze Sali sądowej. Po kilkunastu minutach Dyrektor ten wyszedł w towarzystwie swego obrońcy i swojej żony, z zaplecza i opuścił salę sądową. Byłem zaskoczony, kiedy usłyszałem swoje nazwisko wypowiedziane przez woźnego, wzywającego mnie do sali posiedzeń Sądu na zaplecze.

Gdy wszedłem do pokoju sędziowskiego stwierdziłem, że poza sędzią, prokuratorem, ławnikami i sekretarką, siedzą jeszcze przy dużym stole dwie osoby, mężczyzna i kobieta. Po moim wejściu mężczyzna siedzący przy stole (wydał mi się znajomy) wskazał mi krzesło, po czym otworzył leżącą przed nim teczkę, w której zobaczyłem mały plik papierów. Mężczyzna ten przeczytał je, a następnie zwrócił się do mnie z pytaniem: „Czy pan leczył się w Poradni Zdrowia Psychicznego?”. Odpowiedziałem, że tak, od 1950 roku do chwili aresztowania mnie przez Urząd Bezpieczeństwa. Następnie padło pytanie jak długo przebywam w więzieniu. Odpowiedziałem, że w Urzędzie Bezpieczeństwa od 9 maja 1951 r. do stycznia 1952 r., a następnie w więzieniu do chwili obecnej. Popatrzył na mnie. Teraz dopiero go poznałem, był to Profesor dr Zajączkowski – Dyrektor Poradni Zdrowia Psychicznego przy ulicy Chocimskiej, której byłem pacjentem. Podeszedł do mnie i rozpoczął rutynowe badanie dla chorych na psychonerwicę. Następnie kobieta lekarz, towarzysząca profesorowi podeszła do mnie i prosząc mnie o rozebranie się do pasa, przystąpiła do badania płuc i serca. Podczas badania, obecni w pokoju sędzia, prokurator i ławnicy zachowując ciszę obserwowali mnie z

uwagą. Gdy się już ubrałem, sędzia zwrócił się do stojącego przy drzwiach woźnego słowami: „Proszę odprowadzić oskarżonego na salę”. Gdy zająłem miejsce przy swoim „opiekunie” – milicjancie, podszedł do mnie mój obrońca a ja zapytałem go czy składał wniosek o zbadanie mnie przez psychiatrę. Odpowiedział, że zgodnie z moim życzeniem wyrażonym podczas widzenia, załączył do mojego aktu oskarżenia wszystkie zaświadczenia lekarskie, m.in. zaświadczenie z Przychodni Zdrowia Psychicznego. Korzystając z obecności biegłych lekarzy na rozprawie, złożył sędziemu wniosek o zbadanie mnie. Sędzia przychylił się do tego wniosku. Adwokat powiedział do mnie: „Wątpię, czy to badanie będzie miało wpływ na oskarżenie, należy wykorzystać wszystkie atuty, jakimi dysponujemy”. Po czym zajął miejsce na ławie dla obrońców. Po chwili woźny zapowiedział wejście Sądu na salę. Rozpoczął się drugi dzień rozprawy. Ponieważ pierwszy oskarżony w tym procesie, dyrektor z Muranowa został zwolniony ze sprawy po orzeczeniu biegłych lekarzy, Prokurator rozpoczął swoje oskarżenie gł. geodety i jego pomocników, kierowników budowy, przewoźników, inspektorów nadzoru i na końcu przeciw mnie. Oskarżenie dotyczące mojej osoby trwało najkrócej i ograniczyło się do stwierdzenia, że jako Dyrektor Zarządu Budowy Osiedla Mirów zaniedbałem swoje obowiązki jako przełożony oskarżonych kierowników. Prokurator w swoim wystąpieniu pominął fakt mojej długotrwałej choroby, zmiany pracy jak również sprawę mojego 10 – miesięcznego pobytu w U.B., w czasie, którego zaistniało przestępstwo. Prokurator kończąc swoje oskarżenie, zażądał dla oskarżonych kary więzienia w wymiarze:

1. dla inż. Geodety kierownika ekipy – 6 lat
2. dla kierowników budowy – po 6 lat
3. dla przewoźników – po 3 lata
4. dla inspektora nadzoru inwestorskiego – 2 lata z zawieszeniem
5. dla mnie – 4 lata więzienia.

Po wystąpieniu prokuratora wypowiedzieli się biegli sądowi, którzy poparli oskarżenie prokuratora. Następnie kolejno zabrali głos obrońcy, po czym z uwagi z późną porą Sąd ogłoszenie wyroków przełożył na dzień następny. Był to trzeci dzień rozprawy sądowej. Po posiedzeniu Sądu, które trwało około dwóch godzin ogłoszono wyroki:

1. inż. Geodeta- kierownik ekipy i jego pomocnicy – po 4 lata
2. kierownicy i technicy – po 4 lata
3. przewoźnicy – po 3 lata
4. inspektorzy nadzoru – po 2 lata, z zawieszeniem kary na 2 lata
5. ja – na 2 lata więzienia, z zaliczeniem okresu przebywania w U.B. i w więzieniu.

Przy tym wyrok nie był prawomocny, z prawem apelacji w Sądzie Najwyższym. Po ogłoszeniu wyroków, mój obrońca oświadczył mi, że natychmiast wystąpi do Sądu Najwyższego o rewizję wyroku oraz o zezwolenie na widzenie z żoną. Po powrocie do więzienia dowiedziałem się, że więźniowie z mojej celi mają być wywożeni do zakładów na terenie całej Polski. (Więzienie na ulicy Gęsiej było więzieniem śledczym). Zastanawiałem się, gdzie oni mnie wywiozą na „odsiadkę” reszty wyroku. Niedługo czekałem. Pewnego dnia rano, po śniadaniu „klawisz” otworzył drzwi celi i powiedział:

„Wszyscy wychodzić, zabrać swoje rzeczy”. Wyprowadził nas na dziedziniec więzienny, gdzie już czekało kilku strażników oraz samochody. Ustawieni w szeregu czekaliśmy. Po kilku minutach zjawił się Zastępca Naczelnika Więzienia, wyczytując z listy nazwiska więźniów, z podaniem miejsca transportu. Po wyczytaniu mojego nazwiska, zastępca naczelnika powiedział krótko: „Obóz Pracy Gęsiówka”. Stojący obok strażnik odprowadził mnie na bok. Po dołączeniu mnie do jeszcze trzech więźniów, strażnik poprowadził nas w kierunku Zarządu Więzienia. Po kilkunastu minutach strażnik wyszedł z biura, podszedł do nas i bez słowa założył nam kajdanki: mnie na jedną rękę i stojącemu obok mnie więźniowi na drugą rękę, to samo uczynił dwóm pozostałym więźniom. I tak złączeni wyszliśmy w kierunku bramy. Przed bramą więzienną eskortujący nas strażnik okazał stojącemu przy bramie strażnikowi papiery, po czym ten otworzył bramę i znaleźliśmy się na ulicy Gęsiej. Strażnik zdjął z ramienia „pepeszę” i powiedział do nas „nie próbujcie uciekać”. Niedługo trwał nasz spacer do obozu. Po wejściu do obozu, strażnik zaprowadził nas do budynku Zarządu Obozu, po chwili wyszedł, zdjął nam kajdanki i przekazał nas strażnikowi z obozu.

Pobył w Obozie Pracy Niewolniczej P.R.L.

Strażnik zaprowadził nas na wielką salę, w której w kilku rzędach ustawione były zasłane kocami łóżka. Łóżka oznaczone były tabliczkami, na których wypisane były nazwiska więźniów. Na każdym łóżku leżała miska metalowa. Strażnik wyznaczył nam cztery wolne łóżka z pełnym wyposażeniem tzn. miska z łyżką, siennik wypchany słomą oraz podgłówek również wypchany słomą. Strażnik wypisał nasze nazwiska na kartce i wetknął je w żelazną ramkę tabliczki na przodzie łóżka. „Dzisiaj macie wolne, a jutro zostaniecie przydzieleni do brygad pracy na terenie obozu” powiedział strażnik i wyszedł. Znajdowaliśmy się w wysokim kilkupiętrowym gmachu z oficynami, odgrodzonym wysokim ogrodzeniem z drutu kolczastego, na wysokich słupach żelbetowych. W gmachu tym mieścił się Zarząd Obozu, pomieszczenia dla więźniów, kantyna i kuchnia. Na teren obozu wchodziło się przez bramę od ulicy Gęsiej, przy której stał wartownik. Doszliśmy do bramy, strażnik zatrzymał nas pytając gdzie chcemy iść. Odpowiedzieliśmy, że jesteśmy nowi, chcieliśmy wejść na teren obozu i zobaczyć z bliska. Strażnik powiedział: „Ten obóz to nie Park Łazienkowski, gdzie można spacerować, tu się pracuje”. Odchodząc popatrzyliśmy z daleka na obóz, nad którym unosiła się chmura czerwonego pyłu. Ponieważ zbliżało się południe, postanowiliśmy wejść do gmachu na naszą kwaterę. Punktualnie o godzinie 12.00 zawyły syreny i niebawem pierwsze grupy więźniów wpadały na salę. Patrzyliśmy z przerażeniem na tych półnagich ludzi, ociekających potem (był maj) i twarzach umazanych czerwoną mazią. Wszyscy wpadli do sali – umywalni i splukiwali swoje ciała zimną wodą z kranów. W tym czasie wnoszono na salę kotły z zupą, o niesamowitym „zapachu”. Więźniowie, już umyjni stawiali natychmiast w kolejce do kotła, z którego dyżurni więźniowie nalewali do misek po jednej chochli cuchnącej zupy, którą zjadano siedząc na łóżkach. Po zjedzeniu zupy splukiwano pod kranami miski, następnie więźniowie padali na swoje łóżka potwornie zmęczeni, by chwilę odpocząć. Po kilkunastu minutach zawyły syreny i więźniowie w pośpiechu opuszczali salę, biegnąc do pracy. Przerwa obiadowa trwała zaledwie pół godziny. W tym czasie my siedzieliśmy na swoich łóżkach, w przygnębieniu patrząc na to,

co się przed chwilą działo. Ponieważ byliśmy głodni, przypomnieliśmy sobie, że trzeba spróbować tej zupy. Nałożyliśmy do misek pozostałe w kotle resztki zupy. Była to kapusta kiszona, kwaśna i gorzka, z pływającymi kawałkami jelit zwierzęcych (cuchnących), nienadająca się jako potrawa dla ludzi, a tym bardziej dla ludzi ciężko pracujących. Zastanawialiśmy się jak ci więźniowie mogli zjeść tę zupę i pracować ciężko po takim posiłku. Jeden z przybyłych z nami więźniów (straszy od nas) powiedział: „Panowie to jest obóz koncentracyjny, ja byłem w niemieckim obozie koncentracyjnym trzy lata”. Nie dokończył swojej wypowiedzi, gdyż do sali wszedł strażnik obozowy, kierując się w naszą stronę. Na jego widok wstaliśmy z łóżek. Podszedł do nas i zapytał: „Co wy tu robicie, dlaczego nie pracujecie w obozie?”.

Odpowiedzieliśmy, że dzisiaj przywieziono nas z więzienia. Popatrzył na nas groźnym wzrokiem i bez słowa wyszedł z sali. Po wyjściu strażnika usiedliśmy na swoich łóżkach. Jeden z najmłodszych więźniów zwrócił się do więźnia, który zaczął opowiadanie o niemieckim obozie koncentracyjnym i powiedział: „Mówił pan, że siedział trzy lata w niemieckim obozie koncentracyjnym. Ja mieszkam z rodzicami dwie ulice dalej stąd. Mój ojciec opowiadał mi, że w tym obozie za okupacji był też obóz koncentracyjny. Ja nie pamiętam, bo byłem małym chłopem, ale ojciec mówił, że ten obóz w czasie Powstania nie był zniszczony. Ten budynek, w którym jesteśmy to przedwojenna fabryka papierosów tzw., „tytoniówka”. Mój ojciec tu pracował. Po Niemcach zostały nawet baraki, ogrodzenie i wieże strażnicze. Tak więc nie mylił się pan mówiąc, że to jest obóz koncentracyjny, tylko jest on pod innym zarządem. Był pod zarządem faszystów, hitlerowców, a obecnie jest pod zarządem komunistów, stalinowców a to na jedno wychodzi” – zakończył młody więzień. Jak na te czasy była to wypowiedź bardzo odważna, jeśli nie prowokacyjna. Patrzyliśmy na młodego człowieka z podziwem. Jeden z więźniów, o wyglądzie chorego człowieka powiedział: „Panowie, jeśli będą nas karmić taką śmierdzącą zupą i zmuszą do ciężkiej pracy, to ja po miesiącu wykończę się, jestem chory, mam owrzodzenia żołądka”. Popatrzyłem na niego i żał mi się go zrobiło, był to młody mężczyzna (około 35 lat). Podszedłem do niego i usiłowałem go pocieszyć: „Chorych więźniów na pewno do ciężkiej pracy nie biorą i na pewno znajdzie się dla pana jakaś lekka praca w takim dużym obozie. Nie można martwić się na zapas”. Jeden z więźniów (jego rówieśnik) chcąc zmienić przygnębiający nastrój, zwracając się do chorego powiedział z uśmiechem: „nie martw się stary, ja mam dla ciebie dobrą robotę, będziesz przynosił tę cuchnącą zupę i nalewał w nasze michy po protekcji, nie po jednej a po dwie chochle”. Na to on uśmiechając się powiedział: „Jeśli załatwisz mi taką robotę, to będę wam nalewał nie po dwie, ale po trzy chochle i jeszcze dam dolewki z samych flaków”. Humory nam się poprawiły. Dzień pracy zbliżał się do końca. Po kilku minutach zaczęły napływać do sali grupy więźniów, przenosząc się następnie do umywalni. Umyci kładli się zmęczeni na łóżkach, czekając na kolację. Po godzinie przyniesiono na salę bańki z kawą i chleb. Ustawiano się w kolejkach i każdy otrzymywał pajdę chleba oraz chochlę gorzkiej, czarnej kawy. Po kolacji więźniowie kładli się na łóżkach w ubraniach i słuchali radia (z głośników zainstalowanych na sali). Niektórzy natychmiast zasypiali.

Leżąc, myślałem o następnym dniu, do jakiej pracy będę przydzielony. Nagle przypomniałem sobie o spotkaniu w Sądzie z moim kolegą, inżynierem „F”, który powiedział mi wtedy, że jeśli trafię na „Gęsiówkę” to żebym koniecznie się z nim skontaktował. Pomyślałem: „Dobrze byłoby spotkać się z

nim, ale gdzie go znajdę, musiałbym przejść po wszystkich salach, kilkupiętrowego gmachu". Postanowiłem w tym dniu zrezygnować z szukania kolegi, może nazajutrz spotkam go na terenie obozu. Jakie było moje zdziwienie, gdy zobaczyłem idącego w moim kierunku mego kolegę. Ucieszyłem się wychodząc mu naprzeciw. Już z daleka wolał „Szukam cię Stachu”.

Po przywitaniu powiedział, że przed godziną dowiedział się od byłego technika z budowy, (który mnie rozpoznał), że jestem na tej sali. „Chodź do mnie, porozmawiamy” - powiedział. Weszliśmy na drugie piętro gmachu, wprowadził mnie do niedużej salki. Powiedział - „Poczekaj chwilę, zaraz wracam”. W pomieszczeniu znajdowały się „meble”: szafki na ubrania, długi, przez całą salę stół z desek, z ławami po obu stronach. Ściany wyklejone były plakatami z pism ilustrowanych i z żurnali, przedstawiające półnagie kobiety. Łóżka ustawione były po obu stronach ścian. Przy stole siedziało kilku mężczyzn. Grali w szachy, w warcaby, w karty. Skrzynka radiowa zawieszona na ścianie cicho grała. To chyba „arystokracja” obozowa, pomyślałem. W międzyczasie mój kolega przyniósł kilka kanapek z „liberką” (pasztetowa) i kawę w metalowych kubkach. Powiedział do mnie: „Na pewno jesteś głodny, jedz”. „Dziękuję, jestem po kolacji”, odpowiedziałem. Roześmiał się i powiedział; „Tu będziesz zawsze głodny”. Z apetytem zjadłem kanapki i popiłem słodzoną kawą. Od 12 miesięcy nie jadłem takiej kolacji. Kolega powiedział: „A teraz opowiadaj jak się tu dostałeś”. Opowiedziałem w skrócie swoje przeżycia od 1946 roku. Kolega wysłuchał mnie z uwagą a następnie powiedział: „Ale cię urządzili ubowcy. Będziemy mieli dużo wieczorów na rozmowy, a teraz posłuchaj. Tak jak mówiłem przy naszym spotkaniu w Sądzie, jestem tu głównym Inżynierem i Szefem Nadzoru przy produkcji elementów konstrukcji betonowych i żelbetowych. Konstrukcje te przeznaczone są na budowę Pałacu Kultury i na budowę osiedli dla pracowników Urzędu Bezpieczeństwa. Produkcja trwa bez przerwy, dzień i noc. Jutro idzie na wolność mój zastępca, inżynier (wymienił nazwisko). Proponuję tobie stanowisko Głównego Inspektora Nadzoru, chwilowo na nocną zmianę, a potem zobaczymy. Mam nadzieję, że i ja niedługo pójdę na wolność, a wtedy zajmiesz moje stanowisko. Jutro zaprowadzę cię do Komendanta Obozu, pułkownika UB”. Byłem zaskoczony i przerażony tą propozycją. Znowu UB, a myślałem, że już wyrwałem się ze szponów moich prześladowców. Antoni zauważył przerażenie na mojej twarzy. „Słuchaj Stachu”, powiedział, „rozumiem cię, ale nie masz innego wyjścia. Jesteś słaby, schorowany, nie nadajesz się do pracy fizycznej, wykończysz się w ciągu jednego miesiąca. Tu więźniowie pracują w brygadach na akord – minimum 200% normy trzeba wykonać, aby skrócić o połowę pobyt w tym piekle. Zresztą zobaczysz jutro na własne oczy, jak ci ludzie tu pracują. Jesteś moim przyjacielem, radzę ci zastanów się, jeśli chcesz przeżyć to piekło i zobaczyć żonę i dzieci. Byłeś na sali i widziałeś tych ludzi jak oni wyglądają po pracy, to niewolnicy XX wieku. Tylko młodzi, zdrowi i silni tu się liczą i mają szansę przeżycia i wcześniejszego wyjścia na wolność. Oni muszą swoją pracą zarobić na utrzymanie całego obozu, za co otrzymują nędzne grosze, które wydają w kantynie (na „wypiskę”) kupując papierosy i leberkę, by zachować siłę do wykonywania zabójczej normy. Słabi i starsi jędzą cuchnącą zupę i palą skręty z miotły brzoźowej”.

Słuchałem tego opowiadania z nieukrywanym przygnębieniem i przerażeniem. Powiedział do mnie jeszcze: „A teraz idź na salę i przemyśl to wszystko, co ci powiedziałem, bo za parę minut będzie apel. Czekam na ciebie jutro po śniadaniu”. Pożegnaliśmy się i wyszedłem. Po apelu ułożyliśmy się do snu. Moi trzej współtowarzysze niedoli, natychmiast zasnęli. Na sali było słychać głośnie chrapanie zmęczonych więźniów. Ja nie mogłem zasnąć, myślałem o propozycji kolegi i przedstawionych przez niego argumentach. Po kilku godzinach doszedłem do wniosku, że muszę przyjąć propozycję kolegi, rzeczywiście nie ma dla mnie innych szans przeżycia w tym koszmarnym obozie. Z tym postanowieniem zasnąłem. Nazajutrz po śniadaniu zgłosiłem się na kwaterę do mojego kolegi. „Cieszę się, że zdecydowałeś się przyjąć moją propozycję”, powiedział kolega. „Idziemy do Komendanta Obozu” dodał. Biura Zarządu Obozu mieściły się w tym samym gmachu na parterze. Kolega wszedł do gabinetu Komendanta, a ja zostałem na korytarzu. Po chwili kolega wyszedł i dał mi znak abym wszedł do gabinetu. Za biurkiem siedział mężczyzna około 50 – letni, w cywilnym ubraniu. Oprócz niego w gabinecie był obecny kapitan UB, w mundurze. Staliśmy przy drzwiach. Komendant po chwili podniósł wzrok znad biurka i popatrzył chwilę na mnie, po czym zapytał: „Za co jesteście skazani i jaki wyrok?”. Odpowiedziałem: „Za brak nadzoru, na dwa lata”. Na to Komendant powiedział: „U nas możecie powiększyć wyrok, co najmniej trzykrotnie, jeżeli zaniedbacie swoje obowiązki. Myślę, że zdajecie sobie sprawę jako inżynier, z odpowiedzialności, jaka będzie ciążyć na was jako Głównym Inspektorem Nadzoru”. „Tak, zdaję sobie sprawę”, odpowiedziałem. Komendant zwrócił się do mojego kolegi: „Jak długo znacie się z więźniem?”. „Od kilku lat”, odpowiedział kolega i dodał: „Pracowaliśmy w jednym Zjednoczeniu, kolega był dyrektorem Zarządu Budowy Osiedla Mirów a następnie dyrektorem Zarządu Odbudowy Starego i Nowego Miasta”. Na to komendant powiedział: „Dobrze, zapoznajcie swego towarzysza z obowiązkami. Możecie odejść”. Kiedy już byliśmy na korytarzu, z gabinetu Komendanta wyszedł przysłuchujący się kapitan UB. Powiedział: „Zatrzymajcie się, chodźcie za mną”. Zaprowadził nas do innego pokoju, tam z szuflady biurka wyjął gruby zeszyt oraz opaskę. Następnie zwracając się do mnie wyjaśnił, że w tym zeszycie mam codziennie pisać raport: stan więźniów na zmianie, pracujących na poszczególnych działach produkcyjnych oraz ilość wykonanych elementów konstrukcyjnych na każdym dziale. Powiedział również, że z organizacją pracy na działach zapozna mnie kolega. Następnie wręczył mi opaskę, którą polecił założyć na ramię oraz klucze od pokoju. Wyszliśmy z kolegą na teren obozu. Zwróciłem się do kolegi: „Ale mnie urządziłeś, słyszałeś, co mówił Komendant obozu”. Odpowiedział mi: „Słyszałem, on ciebie straszył. Mnie też tak straszył jak obejmowałem tę funkcję. Jestem tu już cztery lata i daję sobie radę i ty też dasz sobie radę”. Obeszliśmy cały obóz. Obóz „Gęsiówka” (za okupacji obóz koncentracyjny) mieścił się w granicach ulic: od strony południowej ulica Gęsia, od zachodu ulica Okopowa, od wschodu ulica Marchlewskiego i od północy zamknięty budynkami fabrycznymi.

Cały obóz otoczony był wysokim murem i drutami kolczastymi wysoko nad murem. Wieże strażnicze, ze strażnikami na wieżach w dzień i w nocy. Dwie potężne bramy od ulicy Okopowej i od wschodu oraz trzecia brama dla wjeżdżających na bocznicę obozową pociągów, z której to boczniczy na pociągi ładowano gotowe elementy żelbetonowe i betonowe i wywożono w Polskę. Podczas okupacji z tej boczniczy wywożono więźniów. Na terenie obozu stały wielkie hale produkcyjne i inne budynki jak:

laboratoria, magazyny, piece nagrzewnicze, przyspieszające dojrzewanie wyprodukowanych elementów żelbetowych i innych konstrukcji jak: podkłady żelbetowe – kolejowe. Poza budynkami produkcyjnymi na terenie obozu znajdowały się drewniane baraki. W jednym z tych baraków mieściły się biura architektoniczno-konstrukcyjne (BAK), w których pracowali inżynierowie, architekci i konstruktorzy, byli to więźniowie skazani na długoletnie wyroki 10-25 lat. Barak ten z zakratowanymi oknami był odizolowany od pozostałej części obozu dwoma rzędami drutów kolczastych na wysokich słupach betonowych tuż przy baraku (około 1m od ścian). Więźniowie pracowali i spali w tym baraku, nie mieli żadnych kontaktów z innymi więźniami na terenie obozu. Strażnik dzień i noc krążył pomiędzy drutami, wokół baraku. Normalnie więźniowie z tak dużymi wyrokami odsiadali swoje kary w ciężkich więzieniach na terenie Kraju. Ci, co tu siedzieli nie byli zwykłymi więźniami. Byli to wybitni fachowcy, wykorzystywani do konstruowania i projektowania obiektów fabrycznych i całych osiedli przeznaczonych dla funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa i innych budowli strategicznych na terenie całej Polski Ludowej. Patrząc na ten barak – klatkę przypomniałem sobie podobny barak w obozie jenieckim w Lamsdorfie, gdzie Niemcy przetrzymywali jeńców polskich i radzieckich, partyzantów schwytanych w lasach, traktując ich jako bandytów. Podobnie było i tu, otoczony drutem kolczastym barak-widmo a w nim ludzie pracujący już dla Polski Ludowej. Na terenie obozu ponadto pracowały bez przerwy potężne maszyny „gryzarki-kruszarki”, krusząc, (co powodowało niesamowity hałas) dowożony samochodami gruz z miasta. Unoszące się z tych „młynów” chmury pyłu ceglanego osiadały na pracujących na terenie obozu, zlanych potem więźniów. Przy powiewie wiatru pył ten wdierał się w oczy, uszy, włosy i nos. Po opadnięciu na ziemię tworzył warstwę, która rozjeżdżana przez samochody, z powrotem unosiła się w powietrze. Po deszczu powietrze oczyszczało się, ale zlane deszczem warstwa pyłu zmieniała się w czerwone grzęzawisko. Mój kolega zaprowadził mnie na koniec obozu, gdzie ustawione były w długim rzędzie stoły wibracyjne, betoniarki oraz hałdy skruszonego gruzu, z którego więźniowie produkowali pustaki do stropów DMS, a dalej krawężniki z betonu i trylinkę. Był koniec maja, piękna upalna pogoda. Stanęliśmy z daleka przed stanowiskami, gdzie pracowali półnaczy, zlane potem więźniowie. Zapytałem kolegę, „Dlaczego oni tak się spieszą, skąd mają tyle siły po tej cuchnącej zupie?”. Odpowiedział mi, że za wykonaną normę otrzymują większe wynagrodzenie, za które w kantine na „wypiskę” wykupują chleb, liberkę, smalec i papierosy.

Widziałem jak od czasu do czasu zlane potem więźniowie byli polewani zimną wodą dla ochłodzenia. Przed stanowiskami stały tablice, na które po zakończeniu dnia wpisywano wykonaną normę. A wykonanie normy w danym dniu skraca pobyt w obozie o 2 dni. Na koniec zaprowadził mnie do jednej z hal produkcyjnych. Weszliśmy po schodach do kantoru oszklonego, skąd widać było całą halę, w której pracowało kilkuset więźniów. Tu produkowano belki żelbetowe. Pracujące na hali betoniarki i wibratory powodowały niesamowity hałas, tak, że nie można było rozmawiać. Z trudem usłyszałem słowa kolegi, że w tym kantorze będę urzędował. Ponieważ zbliżała się godzina 12.00 (obiad) wyszliśmy z hali udając się na kwatery. Po drodze kolega zapytał z ironią, jak mi się podoba moja nowa posada. Nie odpowiedziałem, byłem załamany i zdruzgotany tym, co widziałem. Pomyślałem sobie, jeśli istnieje piekło to na pewno tutaj w tym obozie. Po obiedzie udaliśmy się z kolegą ponownie

na teren obozu. Kolega wprowadził mnie do baraku gdzie mieściło się laboratorium. Tu dokonywano analiz kruszywa do produkcji elementów żelbetonowych i strunobetonowych oraz sprawdzano na prasach wytrzymałość wyprodukowanych elementów konstrukcyjnych. Prace te wykonywali inżynierowie-więźniowie. Następnie przeszliśmy do pozostałych hal produkcyjnych, gdzie kolega przedstawił mnie majstrom i brygadzystom, jako nowego inspektora nadzoru. Po krótkiej odprawie wszyscy rozeszli się do swoich hal, a my z kolegą zostaliśmy w kantorze. Kolega zapoznał mnie z dokumentacją techniczną i innymi sprawami dotyczącymi produkcji, jak również przekazał mi listę więźniów pracujących na mojej zmianie. Ponadto zapoznał mnie z instrukcją dla inspektorów nadzoru obowiązującą w obozie oraz zakres odpowiedzialności. Jak wynikało z instrukcji do obowiązków inspektora nadzoru należało:

1. Nadzór nad wykonywanymi elementami żelbetonowymi, zgodnie z dokumentacją.
2. Nadzór nad technologią wykonywanych elementów, zgodnie z obowiązującymi normami.
3. Podpisywanie protokołów odbioru wykonanych i sprawdzonych w laboratorium elementów konstrukcji.
4. Przestrzeganie BHP.

Kolega po zapoznaniu mnie z zakresem obowiązków i przekazaniu dokumentacji oddalił się życząc mi powodzenia. Zostałem sam w kantorze. Od tej chwili cała odpowiedzialność za produkcję spadła na mnie. Rozpoczął się dla mnie nowy etap mojej udręki życiowej, miałem nadzieję, że może już ostatni. Przypomniałem sobie o ostrzeżeniu Komendanta Obozu o odpowiedzialności i wynikających z tego konsekwencjach. Postanowiłem dokładnie zapoznać się z dokumentacją i produkcją na halach produkcyjnych. Bliżej poznałem majstrów i brygadzystów. Byli to młodzi inżynierowie i technicy budowlani, z terenu całego Kraju. W rozmowie z nimi dowiedziałem się, że niektórzy z nich przebywają w obozie od kilku lat. Zauważyłem, że więźniowie ci byli nieufni i zamknięci w sobie. Moje uwagi i polecenia wykonywali bez słowa, z nieukrywaną nienawiścią.

Swoimi spostrzeżeniami podzieliłem się z kolegą, który wyjaśnił mi, że więźniowie w obozie uważają tych więźniów z czerwonymi opaskami na ramieniu, za swoich gnębicieli reżimu stalinowskiego. Było to coś w rodzaju „kapo” w hitlerowskim obozie koncentracyjnym. Kolega powiedział: „Tu też jest obóz, tylko metody stosowane są bardziej wyrafinowane, tu nie bije się więźniów pałkami, tu więźniowie sami się wykańczają niewolniczą pracą. Dla nich „kapo” to zabójcze normy, które trzeba wykonać, aby skrócić o połowę pobyt w tym piekle. A który z więźniów nie chce wyjść wcześniej. Tylko starzy, słabi, i chorzy muszą odsiedzieć cały wyrok, jeżeli przeżyją. A ty nie chciałbyś wyjść stąd jak najprędzej? Mówisz, że więźniowie są nieufni i nienawistni, to prawda. Oni sami siebie nienawidzą za to, że się tu dostali. Niektórzy z nich ztratili cechy ludzkie, są automatami. To przeklęty system w tym Kraju stworzył tę nienawiść człowieka do człowieka. Tu człowiek się nie liczy tylko jego praca. Komendant i jego pomocnicy są narzędziem w egzekwowaniu tego nieludzkiego systemu. Oni nas traktują jako wrogów swoich i tego systemu, wiedzą, że my też ich nienawidzimy. Zresztą, co ja ci będę mówił, poznałeś na własnej skórze koszmar tego systemu i do czego ten system jest zdolny. Nie bądź sentymentalny, nie szukaj tu ludzi uśmiechniętych, przyjaznych, bo ich nie znajdziesz. Jeżeli chcesz

wyjsć stąd cało i zobaczyć swoją rodzinę, to wykonuj swoje obowiązki ściśle według instrukcji, jaką otrzymałeś. Radzę ci to jako twój przyjaciel, który mimo trzyletniego pobytu w obozie nie zatracił uczuć ludzkich”, zakończył swoją wypowiedź mój kolega. Wysłuchałem tego wszystkiego z uwagą. Nie ze wszystkim, co powiedział zgodziłem się, szczególnie z tym, co dotyczyło więźniów, że sami siebie nienawidzą, że są robotami i że zatracili ludzkie cechy. Więźniowie ci to przeważnie ludzie młodzi, którzy dostali się tu przypadkowo, za drobne przestępstwa. Byłem przekonany, że 90% tych ludzi nie powinno się tu znaleźć, gdyby Sądy były sprawiedliwe i niezawisłe. Moja obecność w tym obozie była tego ewidentnym przykładem, tak zwanej sprawiedliwości w PRL. Tysiące więźniów (młodych ludzi) w podobnych obozach pracy niewolniczej była wykorzystywana jako bezpłatna siła robocza za miskę śmierdzącej zupy i pajdkę chleba. Ludzie ci budowali osiedla dla swoich oprawców z UB (spod znaku „Stalina”) i jego pachołków i wyznawców jego krwawego reżimu, z ówczesnym rządem PRL na czele. Zgodziłem się z kolegą, że system ten stworzył nienawiść pomiędzy ludźmi. Systemy tworzą ludzie stojący u władzy i oni są odpowiedzialni za zbrodnie popełnione na narodzie w stworzonym przez nich systemie. Zbrodniarze hitlerowscy zostali ukarani za swoje zbrodnie popełnione na narodach, a zbrodniarze „stalinowscy” żyją wśród swoich ofiar, dobrze im się powodzi i kontynuują swoje zbrodnicze dzieło. Chociaż główny inspirator – twórca systemu już nie żyje, ale jego idea jeszcze w PRL żyje. Mijały dni. Wszystkie godziny pracy spędzałem na halach produkcyjnych, wśród więźniów. Wykorzystywałem każdą okazję by zamienić kilka słów z pracującymi więźniami, nie tylko z majstrami i brygadzystami. Witałem się z nimi. Pragnąłem zbliżyć się do nich i zyskać ich zaufanie. W końcu łączyła nas wspólna niedola i jedno pragnienie wolności.

Każdego dnia przed rozpoczęciem pracy wzywałem do kantoru majstrów na krótkie narady, na których omawialiśmy wspólnie sprawy dotyczące produkcji i usprawnień. Po tygodniu nabrali do mnie zaufania. Byli ode mnie dużo młodszy, wszyscy po szkołach budowlanych. Opowiedzieli mi gdzie pracowali i skąd pochodzą. Nie pytałem, za co zostali skazani, nie obchodziło mnie to. Żeby i oni o mnie coś wiedzieli powiedziałem im gdzie pracowałem. Zauważyłem uśmiech na ich twarzach. Na moje pytanie, dlaczego się uśmiechają odpowiedzieli: „Panie Inżynierze, wiemy gdzie pan pracował, wszystko o panu już wiemy, nawet i to, że siedział pan w UB w Pałacu Mostowskich”. Byłem zaskoczony, „skąd wiecie?” - zapytałem. „Mamy swój wywiad”, odpowiedzieli. Powiedziałem z uśmiechem: „Jeżeli wiecie to nie mówcie nikomu, a przede wszystkim Komendantowi Obozu, bo zwolniłby mnie z posady”. Zaśmiali się, powiedzieli: „Jest pan równym facetem”, po czym serdecznie żegnając się ze mną opuścili kantor, udając się do swoich hal produkcyjnych. Po ich wyjściu zastanawiałem się skąd oni wiedzą, gdzie pracowałem i że siedziałem w UB. Musi być w tym obozie ktoś, kto mnie zna. A może mój kolega im powiedział, pomyślałem. Mijały dni, stosunek więźniów do mnie radykalnie się zmienił. Moje codzienne wizytacje hal produkcyjnych, spotkały się z życzliwością pracujących więźniów. Czułem, że darzą mnie nieukrywaną sympatią i szacunkiem. Poczułem się pewniej w tym mrowisku szarych, złanych potem postaci ludzkich, czułem, że jestem im potrzebny, a oni mnie, że nie jestem już osamotniony w tym koszmarze obozowym. Zyskałem przyjaciół, z którymi łączył mnie wspólny cel, jakim jest „wolność”. Od czasu mojego przybycia do obozu upłynęły już około dwa tygodnie. Od żony nie miałem żadnej wiadomości. Spodziewałem się „widzenia”, adwokat na sprawie obiecał mi, że załatwi widzenie. W

obozie widzenia odbywały się w niedzielę. Ponieważ do drugiej niedzieli mojego pobytu w obozie pozostało jeszcze trzy dni, spodziewałem się, że w nadchodzącą niedzielę spotkam się z żoną. Czas oczekiwania dłużył się okropnie. Od czasu mego aresztowania upłynęło już 12 miesięcy a ja nie miałem żadnej bezpośredniej wiadomości od żony. Na rozprawie w Sądzie widziałem żonę z daleka. Po rozprawie nie pozwolono mi na kontakt z żoną. Toteż z niecierpliwością czekałem na widzenie. W każdą niedzielę rano po śniadaniu wyczytywano przez zainstalowane na terenie obozu radioodbiorniki, nazwiska więźniów na widzenie. Tej niedzieli o godzinie 7.00 włączono odbiorniki i po wiadomościach zaczęto wyczytywać nazwiska więźniów. Po kilku minutach usłyszałem swoje nazwisko. Widzenia odbywały się w baraku strażników obozowych, tuż za bramą od strony ulicy Gęsiej. Rozpoczęły się od godziny 12.30 i trwały pół godziny. Punktualnie o wyznaczonej godzinie, wraz z innymi więźniami zająłem miejsce za długim i szerokim stołem. Po chwili przez szeroko otwarte drzwi zaczęli wchodzić do baraku ludzie z miasta na widzenie. Oczywiście wszystkich siedzących za stołem były skierowane na otwarte drzwi baraku. W momencie zauważenia bliskiej osoby, więźniowie zrywali się z miejsc, wymachując rękami i wołając swoich bliskich.

Ponieważ sala była długa, a więźniów czekających na widzenie było dużo i wszyscy byli podobni do siebie, wchodzącym do baraku trudno było rozpoznać swoich bliskich i stąd te krzyki i wołania. Powstał wielki harmider. Strażnicy usiłowali uciszać, ale niewiele to pomogło. Wśród wchodzących zauważyłem moją żonę szukającą mnie wzrokiem. Dopiero tak jak inni, wołając ją po imieniu, zwróciłem uwagę na moją osobę. Stała chwilę i patrzyła na mnie, jakby mnie nie poznała. Dopiero stojący obok niej mój teść, poznał mnie. Przepychając się w tłumie odwiedzających dotarli do mnie. Wraz z nimi byli również moi dwaj synowie: Boguś i Janusz. Siadając naprzeciw mnie żona płacząc powiedziała: „Boże, co oni z tobą zrobili, jak ty wyglądasz?” Zauważyłem, że i teść ma łzy w oczach. Chłopcy patrzyli na mnie z przerażeniem i niedowierzaniem, że jestem ich ojcem. Dla nich mój widok i wygląd musiał być przerażeniem, po 12 miesiącach nie widzenia ojca. Po uspokojeniu się żona opowiedziała mi w skrócie o tym, co mnie dotyczyło. Powiedziała, że sprawa moja jest w Sądzie Najwyższym, że otrzymała pewną wiadomość, że w czerwcu wyjdę na wolność. „O nas się nie martw, jakoś sobie damy radę, pracuję, rodzice mi pomagają. Chłopcy chodzą do szkoły, a Andrzej jest w przedszkolu. Za miesiąc, jak wrócisz opowiem ci jak przeżyłam ten koszmarny rok. Teraz opowiedz jak ty tu żyjesz. Jesteś chory, bardzo źle wyglądasz, nie poznałam cię.” Na to ja powiedziałem: „Nie jestem już chory, tu lepiej się czuję, w UB byłem bardzo chory. Tu wyżywienie jest podłe. Jeżeli mam wrócić do domu za miesiąc, jak powiedziałaś to wytrzymam, nie martwcie się o mnie, najgorsze minęło. Cieszę się, że dajesz sobie radę”. Zwróciłem się do ojca żony dziękując mu za pomoc dla mojej rodziny. „Wysłę paczkę żywnościową”, powiedziała żona. Odpowiedziałem jej: „Tu nie przyjmują paczek, jestem tu za krótko. Może za miesiąc, a że powiedziałaś o moim powrocie do domu za miesiąc to nie ma potrzeby, wytrzymam ten miesiąc”. Powiedziałem to bez przekonania. Pomyślałem, biedna żona pociesza mnie i siebie. Żona wyczuła w moich słowach zwątpienie i natychmiast zareagowała „Nie wierzysz mi. Myślisz, że cię pocieszam”. Odpowiedziałem, „wierzę, skoro ty wierzysz”. Chciała jeszcze coś powiedzieć, ale strażnik zapowiedział koniec widzenia. Żona zdążyła podać mi pod stołem małą paczuszkę z żywnością i papierosami (podawanie paczek na widzeniach było zabronione).

Uścisnęliśmy sobie dłonie (szeroki stół, za którym siedzieliśmy uniemożliwiał przywitanie i pożegnanie). Odchodząc, już przy wyjściu odwracając się krzyknęła: „Za miesiąc zobaczymy się w domu”. Widocznie nie była przekonana, że ja uwierzyłem. Wracając na kwaterę myślałem skąd ta pewność o moim powrocie do domu i kto żonie powiedział. Jeżeli moja sprawa jest w Sądzie Najwyższym to jeszcze nie była rozpatrywana, a jeżeli była rozpatrywana to na decyzję Sądu nie trzeba czekać miesiąc czasu. Kto mógł wiedzieć jaka będzie decyzja Sądu, może mój adwokat i on przekazał tę wiadomość żonie. W końcu doszedłem do wniosku, że moje rozmyślanie na nic się nie przydadzą i nie pozostało mi nic innego jak czekać do tego zagadkowego czerwca. Tymczasem cieszyłem się tym, że nareszcie po 12 miesiącach zobaczę żonę i dzieci w zdrowiu i że żona daje sobie radę beze mnie. Widzenie to dodało mi sił do przetrwania nawet gdyby zwolnienie, o którym żona mówiła okazało się nie prawdziwe. Zbliżał się koniec maja. Mijały dni i tygodnie. Każdego dnia po południu głośniki radiowe na terenie obozu podawały nazwiska więźniów do zwolnienia. Do połowy czerwca nie zwracałem uwagi na komunikaty radiowe, ale gdy minął ten termin zacząłem wysłuchiwać komunikatów. Minęło jeszcze kilka dni. Pewnego dnia siedząc w kantorze spojrzałem na zegar wiszący na hali, zbliżała się godzina 17.00. Więźniowie pracujący na hali wyłączali hałasujące maszyny by móc wysłuchać komunikatu. Po chwili z odbiornika odezwał się głos obozowego spikera: „Uwaga, podajemy komunikat dla więźniów, którzy w dniu dzisiejszym zostali zwolnieni z obozu na wolność”. Następnie wyczytywano nazwiska więźniów. Tknięty jakimś przeczuciem wyteżyłem słuch, ale po wyczytaniu kilkunastu nazwisk, na hali powstał taki harmider oraz okrzyki radości, że trudno było słuchać wyczytywane dalsze nazwiska. W pewnej chwili wydawało mi się, że usłyszałem swoje nazwisko, ale nie byłem pewny. Dopiero, kiedy spiker zapowiedział powtórzenie komunikatu, a na hali było już nieco ciszej, usłyszałem dokładnie swoje nazwisko, imię wraz z datą urodzenia i imionami rodziców. Byłem tak oszołomiony tą wiadomością, że nie usłyszałem jak jeden zaprzyjaźniony ze mną więzień (odsiadywał 5 letni wyrok) wpadł do kantoru z okrzykiem: „Panie inżynierze idziemy na wolność, nie cieszy się pan?”. „Cieszę się”, odpowiedziałem. A więc nareszcie po tylu cierpieniach i upokorzeniach – upragniona wolność. Był koniec czerwca 1953 roku. Jeszcze tego dnia po pożegnaniu się z zaprzyjaźnionymi współtowarzyszami niedoli zostałem przewieziony do więzienia na ulicę Gęsią, gdzie w specjalnej celi dla więźniów do zwolnienia oczekiwaliśmy do następnego dnia. Tej nocy nie wszyscy spali. Była to nasza ostatnia noc za murami więzienia, ale jaka inna od tamtych beznadziejnych nocy. Chociaż i ta noc nie była spokojna. Więźniowie opowiadali, że i z tej celi (tak zwanej „wolnościowej”) zamiast na wolność więźniowie wracali z powrotem do obozu (na skutek pomyłki), a nawet zdarzały się przypadki, że wracano zza bramy więzienia. A więc strach i niepewność towarzyszyła nam do ostatniej chwili. Rano strażnik wręczył każdemu więźniowi kartę zwolnienia i pojedynczo, w pewnych odstępach czasu opuszczaliśmy więzienie. Kiedy strażnik zatrzasnął za mną bramę więzienną znalazłem się na ulicy Gęsiej, a będąc pod wrażeniem nocnych opowiadań więźniów miałem wrażenie że za chwilę usłyszę głos strażnika „Stój”. Dopiero jak znalazłem się na ulicy Nowotki i zmieszałem się z tłumem przechodniów, poczułem się bezpieczny. Zboczyłem na skwerek, usiadłem na ławce i zapaliłem papierosa. Postanowiłem kilka minut odpocząć, byłem szczęśliwy. Ogarnęło mnie takie znużenie, że nie mogłem wstać z ławki. Była piękna, słoneczna pogoda. Dochodzący od ulicy

monotonny szum przejeżdżających samochodów działał na mnie uspokajająco. Zamknąłem oczy, zasnąłem. Musiałem dość długo spać, bo kiedy obudziłem się słońce było już wysoko na niebie. Na ławce obok mnie siedziała starsza kobieta. Zauważyłem, że patrzy na mnie z nieukrywanym współczuciem.

W końcu zapytała: „Czy pan źle się czuje? Tak pan źle wygląda, może wezwać pogotowie?”. Odpowiedziałem: „Nie. Czuje się dobrze. Dziękuję pani za dobre serce. Zaraz pójdę”. Na to moja sąsiadka z ławki powiedziała: „Spał pan bardzo niespokojnie, miał pan pewnie niedobry sen. Siedzę tu od godziny i obserwuje pana”. Wstałem z ławki, podziękowałem kobiecie za współczucie i powlokłem się w kierunku Placu Dzierżyńskiego. Przechodząc obok Pałacu Mostowskich mimo woli zatrzymałem się i popatrzyłem na zakratowane okienka nad chodnikiem. I pomyśleć, że ja w tym przeklętym Pałacu spędziłem najtragiczniejsze chwile w swoim życiu. 11 miesięcy bez światła dziennego i świeżego powietrza. Odnowiło się wspomnienie tych koszmarnych miesięcy. Myślałem, czy moi koledzy i towarzysze niedoli jeszcze siedzą i żyją. Ja miałem szczęście, że wydostałem się z tego miejsca upodlenia, poniżania i śmierci. Dzięki Ci Boże. Chroń Boże, jeśli jeszcze żyją moich niewinnych współtowarzyszy niedoli, od oprawców „stalinowskich”. Przeszedłem przez Plac Dzierżyńskiego. Do domu nie spieszyłem się. Żona na pewno była w pracy a dzieci w szkole. Wszedłem do Ogrodu Saskiego. Usiadłem na ławce w cieniu drzew nad stawem, po którym majestatycznie pływały łabędzie. Siedzące na ławkach kobiety i biegające ich dzieci rzucały pięknym ptakom okruchy chleba. Dzieci wydawały okrzyki radości, były szczęśliwe. Siedziałem i patrzyłem na te dzieci i ich matki oraz na spacerujących po tym pięknym ogrodzie ludzi. Czy oni wiedzą, że nie daleko stąd, kilka ulic dalej, w pięknym z wyglądu Pałacu w sercu stolicy siedzą w podziemiu o zawilgoconych celach, młodzi, wynędniali chłopcy oczekujący na wyroki śmierci tylko dlatego, że walczyli i przelewali krew za Ojczyznę Wolną i Sprawiedliwą. A dalej w obozie pracy niewolniczej przebywają młodzi ludzie eksploatowani do ostatnich granic wytrzymałości, w warunkach urągających godności ludzkiej, pracujących za miskę cuchnącej zupy i kawałek chleba. Zresztą skąd ci spacerujący po parku, uśmiechnięci ludzie mogą o tym wiedzieć? Ponieważ było już po południu, postanowiłem udać się do domu. Przypomniałem sobie, że nie zwróciłem uwagi na druczek, który otrzymałem od strażnika przed wyjściem za bramę więzienną. Wyjąłem z kieszeni niewielki papierek i przeczytałem: „Więzień śledczy”, nazwisko i imię, data urodzenia, imiona rodziców, „Zwolniony z więzienia śledczego”, data, podpis naczelnika więzienia, pieczętka. Zwolniony jako więzień śledczy? Przecież byłem skazany na dwa lata więzienia przez Sąd Wojewódzki. Jeżeli byłem skazany, to nie mogę być zwolniony jako więzień śledczy. A jeżeli byłem zwolniony po śledztwie, to wyrok był nieważny. Poza tym to zagadkowe zwolnienie miesiąc po wyroku? Albo przyłączenie mnie do sprawy, z którą nie miałem nic wspólnego. Wszystko to było dla mnie niejasne i zagadkowe. Postanowiłem nie myśleć o tym. Najważniejsze, że jestem na wolności i za godzinę będę w domu.

Po kilkunastu miesiącach mojego pobytu w dwóch więzieniach i w obozie pracy niewolniczej, po doznanych cierpieniach i upokorzeniach byłem znów w domu, wśród swoich najbliższych. Był to dla mnie Wielki Dzień. Byłem szczęśliwy.

Żona opowiedziała mi o swoich przeżyciach i dyskryminacji, jakiej doznała podczas mojego pobytu w więzieniu. Po trzech miesiącach od mojego aresztowania, wstrzymano wypłacanie w Przedsiębiorstwie moich poborów. Żona z trojgiem dzieci została bez środków do życia. Starania żony o pracę spotykały się z odmową. Był to zakaz wydany przez UB. Na interwencję mieszkanki naszego domu (sąsiadki), pracownicy KCPZPR odpowiadano: „Niech zdycha razem ze swoimi bękartami”. Dopiero po kilku miesiącach, przed wyborami do Sejmu, na zbiorowy protest mieszkańców domu w Okręgowej Komisji Wyborczej, wyrażono zgodę na zatrudnienie w Spółdzielni Kolejowej przy myciu wagonów na Dworcu Gdańskim. A więc nie tylko mnie chcieli zniszczyć oprawcy z UB, ale i moją rodzinę. Żona opowiadała dalej : „Kiedy dowiedziałam się, że jesteś ciężko chory w więzieniu UB, zwróciłam się do Prokuratury Generalnej (Prokurator- żydówka) oświadczając, że mój mąż jest ciężko chory, prosząc o zwolnienie lub skierowanie do szpitala. Odpowiedziano mi, że zasięgną opinii od lekarza więziennego o stanie twojego zdrowia. Za kilka dni zgłosiłam się i odpowiadano mi, że jesteś zupełnie zdrowy, pokazując mi opinię lekarza więziennego”. W tym czasie, (o czym wcześniej pisałem) współwięźniowie siłą, wbrew zakazowi strażnika wyciągnęli mnie z celi na korytarz, razem z barłogiem, na którym leżałem w gorączce i z chorym sercem. Następnie wrzucono mnie na samochód ciężarowy jak na kłodę drewna i wywieziono do innego więzienia na salę “kwarantanny”. Zapytałem żonę skąd dowiedziała się o moim przedterminowym zwolnieniu z obozu. Żona odpowiedziała: „Na kilka tygodnia przed rozprawą sądową zgłosił się do mnie do pracy młody człowiek i powiedział, że przychodzi z polecenia pewnego pana, którego nazwiska nie może ujawnić. Przedtem zapytał o moje nazwisko oraz czy mąż mój jest aresztowany przez UB. Odpowiedziałam – tak. Na to mężczyzna powiedział, że otrzymał polecenie przekazania mi pozdrowień oraz zapewnienia, że niezależnie od wyroku, jaki otrzyma mąż na rozprawie sądowej, w czerwcu, b.r. będzie już w domu. Po czym oddalił się. Po odejściu tajemniczego mężczyzny ucieszyłam się, ale i zaniepokoiłam. Pomyślałam, może to prowokator z UB. Od tej wizyty upłynęło kilkanaście dni. W międzyczasie dowiedziałam się od adwokata o terminie rozprawy. Pewnego dnia, gdy już pracowałam w magazynie Spółdzielni (Prezes, wiedząc o twoim aresztowaniu przez UB, ryzykując swoim stanowiskiem, przeniósł mnie z Dworca do magazynu na ulicę Waliców), urzędniczka z sekretariatu biura zeszła do magazynu i powiedziała, że jakiś młody mężczyzna, student chce się ze mną widzieć i czeka w biurze. Pomyślałam, jaki student, żadnego studenta znajomego sobie nie przypominam. Weszłam na górę, na korytarzu biura stał młody mężczyzna w studenckiej czapce. Kiedy mnie zobaczył podszedł do mnie. W pierwszej chwili nie poznałam tego człowieka. Zapytał: „Pani mnie nie poznaje? Ja już byłem u pani kilkanaście dni temu na Dworcu, rozmawialiśmy o pani mężu”. Zdenerwowałam się i zapytałam: „Czego pan sobie życzy ode mnie?”. „Proszę się uspokoić”, powiedział przyciszonym głosem. „Przysłał mnie ten sam pan, o którym pani mówiłem w pierwszej naszej rozmowie”.

Nieco uspokojona zapytałam, co mi chce powiedzieć o mężu. Odpowiedział: „W pierwszej rozmowie z panią zauważyłem, że pani z nieufnością przyjęła przekazaną przeze mnie wiadomość o mężu, dlatego jestem po raz drugi, aby Pani uwierzyła. Powtarzam – w końcu czerwca mąż pani będzie w domu. „Wierzę panu” – odpowiedziałem „i bardzo się cieszę. Proszę podziękować serdecznie temu tajemniczemu panu. Panu również serdecznie dziękuję, że pan zechciał dwukrotnie fatygować się do

mnie, przekazując mi tak radosne wiadomości". Młody człowiek pożegnał się ze mną i wyszedł. Po tej wizycie uwierzyłam w to, co mówił". Powiedziałem do żony: „Teraz już wiem, dlaczego na rozprawie sądowej byłaś taka wesoła, co mnie przyznam denerwowało, a także z takim przekonaniem mówiłaś mi na widzeniu w obozie o przedwczesnym zwolnieniu." Żona kontynuowała: „Tak, uwierzyłam temu młodemu człowiekowi. Kilka miesięcy po twoim aresztowaniu spotkałam inż. Praczkę (Inż. Praczuk był moim przyjacielem, pracowaliśmy razem w Naczelnej Dyrekcji Domów Towarowych w Wydziale Inwestycji oraz w Państwowym Przedsiębiorstwie Budowy Osiedli Robotniczych („BOR”), w którym byłem dyrektorem oddziału budowy Osiedla Mirów, a on inspektorem nadzoru, a kiedy został dyrektorem zjednoczenia „KAM”, ściągnął mnie do siebie na dyrektora Zarządu Odbudowy Starego i Nowego Miasta). To właśnie od niego dowiedziałam się, że przebywasz w więzieniu UB w Pałacu Mostowskich. Kiedy zgłosiłam się z prośbą o widzenie odpowiedziano mi, że w tym więzieniu nie ma aresztowanego o tym nazwisku, co było nieprawdą. Ktoś z podających paczkę doradził mi abym przygotowała paczkę żywnościową i w dniu przyjmowania paczek, podała ją nie pytając o nazwisko. Tak zrobiłam, paczka została przyjęta. W paczce poza żywnością zapakowałam bielizną, a w jednej koszul, w kołnierzyku zaszyłam „gryps” przekazując wiadomości z domu. W drugim miesiącu przy podawaniu następnej paczki, otrzymałam twoją brudną bieliznę. Natychmiast sprawdziłam, czy w kołnierzyku brudnej koszuli jest „gryps” od ciebie. Byłam, niepokojona kiedy stwierdziłam, że jest „gryps”, ale ten sam, który ja wysłałam. W dodatku koszula, która mi przysłałeś była nie tylko brudna, ale i cała zakrwawiona. Pomyślałam z przerażeniem, że oni ciebie bili". Odpowiedziałem: „Nie bili mnie, to było dzieło milionów pluskiew, pcheł i innych insektów, które przez kilka miesięcy wysysały resztki mojej krwi. Jak już wcześniej wspominałem, przez dziewięć miesięcy nie kąpano i nie golono nas, a o praniu nie było co marzyć". Żona opowiadała dalej: „Trzeciej paczki już nie przyjęli. Zapytałam, gdzie jest mój mąż? Strażnik odpowiedział, że nie wie. Wróciłam do domu zrozpaczona. Pomyślałam, a może nie żyje." A mnie już nie było w UB, wywieziono mnie ciężko chorego do więzienia na Gęsią. Po kilku dniach pobytu w domu nastąpiło rozładowanie ciągłego napięcia nerwowego, nagromadzonego przez kilka lat – od 1946 roku. Przesłuchania w Wywiadzie Wojskowym, szykany w pracy, aresztowanie, przesłuchania w UB, choroba w więzieniach, rozprawa sądowa i na koniec obóz pracy niewolniczej. Po tych przeżyciach i kilka lat trwających stresach, nastąpiło całkowite załamanie psychiczne i fizyczne. Stan taki trwał kilka tygodni. Dopiero kilkumiesięczne, intensywne leczenie w Przychodni Zdrowia Psychicznego, poprawiło na tyle stan mojego zdrowia, że zacząłem myśleć o pracy. Małe zarobki mojej żony nie wystarczały na wyżywienie 5-osobowej rodziny. Jak się później okazało, udręki mojej nie było jeszcze końca.

Dyskryminacja po zwolnieniu

Moje starania o pracę spotykały się z odmową. W szczegółowych kwestionariuszach personalnych, poza dokładnym życiorysem trzeba było podać wszystkie dane osobowe. Zatajenie czegokolwiek w kwestionariuszu i w życiorysie groziło przykrymi konsekwencjami, do pozbawienia wolności włącznie. Toteż po złożeniu szczegółowo wypełnionego kwestionariusza, po trzech dniach z reguły odmawiano przyjęcia do pracy, nie podając powodu. W tej sytuacji ryzykowałem nie podawać w kwestionariuszu danych o przynależności do AK w okresie okupacji oraz nie ujawniać mojego pobytu w więzieniu i skazaniu. Byłem angażowany do pracy na krótki okres, najdłużej do trzech miesięcy. Następnie zwalniano mnie, z okazywanym współczuciem i żalem przez kolegów po fachu i dyrekcję Przedsiębiorstwa, bo nawet w tak krótkim okresie pracy uzyskiwałem opinię bardzo dobrego pracownika. Natomiast pracownicy personalni byli w tym względzie nieubłagani. Po przeprowadzeniu wywiadu w UB i sądzie, przedkładali wniosek dyrektorowi do zwolnienia, a dyrektor w obawie przed konsekwencjami, współczując mi - zwalniał z pracy. Taki stan trwał 10 lat. W tym okresie zmieniłem kilkanaście razy miejsce pracy. Byłem już tym zmęczony. Postanowiłem definitywnie zrezygnować z dalszych starań o pracę w uspołecznionych przedsiębiorstwach budowlanych. Mój kolega poradził mi, abym zaczął coś robić „na własną rękę” w branży budowlanej. Ponieważ posiadałem uprawnienia budowlane, bez trudu otrzymałem Kartę Rzemieśniczą, uzyskując prawo do prowadzenia rzemiosła w zakresie robót remontowo-budowlanych. I tak stałem się tzw. „prywatną inicjatywą”.

Od 1952 roku uczęszczałem na kursy wieczorowe w Naczelnej Organizacji Technicznej, przygotowującej do egzaminu na stopień inżyniera. W roku 1954 zostałem dopuszczony do egzaminu przed Państwową Komisją Weryfikacyjno-Egzaminacyjną na Politechnice Warszawskiej. W roku 1956 otrzymałem dyplom Inżyniera Budownictwa. Po kilku latach dowiedziałem się, że Sąd Najwyższy uchylił moje skazanie na 2 lata więzienia, co było fikcją, zwalniając mnie po 13 miesiącach śledztwa, ale na polecenie wszechwładnego UB zaaplikował mi pozbawienie na 10 lat praw obywatelskich, za moją działalność konspiracyjną w okresie okupacji niemieckiej w ZWZ i AK.

Ponieważ okres pozbawienia praw obywatelskich dla mnie zakończył się i czasy po 1956 r. nastały już inne, sytuacja polityczna w Polsce Ludowej nieco się zmieniła a urząd Bezpieczeństwa pozbawiono w części wszechwładzy, mogłem już bez dyskryminacji starać się o pracę w uspołecznionych przedsiębiorstwach budowlanych, co zresztą uczyniłem. Z tego okresu pozostał mi tylko jeden ślad – zaszyfrowany znak w dowodzie osobistym wpisany przed zwolnieniem z więzienia, piętnujący mnie jako obywatela III kategorii. Dowiedziałem się o tym przypadkowo od mojego współpracownika w Przedsiębiorstwie. Człowiek ten (były oficer UB) doradził mi zgubić ten dowód. Po 16-tu latach represji i dyskryminacji - zostałem uznany za obywatela P.R. L.

KONIEC

Warszawa, maj 1962

Urodziłem się 14 lipca 1911 roku w Nowym Dworze Mazowieckim.

Rodzice:

1. Ojciec – Bronisław Sobiesiak

Ścigany przez Carską Żandarmerię za działalność niepodległościową Polski. W roku 1912 wyemigrował do Stanów Zjednoczonych Ameryki. Żołnierz tworzącej się Armii Polskiej w Kanadzie i we Francji.

Wcielony do Armii Polskiej Gen. Józefa Hallera.

W latach 1918 -1920 uczestnik walk o Niepodległość Polski.

Odnaczony „Krzyżem Żołnierzy Ameryki”.

2. Matka – Stefania Sobiesiak

Wspaniała Matka i Polka. Wychowała 5 synów na wzorowych obywateli Polski, żołnierzy w walce o Niepodległość, budowniczych w odbudowie Rzeczypospolitej.

Bracia:

1. Mieczysław Sobiesiak

Żołnierz Wojny Obronnej w 1939 r. Odnaczony „Medalem Za Wojnę Obronną”.

2. Zygmunt Sobiesiak

Żołnierz Wojny Obronnej w 1939 r. Obrona Wybrzeża. Żołnierz Armii Krajowej. Uczestnik Powstania Warszawskiego. Poległ na Czerniakowie.

Odnaczony pośmiertnie „Krzyżem Powstańczym”.

3. Jan Sobiesiak

Były żołnierz Armii Krajowej.

4. Leszek Sobiesiak

Były żołnierz Ludowego Wojska Polskiego.

5. Stanisław Sobiesiak

Były żołnierz Armii Krajowej. Uczestnik Powstania Warszawskiego.

Odnaczony:

„Krzyżem Armii Krajowej”, Medalem Wojska „Polska Swemu Obrońcy” (trzykrotnie), „Krzyżem Partyzanckim”, „Krzyżem Powstańczym” i innymi odznaczeniami.

Warszawa, maj 1962 r.



Rysunek 1. Żelbet

synom, ~~bracia~~ wnukom braciom,
synom, krewnym i przyjaciółmi.

A w rozdziale I opisanych
wspomnień dotyczących mojej działalności
w Ruchu Oporu ~~znalezione~~ ~~zobryte~~
z okupantami w K.W. i A.K. - kolegami
żołnierami z III kompanii szturmowej
V Grupy ~~Wojennej~~ ~~Wojennej~~ poległym w Powsta-
niu na Czerwinkowie, w szturmie na
Mata Partę oraz w walkach o Politechnikę.

Wspomnienia te pamiętam:

1. Łucy komp. por. Paderewski ~~Wojennej~~
ps. "Stojanek" - poległ Mata Parta"
2. kpr. Kępczakowski ~~Wojennej~~
ps. "Lelfiel" - poległ na Czerwinkowie
3. plut. Kępczakowski ~~Wojennej~~
ps. "Mikolaj" - poległ na Czerwinkowie
4. kpr. "Y" ~~Wojennej~~
ps. "Mielki" - poległ Mata Parta"
oraz wrytkim poległym w Powstaniu
kolegom-żołnierom z III kompanii,
których nazwisk ani pseudonimów
już nie pamiętam.

Rysunek 2. FRAGMENT WSPOMNIEŃ



KOŁO BYŁYCH ŻOŁNIERZY ARMII KRAJOWEJ
POLISH HOME ARMY EX-SERVICEMEN ASSOCIATION
240, KING STREET, LONDON, W6 0RF

L. dz. - 13512/89.

Londyn - 30.08.1989 r.

Our ref.

ZASWIADCZENIE WERYFIKACYJNE
/Wyciąg z akt personalnych/

SOBIESIAK Stanisław - ur. 14.07.1911 r. w Nowym Dworze
k/Warszawy.
Syn - Bronisława i Stefanii

Ogniomistrz pchor.
Pseudonim: "Żelbet"
Przydział: Okręg A.K. Warszawa

Odbył służbę wojskową w szeregach: Z.W.Z. - A.K.

Przebieg służby:

- 05.1941 - Zaprzysiężony w Warszawie.
05.1941 - 31.07.1944 - Przydzielony do kompanii w Śródmieściu,
którą sam organizował. Pełnił funkcję
szefa kompanii.
01.08.1944 - 30.09.1944 - Czynny udział w Powstaniu Warszawskim
na Czerniakowie. Przydzielony do zgrupo-
wania "Kryska". Później przydzielony do
walk o Politechnikę i Małą Pastę.
30.09.1944 - 09.05.1945 - Po kapitulacji Warszawy wywieziony do
oboju jenieckiego w Lamsdorfie i innych.
Uwolniony przez wojska alianckie.

Odnaczenia: Medal Wojska
Krzyż Armii Krajowej

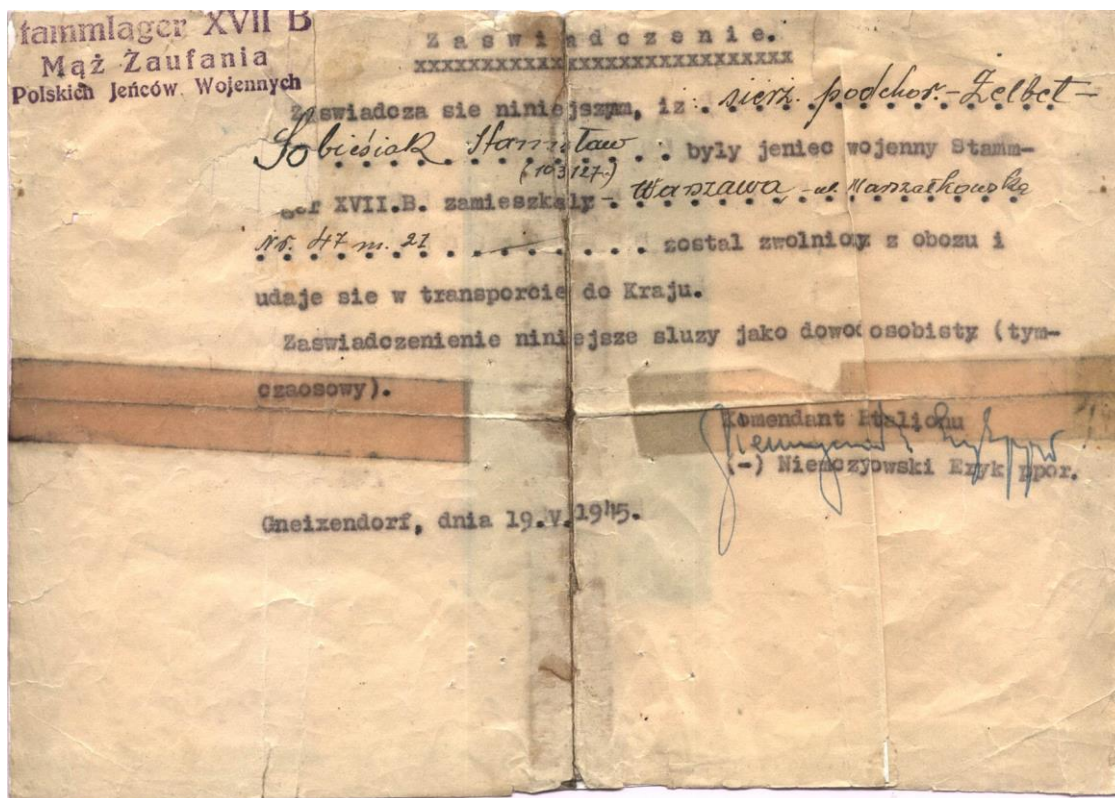
Za zgodność:

[Signature]

GŁÓWNA KOMISJA WERYFIKACYJNA A.K.

Czeki i przekazy pieniężne prosimy wystawiać na: Polish Home Army Ex-Servicemen Association

Rysunek 3. WYCIĄG Z AKT PERSONALNYCH



Rysunek 4.



Rysunek 5. NARODOWA DEMORACJA - GDYNIA 1938 r. OD LEWEJ: Mieczysław Sobiesiak, Stanisław Sobiesiak, kolega, Bronisław Sobiesiak, Zygmunt Sobiesiak



Rysunek 6. ul. Marszałkowska. OD LEWEJ: Zygmunt Sobiesiak i Stanisław Sobiesiak



Rysunek 7. Żelbet z żoną i synami. Marszałkowska 1942r.



Rysunek 8. Wyzwolenie. Austria 1945r.



Rysunek 9. Budowa Osiedla Mirów. Rozmowa Stanisława z Ministrem Spychalskim 1950 r.



Rysunek 10. Przed aresztowaniem 1951r.



Rysunek 11. Zarząd Dróg Wodnych ul. Solec 2. po prawej miejsce produkcji granatów.